

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIV.

ROK VI.

TOM IV.—ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Października r. 1881

ARTYKUŁ 7 I DEKRETA MARCOWE

Szkic z wczorajszéj Historyi Kościoła i Społeczeństwa we Francyi.

Sądzę iż przyszedł czas na skreślenie téj karty historyi, którą tu przed oczami czytelnika chcę rozwinąć. Dopóki szczęk srożącéj się walki głośném aż do niego dolatywał echem, dopóty było za wcześnie. Historya ustępować musiała miejsca polemice. Dziś walczące strony nie złożyły wprawdzie broni, ani téż żadna z nich ostatecznie rozbrojoną nie została; nastąpiła jednak chwila ciszy. Zniewolona do odwrotu, jedna z nieprzyjacielskich armij formuje się na nowych stanowiskach; druga obwarowywa zdobyte pozycye. Nie jest-to pokój ani nawet rozejm, ale przerwa tylko między dwoma aktami dramatu. Na pierwszy akt zasłona spadła i ten należy już do historyka. Że tego historyka rolę w piśmie polskiém dla polskich podjąłem czytelników, z tego usprawiedliwiać się nie sądzę abym miał potrzebę. Historya, w charakterze mistrzyni życia, nie zna kordonów granicznych. Nie francuską zresztą, ale wszecheuropejską raczéj, a więc i polską, nazwana być może sprawa, z którą się zgłaszam do uwagi moich współrodaków. Ścierają się tu żywioły, których my sami poniekąd cząstkę stanowimy, mocują się prądy, które nas samych unoszą, występują do stanowczéj może rozprawy dwa zastępy, wśród których każden, kto się do obywatelstwa nie we francuskiém, nie w europejskiém nawet, ale w ludzkiém społeczeństwie poczuwa, musi, tu lub tam zająć, choćby sympatyami swemi tylko, odpowiednie przekonaniom swym i dążnościom miejsce. Dekreta marcowe po jednéj stronie Renu — to tylko echo praw majowych po drugiéj stronie, a prawa majowe — to znowu jeden epizod tylko walki ogarniającéj wiek cały i społeczeństwo całe.

Zainteresowana zaś tym sposobem w tym epizodzie wczorajszéj historyi francuskiéj polska publiczność pozbawioną zda mi się być dotąd możności uchwycenia go w jego rzeczywistém świetle. Służy jéj wprawdzie możność czytania nieskończonéj ilości artykułów, feljetonów, broszur a nawet książek, zapełniających łamy pism i półki księgarni nadsekwańskich. Na placu walki wszelako, dla potrzeb walki, i z pod pióra walczących, nakształt pocisków, wychodzące utwory te, nie są w stanie dostarczyć podstawy do tego trzeźwego, beznamiętnego sądu, który jest téj polskiéj publiczności potrzebą. Tego rodzaju tendencyjne przedstawienie faktów jak np. pana Vacherot w zeszycie *Revue des deux mondes* z 1-go lipca z. r., albo pana Cherbuliez (Valbert) w tym samym zeszycie, przyczynić się mogą tylko do zwichnięcia pojęć i zaciemnienia poglądów. Żołnierza w zgiełku i zapale bitwy nie pytać o jéj plan i przebieg. Rzecz to stojącego na uboczu świadka. W roli też takiego świadka występuję tutaj, podejmując opowieść wypadków, na które patrzyłem z blizka, ale quorum *ne minima* quidem pars fui. Zabezpieczyć się chcę wszelako przed słuszną obawą czytelnika. Nie mam na myśli szczegółowéj kroniki, któréj drobiazgi znużyły by jego cierpliwość. Natomiast spotkać się obiecuję sobie z jego ciekawością i z jego uznaniem, kreśląc ogólny zarys pełnego doniosłości momentu dziejowego. Sądzę także, iż dobrze uczynię, jeżeli skorzystam z niewielkiego oddalenia epoki, w którą mi przenieść się wypada, i mając do czynienia z faktami przeważnie znanemi i w świeżéj powszechnie zachowanemi pamięci, poprzestanę na usiłowaniu związania ich węzłem logicznym i zestawienia we właściwym stosunku.

I.

Na pierwszy rzut oka, szereg chronologiczny tych faktów przedstawia się w postaci jednego z tych łańcuchów, o misternie splecionych kółkach, które pod nazwą *kwestyi* rzymskiéj lub wschodniéj stanowiły do niedawna najpokupniejszy towar w ręku wędrujących po bulwarach paryskich przekupniów. I ta charakterystyczna okoliczność staje mi się właśnie jedną pobudką więcéj do spełnienia podjętego tu zadania. I tak, pamiętny artykuł 7 występuje po raz pierwszy w projekcie prawa przedstawionym przez pana Ferry. Kiedy? Nie po zajęciu przez tego ministra stanowiska naczelnego w gabinecie: w epoce owéj gabinet Juliusza Ferry był jeszcze czemś zgoła nieprzewidzianém a nawet nieprawdopodobném. Nie za rządów jego poprzednika także: wszystkim wiadomo, jak dalece niepożąda-

ną była panu Freycinet ta część odziedziczonego przezeń ministeryalnego spadku. Jeżeli jakiemu naczelnikowi gabinetu przypadło do twarzy i mogło przystać do serca podjęcie na barki tego brzemiennego następstwami ciężaru, to chyba temu „urzędowemu ateuszowi, temu pod nr. 606 do pułku karbonarystów zawerbowanemu szeregowcowi,“ słowem Juljuszowi Simon. Gdzież tam! kiedy artykuł 7, uchwalony w Izbie niższéj, idzie pod wotum senatu, opozycya zachowawczo-klerykalna znajduje wymownego rzecznika, artykuł 7-my znajduje potężnego pogromcę—w kim? w panu Juliuszu Simon! Aż w końcu stropiony na drodze przypuszczeń umysł ucieka się do chronologii i znajduje u steru rządu, w chwili pojawienia się fatalnego artykułu—kogo? pana Waddingtona!

Ale to nic jeszcze. Artykuł 7, ta armata, ulana na zatracenie konserwatystów i klerykałów przez rewolucyonistę i ateusza Waddingtona, zagwożdżoną zostaje w Izbie wyższéj i nieuzdolnioną do wystrzału przez konserwatystę i klerykała Juliusza Simon. Cóż wtedy poczyna rewolucyonista i ateusz Juliusz Grévy? Oto na miejsce zagwożdżonéj armaty wydobywa kilka sztuk starych, zardzewiałych moździerzy—zkąd? z arsenału komuny zapewne, lub co najmniéj Dyrektoryatu? Gdzież tam znowu! Jeden z tych moździerzy wyszedł z ludwisarni za panowania tego zapalczywego rewolucyonisty i ateusza, który w historyi nosi imię Ludwika XV-go; do drugiego włożyli pierwszy nabój ministrowie nieszczęsnéj dla konserwatystów i klerykałów pamięci Karola X-go! Niepodobna do rozwiązania na pozór plątanina!

Ale to tylko pierwszy zewnętrzny pozór. Oczom sięgającym głębiéj te same wypadki z inném odsłaniają się obliczem. Ich zagadkowa zewnętrzna postać jest tylko maską, pod którą, jak dawni tajemniczy rycerze, ścierają się idee i interesa nie chcące z otwartą występować przyłbicą. I tak przedewszystkiém wychodzi na jaw ten fakt, że walka około artykułu 7-go i dekretów marcowych nie była i nie jest do téj pory w swéj istocie walką religijną. Taka walka, walka o religią, czy walka przeciw religii, to absolutne niepodobieństwo w kraju, w którym panującém wyznaniem jest od morza północnego do śródziemnego, od Alp do Atlantyku: indyferentyzm religijny. Artykuł 7 stał się tylko gruntem obranym za plac boju przez dwa czysto-polityczne żywioły: rewolucyjny i zachowawczy; żywioł zaś religijny odegrał od początku do końca rolę tylko sprzymierzeńca, którego pożądaną bądź-co-bądź pomoc każda z walczących stron pragnęła sobie zapewnić. Przypuszczam chętnie, iż taki pogląd nie poparty dostatecznemi dowodami obrazić-by mógł niektóre utarte już pojęcia. Dowodów wszelako nie zabraknie. Wystarczyć-by

mnie powinna za dowód obrona Zakonu Jezusowego podjęta przez takich ludzi jak p. Vacherot (patrz wyżéj wspomniany artykuł) albo p. Littré (*De l'établissement de la 3-e République*; Paryż, 1880); zwłaszcza kiedy za tymi ludźmi, znaleść można w chwili zastosowania dekretów do potępionego Zakonu, całą prasę zachowawczą wszystkich odcieni; ta zaś wtóruje tylko jednobrzmiącemu głosowi wszystkich, pierwszy raz może do tak zgodnego chóru zestrojonych, antyrewolucyjnych żywiołów. Wymowniejszym jednak w tym względzie będzie jeszcze proces historyczny całego przebiegu sprawy. Fakt dopiero co napomkniony panującym się okaże na całéj przestrzeni zdarzeń, którą, śledząc ten przebieg, zwiedzić nam wypadnie. Dlatego téż wskazałem go na samym wstępie jako punkt wytyczny. Cofnąć się zaś mi teraz wypada do samych sprawy początków.

II.

Upatrywać w dekretach marcowych, jak to czyni właśnie p. Vacherot, bądź manewr na rachunek przyszłego odnowienia Izby, bądź okup rzucony popularności przez dzisiejszych piastunów władzy za dłuższe utrzymanie się przy niéj, to puszczać samowolnie w niepamięć fakta, plątać daty i krzywdzić, na rzecz idei republikańskiéj, tych, którym przypadł w danéj chwili ciężki obowiązek dźwigania jéj na swych barkach. Wszakże wiadomo o fatalnych dekretach, że się one stały, *narzuconém* ich autorom, następstwem artykułu 7 go. Rodowód ten nie jest i nie może być kwestyą sporną. Owóż kiedy artykuł 7-my ujrzał światło dzienne, za drogiéj hellenistom pamięci rządów pana Waddingtona, izba, któréj odnowienie weszło istotnie późniéj do programu politycznego pana Gambetty i jego przyjaciół, była właśnie uczyniła tego samego pana Gambettę, ośmieszonego niedawno ex-dyktatora, swoim wszechwładnym prezesem. W owéj więc epoce program oparty na jéj rozwiązaniu był chyba przedwczesnym. W owéj epoce także gabinet, który poddał ostatecznie prawo o wychowaniu uchwale izb, gabinet z panem Freycinet w charakterze prezesa i panem Lepère w charakterze ministra spraw wewnętrznych, taki gabinet, zaliczał się niewątpliwie do tych kombinacyj, przed któremi cofają się najśmielsi układacze horoskopów politycznych. Czasy nie były jeszcze odległe, aczkolwiek szybko zapomniane późniéj, kiedy wzmianka o zasługach pana Freycinet w ustach pana Gambetty wywoływała uśmiechy ironiczne na wszystkich niemal ławkach zgromadzenia narodowego.

Rzeczą jawną, rzeczą dotykalną, że się tak wyrażę, pośród kolei, przez które przechodziło społeczeństwo francuskie w ciągu

wieku bieżącego, stało się to, że niepodobieństwo utrwalenia w tém społeczeństwie porządku republikańskiego wynika głównie, a może nawet jedynie—z braku republikanów. Ztąd narzucona rządowi republikańskiemu konieczność usunięcia tego niedostatku. Jakim zaś innym sposobem mógł on uczynić zadość téj konieczności, jeżeli nie ujęciem wychowania publicznego w karby ducha republikańskiego. I jaki znowu środek inny, prowadzący do tego ostatniego celu, mógł się mu nastręczyć po za zmonopolizowaniem w swych rękach téj gałęzi publicznéj służby? Oto w zwięzłém przedstawieniu cała geneza artykułu 7.

Zwolennikami jednokształtności wychowania, patronowanéj i w najdrobniejszych szczegółach regulowanéj przez rząd nie jesteśmy; swoboda edukacyi jest zbyt wielką i piękną zdobyczą rozwiniętéj w czasach naszych idei wolności, ażebyśmy w zasadzie wyrzekać się jéj mieli. Ale kwestya-to tak obszerna i ważna, że w sprawozdawczym artykule na nią miejsca nie znaleść. Zastrzegając więc tylko ogólnie stanowisko swoje, w dalszym ciągu zobrazuję faktyczny stan sprawy.

Zapewne wykazywać nie potrzebuję, iż ani artykułem 7, ani zamierzoną reformą edukacyjną, kwestya religijna nie była bezpośrednio dotkniętą w najlżejszy sposób. Wychowanie w duchu *republikańskim* nie znaczyło koniecznie *w duchu anty-religijnym*, a nawet absolutnie nie mogło mieć takiego znaczenia w chwili, w któréj ster republikańskich rządów spoczywał w rękach pana Waddingtona. Późniejsze zachowanie się tego męża stanu, w epoce przeniesienia kwestyi edukacyjnéj na pole religijne, wystarczającym w tym względzie powinno być dowodem. Powtarzamy, dążenie rządu anty-religijném nie było. A postępowanie względem Jezuitów! — zarzuci kto może. Rozpatrzmy ten zarzut.

W chwili upadku Cesarstwa rozpościerający się w obrębie stolicy w czterech aż obszernych zakładach, rozsiadły na prowincyi we wszystkich niemal znaczniejszych miastach, w których, jeżeli nie szkoły, to tak zwane *rezydencye*, ogniska wpływu wszędzie sięgającego, utrzymywał; nie dzierżący wprawdzie w swém ręku ani wyższych szkół specyalnych, ani uniwersytetów, ale wciskający się bocznemi drzwiami do jednych i do drugich, był istotnie Zakon, przez tę ogromną cyfrę inteligencyj i sumień, którą tym sposobem opanował, potęgą olbrzymią nie tylko na edukacyjném, ale na wszechspołeczném polu i na politycznéj szachownicy. Potęga zaś ta była republikańskiemu porządkowi rzeczy stanowczo wrogą. Artykuł 7 nie wyszedł jeszcze z pod pióra pana Ferry, kiedy już rząd republikański miał Zakon przed sobą na stanowisku jawnéj opozycyi. Data

zajęcia przez Zakon tego stanowiska zbiega się z datą założenia trzeciéj R-pej. Nie była ta opozycya ani bonapartystowską, chociaż w ciągu ośmnastolecia Zakon szedł ręka w rękę z Cezaryzmem, ani legitymistyczną, chociaż wspólność dążeń zjednywała Zakonowi w tym obozie najżywsze sympatye, ani dynastyczną jakąkolwiek. Była tém, czém ją czyniła istota sama Zakonu, to jest konstytucyi jego i dyscypliny, powołania jego i tradycyjnego kierunku: była jak mówią francuzi *autoritaire* a tém samém bądź co bądź anty-republikańską. Przez tę konstytucyą swoję i dyscyplinę, przez tę formę potężną, w którą ujął go geniusz założyciela, był zakon *a priori* w antagonizmie z formą nowego rządu i młodzież w żelaznych karbach owéj formy wyrastająca nie potrzebowała podżegań, aby na nieprzejednanych republikańskiego porządku wrogów wyrastać. Domyślać się zaś wolno, że i podżegań nie brakło. Kiedy pan Vacherot zapewnia znowu, że w swém nauczycielskiém powołaniu, jak w fortecy zamknięci ojcowie nie dawali nigdy polityce dostępu do siebie, p. Vacherot żartuje sobie z łatwowierności czytelnika. Za wymarzonemi przez znakomitego publicystę murami téj fortecy, nie byłby się dobił Zakon tego stanowiska, na którém go do niedawna w obozie zachowawczym widzieliśmy. Ale forteca, w któréj wykłada się historya i filozofia, to forteca źle strzeżona przed polityką: nieprzyjaciel jest w środku. Nie ukazała się zaiste czarna suknia na żadnym balkonie; ale kto ma w każdém główniejszém mieście kilkanaście katedr, nie wspominając już o kazalnicach, a przed temi katedrami kwiat przyszłéj inteligencyi, ten może zostawić balkony panu Gambecie. Mają zresztą ojcowie i inne środki. Kto od trzech wieków nawykł do prowadzenia mas, temu zabraknąć tych środków nie może. Niech mi tu będzie dozwoloném wspomnienie osobiste. W lecie 1864 roku znajdowałem się w Metz. Jednego dnia zdumione miasto ujrzało całe tameczne kolegium jezuickie (do 500 chłopców najrozmaitszego wieku pod wodzą jakich 40 księży) maszerujące na banhof, siadające do wagonów III-ej klasy i jadące—dokąd? do sąsiedniego Luksemburga. Odprawiły paupry wchód tryumfalny do murów zakwestyonowanéj fortecy, w szeregach, z muzyką na czele i z miną zdobywców świata. Załoga prezentowała broń, municypalność przyjmowała przybyszów na ratuszu obiadem, na którym okolicznościowych toastów nie brakło: było to formalne objęcie w posiadanie. Że dyplomacya cesarska nie umiała zeń korzystać, w przygotowywanéj już wtedy a tak niefortunnie zakończonéj kampanii dyplomatycznéj, winić o to zapewne nie można usłużnych i zręcznych ojców.

Tak więc umiał przysługiwać się zakon rządowi, który posiadł jego sympatye. Po tém miarkować można jak umiał przysłużyć się temu który mu był antypatycznym. Wolno panu Vacherot przypuszczać, że i peryodyczne do Lourdes pielgrzymki nie wykraczały ze skrupulatnie strzeżonych granic nabożnego pątnictwa; ale wolno nam téj dobrowolnéj podobno naiwności nie podzielać. Orłom-li bowiem czy liljom sprzyja uświęconego miejsca patronka, to objawioném nie zostało; ale że nie sprzyja frygijskiéj czapce, w tym względzie objawienie byłoby zbytecznėm.

Zakon nie byłby zakonem, to jest bojową z saméj instytucyi swéj falangą, to jest przednią z powołania swego strażą *ecelesiae militantis*, gdyby, w obec gwałtowniejszego niż kiedykolwiek starcia między społecznemi żywiołami, był mógł obojętne zająć stanowisko. Ale o tém nie było nigdy mowy. Owszem, jak niegdyś naprzeciw grożącéj im zagładą bulli papiezkiéj, tak teraz naprzeciw wszelkich możliwych artykułów praw lub dekretów, z tą samą tradycyjną bezwzględnością, postawili synowie Loyoli swoje *aut*, *aut*, rzucili na szalę zachowawczych interesów całą wagę swoich wpływów i trudów, swojego doświadczenia i zapału i podjęli walkę, któréj podobno widzieliśmy dopiéro początek.

I owóż dlaczego kwestya wpisania artykułu 7 do programu reformy edukacyjnéj stała się z góry dla zakonu kwestyą życia lub śmierci. Z góry, całém swojém postępowaniem, uchylał się zakon od warunków przywiązanych do konsensu, którego otrzymanie artykuł ten wymagalném czynił. Warunki te aczkolwiek nie zamieszczone w projekcie prawa, były dostatecznie wiadomemi: rząd chciał mieć dla nowych pokoleń wychowanie republikańskie. Niepodobieństwo uczynienia zadość tym warunkom, aczkolwiek nie obwieszczone urzędownie, było ze strony zakonu dostatecznie jawném i duch kierujący udzielonėm przezeń wychowaniem wiał we wręcz przeciwną stronę. Z góry téż niemożność otrzymania przezeń konsensu była widoczna.

Nie tak było z innemi nauczającemi zgromadzeniami duchownemi. Owszem od samego początku autorowie i obrońcy artykułu 7 objawili dość wyraźny zamysł oddzielenia jednych od drugich. Nic nie zniewalało ich do upatrywania nieprzejednanych wrogów nowego programu edukacyjnego w takich nauczycielach jak o.o. Dominikanie. Nader ważne zaś praktyczne względy przemawiały za wręcz przeciwną polityką. A więc najpierw korzyść odosobnienia tego żywiołu, który z natury swojéj był najniebezpieczniejszym a z położenia swego najpotężniejszym przeciwnikiem. A nie był to wzgląd najważniejszy. Ważniejszym jeszcze był ten który, wobec

późniejszych dekretów stał się jednym z najpotężniejszych argumentów opozycyi zachowawczo-klerykalnéj. Wypadało mianowicie liczyć się z niepodobieństwem zastąpienia z dnia na dzień w jego nauczycielskiéj roli całego olbrzymiego zastępu duchownych pedagogów. Ani materyalnych ani moralnych środków nie mogło starczyć na to. Zamknięcie szkółek ludowych (*écoles primaires*) utrzymywanych przez braciszków (*frères de la doctrine chrétienne*, *frères ignorantins*, etc.) wyrzucić miało w rok późniéj na bruk kilkakroć stotysięcy dziatwy, bez możliwości dla niéj znalezienia na razie miejsca w przepełnionych szkółkach świeckich.

Urzędownie téż niemal charakter nieprzyjacielski artykułu 7-go ograniczonym został do samego Zakonu Jezusowego. Urzędownie niemal otrzymały inne zgromadzenia duchowne obietnicę uzyskania konsensu, za upomnieniem się o jego dobrodziejstwo. Miał zaś taki program, w przypadku jego powodzenia, tę jeszcze dla rządu republikańskiego dogodność, że uwalniał go od téj niepożądanéj ohydy, którą prześladowanie ściąga bądź co bądź na prześladowców. Wiadomo w saméj rzeczy było o zakonie że, cofając się przed zbyt oczywistém prawdopodobieństwem odmowy, konsensu wprost żądać nie będzie, a zatém, w *obec innych żądających go zgromadzeń*, sam się niejako postawi poza prawem. Chodziło o to tylko, czy te inne zgromadzenia dadzą się przywieść do zerwania solidarności z potępioném zgromadzeniem. Była to kwestya stanowczéj doniosłości dla stron obu. Stanowczéj nie przez to tylko, że jéj rozstrzygnięcie na korzyść téj lub tamtéj strony postawić musiało rząd republikański naprzeciwko, bądź odosobnionego przeciwnika, bądź potężnéj koalicyi: następstwa jednego lub drugiego wypadku sięgały daléj. Zjednoczenie w jednym obozie wszystkich duchownych współzawodników zakonu na polu edukacyjném, musiało przyciągnąć do tego obozu jednego więcéj potężnego sprzymierzeńca. Stawał z natury rzeczy w tym wspólnym obozie cały żywioł religijny i walka przybierała charakter nierównie draźliwszy, rozmiary nierównie szersze.

Z jednym nawet zakonem stoczona, musiała walka tego rodzaju zagarnąć pole dość szerokie. Zagrożeni w swym bycie za sprawą dźwiganego przez się anti-republikańskiego sztandaru, umieli Ojcowie podnieść ten sztandar wysoko i skupić w koło niego wszystkie siły zachowawczego stronnictwa. Ale sojusz zakonu z pokrewnémi zgromadzeniami otwierał daleko rozleglejszą arenę.

Tu więc, około tego stanowczego punktu zawiązała się pierwsza walka, spór pełen, jak zobaczymy, niepewnych i zmiennych kolei.

Zdawać się może dzisiejszemu czytelnikowi że zwycięztwo w tym sporze było z góry obiecane Zakonowi Jezusowemu. Przypo-

mina on bowiem sobie bez wątpienia przeważne stanowisko zajęte przez Zakon w całym świecie duchownym przy końcu panowania Piusa IX. Ale historykowi sumiennemu nie godzi się zapominać i o innych okolicznościach. Były zaś takie inne okoliczności, które zwycięztwo, do pewnego stopnia przynajmniéj, wątpliwém czyniły.

Komu znane są nowoczesne dzieje kościoła we Francyi—część tych dziejów skreślił niedawno pan T. Luxeau-Dangin w pouczającéj książce (1)—ten wie o rozmaitych, odrębnych kierunkach, spierających się w jego łonie i dobijających się kolejno przewodnictwa. Kierunkiem przeważającym w epoce restauracyi był *gallikanizm*, ten, razem z dawnych tradycyj monarchicznych zastępem, wskrzeszony gallikanizm, którego formułę podyktowała potężna wola Ludwika XIV. Odmienna bowiem, przez nowe warunki bytu nastręczona, forma gallikanizmu wyrobiła się była w epoce tryumfu rewolucyi. Dawny gallikanizm, obok dogmatu niezależności państwa od Rzymu, stawiał dogmat zależności kościoła od państwa. W obec nowéj formy rządu ten ostatni dogmat stał się dla kościoła niemożliwym. Zastąpiła go teorya zupełnego rozdziału między kościołem a państwem. Sławny biskup *Grégoire*, rzeczywisty naczelnik duchowieństwa francuzkiego w tych ciężkich czasach, stanowczym był zwolennikiem téj teoryi, choć pociągała ona za sobą w owéj epoce nader ciężką próbę ubóstwa. Z powrotem dawnéj monarchii wrócił téż, w innych tradycyj orszaku, dawny gallikanizm i silnego, aczkolwiek bezowocnego poparcia dostarczył kontr-rewolucyjnym przedsięwzięciom Karola X.

Ale jednocześnie wyrabia się kierunek nowy, który niebawem zapanować miał na gruzach wywróconéj po raz drugi monarchii. Czy nowy istotnie? I tak i nie. Stary, w zasadniczéj swéj idei, jak papieztwo i jak dążenia papieztwa do hegemonii duchownéj; ale nowoczesny na wskróś tchnieniem, które go z martwych teraz podniosło i życiem napełniło potężném, namiętném. Nie był bo *ultramontanizm* dla ówczesnego pokolenia tém samém czém był wiekiem i pół wcześniéj dla przeciwników Bossuet'a, ani tém czém się stał późniéj dla dzisiejszych swych wyznawców. Dla takich ultramontanów jak Montalambert zależność od Rzymu oznaczyła przedewszystkiém niezależność kościoła od państwa; niezależność zaś roszczona dla kościoła była pierwszą wprawdzie, ale jedną tylko ze swobód, z równym

---

(1) L'Eglise et l'Etat sous la Monarchie de Juillet. Plon, 1880;—ob. także: Histoire de la philosophie en France au XIX siecle. Traditionalisme et ultramontanisme, rzec p. Ferraz, profesora filozofii w Lyonie. Paryż, Didier, 1880.

żądanych zapałem dla prasy, dla szkół, dla stowarzyszeń, dla narodowości, dla wszystkiego co mogło nie czuć się dość swobodném.

Pyszny to był, przyznać trzeba, polot chrześciańskiego i katolickiego ducha i wiekopomna chwila w jego zawodzie! Lacordaire na kazalnicy, Montalambert na trybunie, a na stopniach ołtarza pasterskie z błogosławieństwem do nich wszystkich wyciągający dłonie ten ks. Affre, któremu męczeńskiéj nie było potrzeba korony, aby świętych aureolą otoczone miał czoło—co za widok!

Czemuż ten widok świetnym meteorem był tylko? że od błyszczącéj gwiazd gromady jedna oderwała się i spadła w otchłań czyż i inne gasnąć dla tego miały? A jednak zgasły! Z Rzymu potępienie padło na usta jednego Lamennais; czemuż umilkł niebawem Lacordaire? czemuż jego testament przekazany publiczności przez tego z licznych niegdyś duchów, który ostatni zeszedł z pola (1) testamentem stał się całéj drużyny, jéj usiłowań i jéj porażek, jéj nadziei i jéj zawodów?

Dla tego że skutki są nieubłaganemi następstwami przyczyn; że kto otwiera drzwi wszystkim czterem wiatrom musi i niepożądanych spodziewać się gości; a kto się zda na wiatrów wolę, musi iść kędy one dmą. Swoboda to ptak, który się gnieździ na wysokiéj górze, przez którą właśnie wieczna wszystkich wiatrów wędrówka. Że, prześcigając drapiących się na tę górę towarzyszy, pierwszy dostał się na jéj wierzchołek, to w świecie idei chwała Lamennais'go, ale to w świecie rezultatów jego potępienie. Inni, jego losem ostrzeżeni, stanęli w pół drogi, ale strwożeni, zniechęceni i mający do wyboru to tylko: stać na miejscu bez celu, albo pójść inną drogą bez przekonania. Szamocząc się między temi dwoma koniecznościami do końca, walcząc do upadłego z dogmatem nieomylności, poddając się, ale pijąc jak truciznę gorycz tego poddania, dogorywa za dni naszych liberalny ultramontanizm.

„Ach! gdybym mógł"—pisze nad grobem stojący już Montalembert do Döllingera, w Styczniu r. 1870—„ja, człowiek świecki, zająć miejsce w koncylium, poszedłbym, choćby dla tego tylko abym moją obecnością protestował."

A w późniejszym nieco liście, odnosząc się do świeżych wystąpień biskupa Orleańskiego:

„Dał on wielki przykład tego *co można jeszcze począć w łonie dzisiejszego kościoła*, w obronie prawdy i wolności. Niestety! odezwał

---

(1) Le testament de Lacordaire par Mr. le Comte de Montalembert; Paryż, 1880.

się za późno. Zestawiając jego dwa listy przeciwko nieomylności i przeciwko dziennikowi Univers, z listem pasterskim arcybiskupa Paryzkiego i z manifestem biskupów zgromadzonych w Fuldzie, byłbyś się przekonał że *wszystko nie było stracone.*"

Czy i ten, najwytrwalszy z szermierzy liberalizmu, byłby się poddał, jak drudzy dzielący jego sympatye i wstręty, jak ks. Gratry, np., gdyby jak on był się doczekał końca soboru? Wątpić nie można o tém, widząc jakie motywa służą mu do potępienia ojca Hyacynta po zerwaniu tego ostatniego z Rzymem:

„Zarzut największy jaki ci czynię"—pisze do niego, „to ten żeś opuścił twoich towarzyszy broni, dostarczając tym sposobem najświetniejszego tryumfu obraźliwym denuncyacyom i przewidywaniom naszych przeciwników. Widziałem przez lat 15 imię Lamennais'go służące za straszydło, eksploatowane przez wszystkie umysły ciasne i podejrzliwe, służalcze i zazdrosne. Gdybym miał nieszczęście liczyć jeszcze 15 lat przed sobą, widziałbym tak samo Twoje imię rzucane w twarz każdemu księdzu, każdemu chrześcianinowi, w którymby dopatrzono iskierki inteligencyi i szlachetności!"

Trudno zresztą o lepszą charakterystykę całego liberalnego ultramontanizmu jak ta, której dostarcza powyższy fragment listu, gdzie myśl polityczna przebija się w każdém słowie obok myśli religijnéj, a nawet bierze górę nad nią. Miałby był zaiste Montalembert, gdyby sprawa religii pierwsze w jego zaprzątnieniach zajmowała miejsce, ważniejsze zarzuty do czynienia otwartemu odszczepieńcowi jak ten zarzut dezercyi! Zarzut niesłuszny nadto. Ex-ojciec Hyacynt mógł go z czystem sumieniem odrzucić w oczy oskarżycielowi. On sam sprawiedliwiéj daleko mienić się mógł opuszczonym, on szedł naprzód obraną wspólnie drogą, a kto jak Lacordaire i przyklaskujący mu przyjaciele, nie wahał się dawać doktrynie "bezwarunkowego posłuszeństwa Rzymowi nazwę: „największego zuchwalstwa przybranego w Imię Chrystusowe" (la plus grande insolence décorée du nom de Jesus-Christ) (1) tego miejsce, w obec tryumfującego dogmatu nieomylności, nie było, jeżeli bodaj samemu sobie tylko chciał wiernym pozostać, między potępiającymi zbuntowanego Mnicha.

Do buntu w religii prowadziła fatalnie ta droga, tak jak w polityce prowadziła do rewolucyi. Jéj ostatnim kresem barykady roku 1848, którym błogosławił z kazalnicy Lacordaire; a za dni naszych błogosławi kościół księdza Loyson, znajdujący sympatye w ludności Bellevil-le'skiéj.

---

(1) Wyżéj zacytowany testament Laoordaire'a; s. 18.

W ślad też za reakcyą żywiołów zachowawczych, która zawiodła do władzy, a niebawem do tronu, spadkobiercę autokracyi Napoleońskiéj, poszła natychmiast druga reakcya, która w kościele oddała przewagę ultramontanizmowi innéj szkoły. Ultramontanie ci pojęli zależność od Rzymu w całkiem odmienny sposób. Dla tamtych była ona jedną formą i jednym więcéj środkiem swobody—dla tych przeciwnie ostatniém ogniwem łańcucha, w którego żelaznych ujęciach skrępowane mieć chcieli całe społeczeństwo. Ogniwo to musiało być potężném aby wszystkich innych ogniw ciągnienie wytrzymać—stąd dążenie ku podniesieniu władzy papieskiéj do najwyższéj możliwéj potęgi. Państwo zaś—władza cywilna, jako drugorzędne ale niezbędne ogniwo, odpowiadać także nie mogło swemu przeznaczeniu, bez silnéj, aczkolwiek podporządkowanéj pod tamtą organizacyi—ztąd sympatye dla cezaryzmu.

Tryumf tego nowego kierunku był z natury rzeczy tryumfem tego w kościele żywiołu, w którym najdokładniejsze znajdywał on uosobienie. Zakon, który wymarzył i urzeczywistnić potrafił formułę: *perinde ac cadaver*, miał wszelkie prawo do przewodniczenia w tym nowym ducha religijnego zawodzie. Ustępować musiał z placu, ze swoją luźną organizacyą i odpowiadającą téj organizacyi niezależnością myśli, drugi ów, na przeciwnym biegunie duchownego świata zawieszony zakon, który wypiastował Lacordaire'a. I ustępował w saméj rzeczy w osobie wielkiego kaznodziei, żegnającego swoich słuchaczów, nazajutrz po dokonanym zamachu stanu, umiarkowaną, jaką godziło się jéj być na kazalnicy, ale dość wymowną jeszcze protestacyą:

„Cofam się, bo ja także jestem swobodą!“ (Je me retire, car moi aussi je suis une liberté!)

Ostatnie to publiczne w Paryżu wystąpienie Lacordaire'a datę stanowi, odpowiadającą, w sferze interesów religijnych, dacie 2-go Grudnia. Od niéj bierze początek, ugruntowywujące się równomiernie z cezaryzmem w ciągu ośmnastolecia i chwiać się poczynające z nim razem w ostatnich latach, panowanie Jezusowego zakonu. Panowanie to nie zamknęło się zresztą w granicach Francyi. Jego właściwą stolicą był od początku Rzym. Rzym miał był równocześnie z Paryżem swoich politycznych i religijnych liberałów i doczekał się równocześnie prawie swoich barykad i swoich Apostołów. Wracający téż z Gaëty, dokąd go własny liberalizm zaprowadził, gdzież miał szukać podpory Pius IX, jeżeli nie w anti-liberalnéj, anti-demokratycznéj, i anti-rewolucyjnéj dyscyplinie Zakonu? Kollegium rzymskie, ta potężna szkoła propagandy, w któréj wyhodowani misyonarze roznoszą po całym świecie podyktowane im hasła, z któréj wychodzą wi-

karyusze apostolscy i biskupi *in partibus*, szkoła ta przeszła, za wolą papiezką, w ręce synów Loyoli. Redakcya ich urzędowego niejako organu, dziennika *La civilta catholica* przekształciła się od r. 1854 w kongregacyą z kardynałem na czele i z misyą kierowania całą katolicką prasą. Rzym, z którego przed wiekiem niespełna padł grom zatraceniu przekazujący imię Jezuitów; Rzym stał się teraz rzec można jezuickim. Uczyniwszy zaś swoją niejako tę groźną dla niego władzę, dbał o to Zakon aby ta władza była jak najpotężniejszą. Z pod pióra Jezuity to, księdza Passaglii, wyszły w r. 1855 motywa do bulli ogłaszającéj dogmat Niepokalanego poczęcia, a będącéj zarazem i uświęceniem téj osobliwéj czci, jaką Zakon zawsze otaczał Matkę swojego Patrona i przygotowaniem do wielkiego dzieła r. 1870. Encyklika r. 1864, tak wyraźne natchnień jezuickich nosząca piętno, zgromadzenie biskupów w r. 1867 tak oczywiście jezuickich wpływów kierowane naciskiem, ostatecznemi były etapami prowadzącemi do zamierzonego celu. Sprężysta nakoniec dyscyplina Zakonu objawiła się dotykalnie w karném zszeregowaniu téj potulnéj większości, w któréj ustanowiony z góry w *Civilta Catholica* program soboru r. 1870 jednostajne zawsze znalazł posłuszeństwo.

Ale, gdy tam, w Rzymie, potęga Zakonu sięgała szczytu, we Francyi obrót politycznych wypadków zachwiewać ją zaczął. Liberalizm, wybijający się w polityce z pod dźwiganego przez lat kilkanaście jarzma, podniósł jednocześnie głowę w kościele. Obok, wchodzącego przebojem do gabinetu pana Ollivier, stawał śmieléj coraz odzywający się biskup Orleański. Z kierowanéj przezeń w Orleans szkółki wychodziło grono młodzieży, szczupłe wprawdzie, z falangami wymustrowanemi przez jezuickie kollegia mierzyć się nie mogące, ale przecież odmiennego ducha roznoszące po świecie. Zakon też Dominikanów występował napowrót w pole z orszakiem wspaniałych wspomnień do białéj przywiązanych sukni; przyciągał coraz liczniejszy zastęp wychowawców do wybornie prowadzonych zakładów, a przez księdza Montsabré odzierżył kazalnicę w Notre-Dame. Niebawem upadek Cesarstwa dodawał i więcéj otuchy i więcéj rzeczywistéj siły temu powstaniu żywiołu liberalnego. W chwili zaś obecnéj, w chwili wypowiedzenia wojny Zakonowi przez rząd republikański, zaświtała jakoby dla tego żywiołu jutrzenka pełnego obietnic jutra, otworzyła się dlań jakoby nowa era—przez wstąpienie na tron apostolski Leona XIII.

Z tym też żywiołem wejść w kompromis, z jego pomocą przeciągnąć na swoję stronę lub przynajmniéj zneutralizować całą masę duchowieństwa, usunąć tym sposobem z placu boju żywioł religijny, odciąć wrogi Zakon od wszelkich możliwych sprzymierzeńców

i w tych warunkach z nim się rozprawić—taką była rzeczywista polityka autorów artykułu 7-go, w pierwotnem założeniu. Być może iż po za tém założeniem kryły się inne, daléj w przyszłość sięgające widoki; sama jednak roztropność nakazywała ograniczyć na teraz, dość ryzykowne nawet w tém ograniczeniu zadanie.

Czy taka polityka miała za sobą jakiekolwiek prawdopodobieństwo powodzenia? Sądzę iż tém co poprzedza skłoniłem czytelnika do poważnych przynajmniéj w tym względzie wątpliwości. Osobiście idę daléj, wygrana po stronie rządu republikańskiego była w mém przekonaniu nie wątpliwą zgoła, jeśli by rząd był zdołał utrzymać się na téj pozycyi strategicznéj, którą sam dla stoczenia walki obrał. Późniejsze zachowanie się zgromadzeń i całego duchowieństwa w obec, spełnionéj już na zgromadzeniu oo. Jezuitów a wiszącéj nad resztą, groźby dekretów, nie zdaje mi się dopuszczać innego wniosku. Zgromadzenia *en masse* były by się podały uchwalonemu przez Senat artykułowi 7-mu, zostawiając jedno potępione zgromadzenie jego własnym losom.

Ale Senat nie uchwalił artykułu 7-go. Zeszeregowana, zapalona i poprowadzona do boju, przez niezrównanych w téj roli następców żołnierza z pod Pampeluny, opozycya zwyciężyła.

Jakiéj natury była ta opozycya? Sztandar ostentacyjnie wywieszony przez jéj zagadkowego przywódzcę miał na sobie wielkiemi literami wypisane słowo: wolność. Żołnierz zgromadzony pod tym sztandarem należał przeważnie do zachowawczego obozu. W rzeczywistości atoli nie chodziło na teraz ani o wolność ani nawet o zachowawcze interesa. Nie mogło chodzić o zachowawcze interesa panu Juljuszowi Simon, ani o wolność panu Chesnelong. Jawną było zresztą rzeczą, że ani te interesa ani wolność nie zyskają nic na upadku artykułu 7-go, ale owszem stracą; że rząd się nie cofnie, że się cofnąć nie może i że wytrącenie mu z ręki téj broni, którą sam sobie ukuł przeciwko jednemu zakonowi, wciśnie mu w rękę inną więcéj morderczą i sięgającą daléj. Można było w tym względzie dać wiarę pełnym prawdziwego smutku słowom pana de Freycinet. Artykuł 7 był istotnie „*un minimum*“. Dekreta, do których rząd musiał się uciec, choćby tylko dla utrzymania swéj powagi, miały wystawić i zachowawcze interesa i wolność na szwank daleko dotkliwszy. Ale, jak powiedziałem, nie chodziło ani o jedne ani o drugie. Nie chodziło nawet w gruncie rzeczy o Jezuitów. Panu Jules Simon chodziło o powetowanie świeżych parlamentarnych porażek, których padł ofiarą we własném stronnictwie. Legitymistom czystéj wody chodziło o zastosowanie téj teoryi, która kataklizm społeczny za warunek *sine qua non* zbawienia Francyi poczytując, dąży *par fas et*

nefas do jak największéj sumy kataklizmowych pierwiastków. Wyzyskanie tych wszystkich interesów na rzecz swojego interesu, skierowanie tych rozmaitych dążności do jednego celu, było sztuką Zakonu Jezusowego i sztuką godną podziwu.

Ma się rozumiéć dokazanie téj sztuki było by było czystem niepodobieństwem, gdyby był Zakon nie był tém, czém był w istocie, to jest najdzielniejszym może z obrońców zachowawczéj idei i gdyby jego sprawa obecna nie była była tém czém była w rzeczywistości, to jest, jak słusznie, aczkolwiek nie wiem czy szczerze mówił p. Simon, *sprawą wolności*! Mas bowiem nie pociąga się bez sztandaru i bez hasła—nawet wtedy kiedy one wiedzą ze w dźwigających go rękach ten sztandar jest pożyczany, a w głoszących je ustach to hasło konwencyonalną formułą.

Charakterystycznym atoli i, w związku z założeniem naszém na zaznaczenie zasługującym jest fakt, że nie wywieszono dotąd i nie pokuszono się nawet o wywieszenie sztandaru *religijnego*. Zbyt wyraźnie mierzył rząd w jeden Zakon, oddzielając skrupulatnie jego sprawę od sprawy reszty duchowieństwa. Zbyt zaś łatwo było mu powołać na swoję obronę przed insynuacyą anti-religijnéj polityki wspomnienia nieprzyjaznych Zakonowi rządów Ludwika XV, lub Karola X.

Zauważyć przytém należy i to że, nawet odnośnie do Zakonu, artykuł 7 nie stawiał *kwestyi bytu*, a tylko *kwestyę nauczania*.

Upadek ostateczny tego artykułu zmienić musiał ten stosunek. Wprawdzie, zniewolony do zastąpienia go opartemi na dawném prawodawstwie dekretami, rząd starał się usilnie o przykrojenie ich na tę samę miarę. Skreślony zaś wyżéj pobieżny rys historyczny pozwala czytelnikowi wnioskować jak dalece obfitego w tym względzie materyału dostarczyć były w stanie zmienne koleje przeszłości. Cel pożądany nie mógł jednak być osiągniętym w całości. Stanął na przeszkodzie nietylko niedostatek środków prawodawczych, ale inny jeszcze czynnik, który dotąd bardzo podrzędną i dla tego pominiętą przez nas odgrywał rolę w téj sprawie, teraz zaś wpływać zaczął na jéj przebieg, w kształcie nader potężnego a burzliwego pierwiastku. Tym czynnikiem było to co nazywają pospolicie *opinią publiczną*; siła oparta na stanowczéj przewadze, jaką mają ci którzy mówią nad temi którzy milczą, a zupełnie niezależna od stosunku liczebnego jednych do drugich.

Dziesięciu krzykaczy może tym sposobem zapanować nad milionowym ale niemym tłumem i nazwać się opinią publiczną. Ztąd rozmaite chwianie się opinii publicznéj we Francyi—i gdzieindziéj. Czego rzeczywiście chciała w tym przedmiocie *właściwa* opinia pu-

bliczna francuzka w r. 1880 to jest większość francuzkich przekonań i sumień, nie ośmielę się powiedzieć z zupełną pewnością. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa nie chciała *niczego*, posługując się swoim, nietylko w materyi religijnéj, ale w politycznéj także i społecznéj, prawomocność mającym koranem, którym jest wspomniany wyżéj indyferentyzm. Ale pospolita *opinia publiczna*, to jest większość ludzi krzyczących głośno, chciała niezaprzeczenie, i zaczęła chcieć coraz więcéj stanowczo, rozwiązania wszystkich zgromadzeń i radykalnego wstąpienia na drogę anty-klerykalnéj polityki.

Zdało się konieczném rzucić od razu na pastwę téj żarłocznéj chęci bodaj jeden Zakon. Odwieczna to polityka, próbująca nasycić wilka jedną owieczką i odwieczny błąd. Odkąd istnieją wilki ta dobrowolna pierwsza ofiara służy tylko do zaostrzenia ich apetytu.

Rozwiązanie ostateczne zgromadzenia Jezusowego zostało wyrzeczone przez jeden z dekretów marcowych, z terminem egzekucyi zbiegającym się z końcem bieżącego roku szkolnego. Drugi dekret, utrzymując poprzednio zachowany rozdział, zawiesił egzekwowanie innych *nieupoważnionych* zgromadzeń do nieoznaczonego terminu.

Służyła więc możność i zgromadzeniom tym upomnienia się o wymagalne upoważnienie i rządowi przedłużenia dobrowolnie tymczasowej tolerancyi. Dla przeważnéj zaś większości zgromadzeń uzyskanie upoważnienia nie było na teraz wątpliwém.

Umiejętnie obrane w ten sposób stanowisko rządu nie odpowiadało przecież w zupełności temu, ktore pierwéj on zajmował. Odnośnie do Zakonu Jezusowego miały bądź co bądź dekreta charakter proskrypcyjny; odnośnie zaś do zgromadzeń w ogóle stawiały już teraz *kwestyą bytu*, a tém samém wkraczały stanowczo na pole religijne. Ustawa zaprzeczająca zgromadzeniom duchownym prawa nauczania może w danych warunkach zachować charakter czysto polityczny; ustawa odmawiająca im bytu nie zdoła dokazać tego nigdy.

Nie był jednak i teraz jeszcze program rządowy programem bez nadziei. Znalazł on w téj chwili właśnie wymownego obrońcę i apostoła w łonie samego duchowieństwa. Fakt zaś, że ten syn kościoła mógł przez miesięcy kilka, nieść na jedną z głównych kazalnic stołecznych namiętną nieraz obronę sympatyzujących z polityką rządową przekonań i pojęć, starczy za dowód, że mówiąc językiem Montalembert'a *wszystko nie było jeszcze stracone* dla rządu.

Synem Lacordair'a mienił się ksiądz *Didon* i przejął istotnie z tego znakomitego po nim spadku, jeżeli nie potęgę całą i świetność wymowy, to ową tak charakterystyczną u wielkiego Dominikanina no-

woczesność tonu, to część przynajmniéj jego zapału i całą, zdwojoną bodaj nawet, śmiałość w stawianiu i bronieniu takich tez, jak np. demokratyczność zasadnicza katolicyzmu, albo konieczność dla kościoła „który stał się niegdyś barbarzyńskim dla barbarzyńców“ (sic), zostania dziś republikańskim dla republikanów.

Przybywała także w pomoc téj śmiałości jakaś, nieznana mistrzom dawnéj liberalnéj szkoły, dobitność i że tak powiem nawet brutalność słowa, a za jéj sprawą to co było mglistego w pojęciach téj szkoły i jéj programach brało teraz ciało na się. Sojusz nietylko z demokracyą, ale z całém nowoczesném społeczeństwem z jego pojęciami, z jego aspiracyami i z jego wiedzą występował tu już stanowczo jako kwestya życia lub śmierci dla kościoła.

Ksiądz Didon szczerze sądził się powołanym do dokonania tego sojuszu; i przyznać trzeba, że mógł dać się uwieść temu złudzeniu, kiedy pod szerokiemi sklepieniami kościoła S-éj Trójcy kilkotysięczny tłum, kwiat inteligencyi i arystokracyi paryzkiéj, czekał, co niedziela od 12-éj do 4-éj zbyt skąpo gwoli powszechnéj ciekawości, wymierzonych miejsc pilnując, jego ukazania się na ambonie; kiedy, na jego wezwanie, sypały się składki na wzniesienie nowego gmachu, który by swobodniejszemu jeszcze apostolstwu otworzył podwoje.

To téż coraz donośniejszém, coraz namiętniejszém, stawało się jego słowo, coraz śmielszemi jego wycieczki przeciwko zapóźnionéj w średniowiecznéj tradycyi doktrynie, zamykającéj drzwi świątyni kołatającym do nich potrzebom naszych czasów. Kiedy zaś, w kunsztownéni, aczkolwiek przypadkowo niby nastręczającém się zestawieniu, obok naśladującéj republikańską formę konstytucyi swego zakonu, otwartéj jak step wszystkich wiatrów przewiewom, wskazywał w fortecy despotycznéj organizacyi zamkniętych synów Loyoli, jawném stawało się dla każdego gdzie miał szukać tych, którzy by radzi mieć drzwi do świątyni rozwartemi na oścież, a tych, którzy trzymają ręce na ryglach.

Był to ani mniéj, ani więcéj jak wierny, aczkolwiek w zupełnéj niezależności zapewne podjęty wykład programu rządowego.

Jak dalece „wszystko nie było stracone“ w razie utrzymania się tego programu i jak dalece utrzymanie się jego było możliwém świadczy późniejsze zachowanie się duchowieństwa w obec dokonanéj już na Zakonie Jezusowem egzekucyi. Autorzy i propagatorowie sławnéj „dekleracyi“ epigonami stali się tylko księdza Didon.

Wspomniałem o niezależności tego ostatniego od rządowéj polityki. Jakoż przypuszczenia aktualnego porozumienia między dwo-

ma zbiegającemi się wprawdzie, ale z tak odległych punktów wyjścia początek biorącemi, dążnościami brakuje podstawy — i użyteczności. Łatwiejszém jest przypuszczenie naturalnego sojuszu prądów, które nie teraz po raz pierwszy się spotkały. Wskrzeszone na gruncie politycznym tradycye roku 1848 musiały powoływać do życia i religijne z téj epoki tradycye. W tém znaczeniu ksiądz Didon był prawdziwym synem Lacordaire'a. Ale tradycye, choć wstają z grobu żywe i sił pełne, to zawsze z tym samym zarodkiem śmierci, który je w grób zapędził. Jak umiarkowana względnie polityka rządu, tak dążące do kompromisu apostolstwo księdza Didon, ulegać musiało naciskowi żywiołów pchających naprzód, po za wszelkie umiarkowaniem i pragnieniem kompromisu zakreślone granice. Niebawem w obec ujadania czerwonéj, po tropach Saint-Juste'a i Robespierre'a pędzącéj psiarni, wątpliwą stało się rzeczą czy gabinet pana de Freycinet utrzyma się sam przy umiarkowanym swoim programie, albo utrzyma się przy władzy, pozostając temu programowi wiernym.

Z drugiéj strony kompromisowa tendencya, reprezentowana przez księdza Didon, i naginać się musiała do potrzeby zadośćuczynienia coraz to daléj sięgającym wymaganiom liberalizmu i poddawać się temu fatalizmowi, który wszystkich poprzedników wymownego dominikanina zaprowadził daléj niż iść chcieli. Kiedy ujrzano go przekształcającego kazalnicę w trybunę, przemawiającego językiem demagogów, socyalistów, ba! nawet Wolterjanów; obwieszczającego raz blizkie równouprawnienie polityczne kobiet, drugi raz uprzątającego *Syllabus* jednem pogardliwém słowem, jak we Włoszech tylko do jakiegokolwiek użytku służyć mogące narzędzie polityczne; zadziwiającego mury kościoła grzmotami oklasków i zbierającego pochwały i zachęty w *czerwonéj* prasie, wtedy wzdrygnęły się sympatye i zatrwożyły się sumienia.

Trwogi te i wstręty umiał znowu przedziwnie wyzyskać Zakon Jezusowy. Religijnym masom postawił przed oczami, usprawiedliwiając skargę Montalemberta, z jednéj strony widma Lamennais'go i księdza Loyson, z drugiéj strony blizkie prawdopodobieństwo tryumfu radykalnéj polityki i wznowionych z tradycyi pierwszéj R-téj prześladowań. Zachowawczemu obozowi pokazał w religijnym liberalizmie, sprzymierzonego z politycznym radykalizmem, i zarówno zachowawczym jak religijnym interesom, zagrażającego wroga. Sam stanął naprzeciwko, jako przedstawiciel wiekowego z obydwoma temi żywiołami antagonizmu. I nagle, w jednéj chwili, jak zwykle bywa, dojrzał owoc wytrwałéj i zręcznéj polityki.

Przymierze odporne między religijną a zachowawczą armią zdało się jednéj i drugiéj jedynym środkiem ratunku; obrona zaś zagrożonego Zakonu pierwszym ratunku warunkiem. Neutralne dotąd stanowisko zajmujący, i głos wolny księdzu Didon zostawiający, arcybiskup paryski zgłosił się teraz uroczystym manifestem do jezuickiego obozu i cała masa duchowieństwa poszła za nim. Listy pasterskie, odezwy do dzienników i protestacye, manifestu arcybiskupiego echa, posypały się ze wszystkich stolic biskupich. Niezagrożone aktualnie dekretami zgromadzenia, podniosły jednomyślnie sztandar solidarności, wyzywając na siebie równe tym, które bratni Zakon dotknęły, gromy.

Dokonane zostało przymierze na walnym wiecu, któremu katolickie koła robotnicze (Cercles Catholiques d'ouvriers) posłużyły za pretekst (w maju 1880 r.) a który i z prowincyi znaczny ściągnął kontyngens religijnych i politycznych współwyznawców. Po mowie programowéj pana Chesnelong, zagrzewającéj do walki wspólnemi siłami w obronie wspólnych interesów, po udzielającém błogosławieństwa téj nowéj krucyacie przemówieniu biskupa Richard (koadjutora arcybiskupa paryskiego) przewodniczącego zebraniu, zabrał głos hr. de Mun. Przypomniawszy zaś odezwanie się Henryka IV-go: „J'aime mieux etre Jesuite que Jacobin," zawołał: „Ja także jestem Jezuitą!" i porwane jego gorącą wymową, całe zebranie powtórzyło chórem: „Jesteśmy wszyscy Jezuitami! Niech żyją Jezuici!"

W kilka dni późniéj, wezwany do Rzymu przez swojego zwierzchnika dla zdania sprawy ze zbyt awanturniczych, a powodzeniem nieuwieńczonych wycieczek, ks. Didon osiadał w korsykańskiéj ustroni, na dyscyplinarnéj pokucie, ścigany aż tam przez potępiające go w oczach własnych współwyznawców radykalne sympatye. I odtąd w ultramontańskim tak jak w liberalnym kościele, w monarchicznym tak jak w zachowawczo-republikańskim obozie, miał przed sobą rząd samych sprzymierzonych przeciwko jego polityce wrogów.

Przymierze to nie przyniosło natychmiastowych rezultatów. Nie zmusiło rządu do cofnięcia się, bo cofnięcie się było dlań niepodobném. Dekreta potępiające Zakon Jezusowy zostały spełnione w oznaczonym terminie. Rezultaty mogły być dopiéro dalszéj przyszłości owocem. Przyszłość, w razie wytrwania przymierza, musiała rzucić rząd na drogę, którą iść nie chciał, na któréj wiedział sam, że pójdzie za daleko i przewidywał, że się spotka prędzéj czy późniéj z reakcyą obrażonych uczuć, przekonań i sumień.

Warunkiem wszelako osiągnięcia tych rezultatów była trwałość przymierza. Może, gdyby ten warunek mógł był być spełnionym, były by one już teraz widocznemi, lub bliższemi przynajmniéj.

Ale stało się inaczéj. Z dniem wykonania dekretów na Zgromadzeniu Jezusowem, walka, któréj pierwszy epizod uprzytomnić starałem się czytelnikowi, weszła w fazę nową, w któréj uledz miala zgoła nieprzewidzianym kolejom.

W nowéj téj fazie pojawia się na scenie nowy czynnik: Rzym. Rola tego czynnika była dotąd, o ile mi sądzić pozwala osobista znajomość wypadków, raczéj negatywną. I dla tego zostawiłem ją na boku. Dodatnią, na stronę Zakonu Jezusowego i reprezentowanéj przezeń tendencyi, być nie mogła. Świadczy przeciwko takiemu przypuszczeniu późniejszy, jawny już kierunek watykańskiéj, w sprawach francuskich, polityki. Świadczy ogólna, pokojowa tendencya téj polityki, wybijająca się na wierzch z chwilą wstąpienia na tron Leona XIII. W nowym paryzkim reprezentancie władzy papieskiéj mógł wprawdzie Zakon obiecywać sobie sprzymierzeńca. Początkami bowiem swojemi w duchownym zawodzie, niezbyt odległemi jeszcze, należał niezaprzeczenie J. E. ks. Czacki do związanego ścisłemi węzłami z Zakonem stronnictwa rzymskich *zelantów*. Późniejszą atoli swoją działalnością, złożył nowy nuncyusz aż nadto dowodów zupełnéj niezawisłości od tych węzłów, a zupełnego posłuszeństwa otrzymywanym z Watykanu hasłom.

Stanowczo zaś nie była taż sama rola rzymskich insynuacyj, wpływów i rozkazów dodatnią na stronę księdza Didon i tego rodzaju kompromisu, którego on się uczynił apostołem. W tym względzie nie ma pola zostawionego najmniejszéj wątpliwości. Apostolstwo namiętnego Dominikanina nie znalazło nigdy sympatyj w Nuncyaturze. Przerwany zaś jego zawód świadczy, iż nie znalazło ich także w Rzymie.

Między silnie ugruntowanemi tradycyami dawnego a nieśmiałemi jeszcze dążnościami nowego pontyfikatu zawieszona, polityka watykańska szuka dotąd poniekąd, i we wszystkich sprawach kościoła, właściwéj dla siebie drogi. Cóż dziwnego, że jéj nie znalazła od razu wówczas, w samym początku swego zawodu i w tak drażliwéj sprawie.

Zdaje się wszelako jakoby przychodzące do skutku początkowanie w wykonaniu dekretów marcowych było dostarczyło jéj brakującego natchnienia i zachęciło do ociągającéj się inicyatywy.

Cios zadany Zakonowi Jezusowemu powinien był wprawdzie zostawić całą, a nawet pomnożyć raczéj jego moralną potęgę, a zatém i wpływ jego w Rzymie. Na razie jednak skutek osiągnięty był wręcz przeciwnym. Kolej to zwykła rzeczy ludzkich. Męczennicy bywają tryumfatorami; są nawet zwykle nimi—ale jutro! Tymczasem, nim wstanie jutrzenka, biada zwyciężonym—nawet męczenni-

kom. Egzekucya dekretów zawiodła zresztą była oczekiwania sympatyzującego z Zakonem świata. Spodziewano się olbrzymiego wrażenia, oburzeń, protestacyj, gwałtów i zamieszek. Zapowiadano je nawet głośno. Po cichu zaś nabożniejsze i wrażliwsze dusze pocieszały się nadzieją więcéj przekonywujących jeszcze znaków gniewu Bożego, jakiegoś trzęsienia ziemi np. lub zaćmienia słońca.

Niestety! słońce nie straciło nic ze swego blasku, ziemia pozostała nieporuszona i co gorsza, nieporuszyły się także masy. Przerachowano się znowu z siłą francuskiego indyferentyzmu. Dla zwalczenia téj siły więcéj trzeba było jeszcze niż kilkudziesięciu policyantów odrywających zamki u kilku drzwi.

Jawném się więc stało, że ten sam indyfferentyzm towarzyszyć będzie wykonaniu dekretów i na innych zgromadzeniach i zdawać się zaczęło, że w tych warunkach będzie ta egzekucya absolutną klęską dla kościoła, bez żadnéj kompensaty.

Wypuszczano znowu w tym względzie z rachuby nader ważne czynniki. Zapominano, że nie na jednéj egzekucyi, choćby jak najbrutalniejszéj, zawisła cała krzywda zadana przez politykę rządową wolności osób i sumień; że więc nie na samém wrażeniu wywołaném tą egzekucyą powinny opierać się nadzieje pokrzywdzonych; że krzywda ta miała odtąd trwać i powtarzać się codzień i codzień także wzbierać kroplą przybywającą do kropli to morze pomsty, które prędzéj czy późniéj zalewa prześladowców.

Przyczyniało się podobno do zapomnienia tych względów kryjące się, wstydliwe, nieśmiałe i niepewne siebie, ale przecież ujawniające się parcie partykularnych interesów. Obok Jezuickich istniały przecież także Dominikańskie i Karmelitańskie zakłady naukowe. Zakłady prowadzone wzorowo ale nie mogące wytrzymać potężnéj konkurencyi Zakonu i wstrzymane przez nią w swym rozwoju. Konkurencya ta znikała obecnie. Czy nie stalo się tak z Bożego wyroku? Drogi sprawiedliwości Bożéj są niezbadane, a narzędzia któremi się ona posługuje bywają rozmaite!

Domysłów tych, których sam miałem sposobność być powiernikiem, nie powtarzam dla rzucenia plamy na tych, którzy w szczerości serca do nich się uciekali. Były one, jak niedaleka przyszłość pokazała, nieugruntowanemi zgoła, ale u ludzi przekonanych o prawdzie swego posłannictwa i kierunku, zgoła godziwemi także.

Jakkolwiek-bądź, rezultatem tych rozmaitych danych był niespodziewany nawrot ku odrzuconéj niedawno tendencyi komplanacyjnéj, nawrót który niebawem znalazł swój wyraz w sławnéj *deklaracyi* duchowieństwa. Podejmując urzędownie sprawę zagrożonych zgromadzeń, duchowieństwo uchylało w ich imieniu narzu-

cany im obowiązek *upominania się o upoważnienie*, ale uroczystém poddaniem się republikańskiéj formie rządu obiecywało sobie okupić dla nich zakwestyonowane prawo bytu.

Inicyatywa tego nawrotu wyszła, według wszelkiego prawdopodobieństwa z Watykanu. Podstawy zaś, do proponowanego przez deklaracyą kompromisu, dostarczyły z wszelką pewnością rokowania zawiązane między reprezentantem watykańskim a ówczesnym przewodnikiem polityki francuskiéj. Niestety! rokowania te opierały się na obustronném złudzeniu. Targowano się w nich obustronnie o skórę niedźwiedzia, którego nie miano już w rękach. Było już zapóźno. Zapóźno w obec namiętności wzbudzonych opozycyą stawioną polityce rządowéj a rozkiełznanych pierwszém wykonaniem dekretów. Zapóźno w obec zachwianego stanowiska, niefortunnych téj polityki inicyatorów i obrońców. W tych warunkach *deklaracya* posłużyć tylko mogła do skompromitowania powagi duchowieństwa i do skompromitowania sprawy kościoła. Kompromitowała powagę duchowieństwa, narażając go na ironiczną odprawę, któréj doczekać się ono miało ze strony, przewagę biorącego w rządzie, radykalizmu. Kompromitowała sprawę kościoła, zrywając dopiéro co zawiązaną solidarność z uroczyście dopiéro co podjętą sprawą rozwiązanego Zakonu. Rzucała nadto ta sama *deklaracya*, na biorących udział w niéj i odstępujących tém samém w nieszczęściu, zasłużoną i za wierność wspólnemu sztandarowi potępioną bracią, jakby cień nieszlachetności.

Była zaś to nieszlachetność i odstępstwo absolutnie bez pożytku. Jeżeli w czém był teraz ratunek dla kościoła, to w jedności, w solidarności, w zespoleniu sił. Jeżeli z kim wypadało tę jedność i solidarność zachować, to z tym zastępem kościelnéj armii, który bądź co bądź nawet w pogromie swoim zostawał ogromną siłą, we Francyi zaś sam jeden rzeczywistéj *siły* mógł nosić miano. Przejrzał tę prawdę światły i najwybitniejsze, po śmierci księdza Dupanloup, w episkopacie francuskim miejsce trzymający ks. Treppel, kiedy nie wahał się słowem i piórem protestować przeciwko deklaracyi. Przejrzały ją rzadkie zgromadzenia, które, jak Benedyktyni z Solesmes, odmówiły przyłączenia się do niéj. Stwierdziły ją niebawem wypadki. Na ruinach gabinetu pana de Freycinet, gabinet Jules Ferry, oddając pośmiewisku niefortunną deklaracyą, dokonał na deklarujących dzieła zaczętego na Jezuitach.

Zaczęto wprawdzie od tego, że podziękowano w imieniu rzeczypospolitéj *obywatelom stanu duchownego* za objawione wierno-konstytucyjne sentymenta; jednocześnie atoli wyrażono pewność, że wierno-konstytucyjni obywatele nie zechcą przypuszczać, aby wyra-

żenie tych sentymentów mogło zastąpić potrzebę legalnego upoważnienia wymagalnego z mocy dekretów. Gdy zaś wierno-konstytucyjni obywatele nie zgłosili się po to upoważnienie, przystąpiono do egzekucyi.

Egzekucya ta znowu zawiodła oczekiwania. Heroiczne wysilenia, podjęte w celu otoczenia jéj jakowymś majestatem grozy i obudzenia nim drzemiących sympatyj, pozostały bez skutku. Wszędzie prawie nie przekroczyła ona rozmiarów bardzo pospolitego policyjno-ulicznego zajścia i wszędzie téż prawie sympatye pozostały we śnie. Forteczne natomiast ostrożności, *veillées d'armes* podejmowane przez wyfrakowanych machabeuszów, wytrzymywane oblężenia, rygle, drągi i łańcuchy złożyły się tylko na udzielenie całemu wypadkowi jakiegoś komicznego charakteru, który rzeczywistą tragiczność jego osłabił. Zbierano niby tym sposobem materyały do przyszłego procesu. Jak gdyby spodziewana owa przyszłość nie miała mieć, nawet w przypadku zupełnego tryumfu, innych przed procesami zaprzątnień i innych obowiązków przed upomnieniem się o krzywdę księżny de Chevreuse, *wyciągniętéj* przez dwóch policyantów z uparcie bronionego stanowiska w obrębie klasztoru! Jak gdyby sam tryumfujący nad *porządkiem moralnym* radykalizm, nie był się cofnął przed narzucaném mu poszukiwaniem sądowném na autorach 16 maja! Bawiono się po prostu! Nie przeto przypuszczać chcę, aby wystawiono na szwank ostateczny tym sposobem sprawę, która dość silną jest sama przez się, aby znieść nawet błędy swych obrońców.

Ale tu zatrzymać mi wypada tę historyą wczorajszych zdarzeń. Dalszy jéj ciąg napiszą dopiéro jutrzejsze wypadki. Jeżeli ułatwić zdołałem czytelnikowi uchwycenie zagmatwanego tych wypadków wątku, uczyniłem zadość memu zadaniu. Jeżeli zachowałem w mém przedstawieniu rzeczy trzeźwość i bezstronność sądu, uczyniłem zadość pierwszemu mojemu zaprzątnieniu i pierwszéj potrzebie historyka.

X.

PODANIE O WALTERZE Z TYŃCA.

(1) Liebrecht; Zur Volkskunde. Alte und neue Aufsätze. Hellbronn, 1879.
2) Rischka: Verhältniss der polnischen Sage von „Walgierz Wdały" zu den deutschen Sagen von „Walther von Aquitanien: Brody. 1880).

Leżało to w naturze pierwotnego człowieka, iż lubił ród swój wywodzić od jakichś niezwykłych przodków: od bogów, półbogów, bohaterów mitycznych, a nawet od pół-ludzi pół-zwierząt, potworów; a czasami, w braku nadprzyrodzonéj prosapii, od jakiegoś głośnego cudzoziemca, awanturnika, rozbójnika, zbrodniarza,—byle tylko nie od pospolitego jakiego a cichego, miejscowego obywatela. Szczególnie bogatsi większe znaczenie w kraju posiadający ludzie pożądali takich rodowodów, a co większa, wierzyli w nie i poczytywali za największą obrazę, za świętokradztwo prawie, gdy jakiś śmielszy umysł poważał się o nich wątpić.

Jednym przodka wykarmiła wilczyca, innym orzeł go porwał w gnieździe swém wyżywił; tamtym pradziad przywędrował z głośnego zburzonego grodu, innym prababką była pół-ryba pół-kobiéta; tych znowu praszczur niewątpliwie jest synem Zeusa, a tamtego przodka myszy zjadły. I tak daléj, przeróżne, dziwne, potworne dzieje opowiadano o kolebce pewnych rodów; a jeżeli nie były one budujące, to przynajmniéj dumnego potomka utwierdzały w przekonaniu, że antenaty jego odznaczyli się czémś niezwykłém i że wobec pospolitego człeka z gminu, który nic cudownego o swém gnieździe nie umiał powiedziéć, był on czémś wyższém, czémś niepospolitém.

Do takiéj niepospolitości, wedle dawnych pojęć, mieli wszelkie prawo u nas Toporczycy. Rodu ich praojcem był sławny bohater Tyniecki Walter, o którym cudowne rzeczy prawił ksiądz biskup Bogufał, a późniéj pan Bartosz Paprocki, a za nimi wielu innych.

I.

Gdybym był pewny, że każdy mój czytelnik zna legendę o „Walterze Udałym", nie powtarzałbym tu jéj, lecz tylko na niąbym wskazał i szedł daléj. Ale nie mając téj pewności, ile że o naszym ogóle powiadają, iż swoje rzeczy zna mało (musi to być potwarz!) wolę parę kart wypisać z Paprockiego, niżeli kazać czytelnikowi szukać podania po starych księgach.

Opowiada je wprawdzie Szajnocha w swoim szkicu o „Walgierzu Wdałym," ale że zajmuje go tylko pierwsza część legendy, więc tę tylko podaje. Ja zaś, mając zamiar zastanowić się nad całością i znajdując, że każde bajanie najlepiéj wygląda w téj szacie, w jakiéj ją nam przeszłość podała, wolę przytoczyć słowa pana Bartosza. Powinienbym właściwie zamieścić tu odpowiedni ustęp z kroniki, Bogufałowi przypisywanéj; ale wolę przerobienie Paprockiego, naprzód dla tego, że jest polskiém i gładziéj wystylizowaném, a powtóre, że choć datą napisania późniejsze, powołuje się ono na źródła może nie młodsze od Bogufałowych. Zresztą zaraz po przytoczeniu opowieści, porównamy szczegóły jéj z wersjami Bogufała i Bielskiego, więc nie stracimy żadnego rysu, który do pełności legendy byłby niezbędnym.

Paprocki tak prawi:

„Walcera hrabie z Tyńca wspominają historje, jako Andreasi de Żarnów (dziś zaginiony), wszakoż dowodniéj Anonymos (również zaginiony), to jest historyk; który kronikę polską, łacińskim językiem pisaną, krom podpisu imienia swego zostawił,—dla tego że był uniósł królewnę francuzką, imieniem Heligundę, tym sposobem: Służąc albo się bawiąc w postronnych krainach, dla przejrzenia spraw rycerskich, będąc mężem urodziwym i roztropnym, przypatrował się na dworze króla francuzkiego porządkowi. Tam będąc, okazował się znacznym i w każdéj potrzebie nad inne rycerstwo fortunniejszym, tak, że go ono szczęście wielkiéj sławy człowiekiem rozniosło. Na tegoż króla dworze było książę, które on królewicem niemieckim mianuje, imieniem Arinaldus, który się starał o onę królewnę, ale go sama panna wzgardzała. Walcerus przed nim miał u niéj wielką łaskę, co bacząc, zabawił się służbą króla ojca jéj, który mu zaraz dać kazał urząd u stołu, jeśliż podczastwo, albo misę stawiać, tego nie mianuje. Tam mu się ona panna pilnie przypatrując, wielką chęć i uprzejmość serdeczną k'niemu przyłożyła. Co on jawnie znając, chcąc ją jeszcze więcéj do miłości przeciwko sobie przyciągnąć, szedł w nocy pod pokoje jéj, śpiewał i grał na lutni jako mógł napiękniéj. Co

usłyszawszy Heligunda, z łóżka wstawszy, szła do okna, słuchała tak długo, póki Walcerus nie odszedł, wszakoż ktoby to był taki, nie wiedziała. A Walcerus zrazu nie chciał się jéj w tém objawiać, owszejki jeszcze stróże przenajął, aby tego nikomu nie objawiali. A gdy to drugiéj i trzeciéj nocy uczynił, pannę onę do tego zniewolił, że go bezmiernie miłowała, posłała sobie po straż, a ktoby to u niéj pod pokojem grał, pytała. Powiedzieli: Nic wiemy, ani znamy, bo tak nieznacznie twarz nakrywszy chodził. Ale panna chciała koniecznie wiedziéć od nich, ktoby to był taki. W czem gdy stróże byli uporni, ona ich do więzienia wsadzić kazała i na gardle karać chciała. Potem z bojaźni wyznali a wydali Walcera, który się o to na nie nie frasował. Heligunda już z myślą rozdwojona była, nie wiedząc kogo miała więcéj miłować, jeśli Walcera, którego osobę znała, jeśliż onego, którego tylko głos słyszała, a coby zacz był, nie wiedząc. A dowiedziawszy się, iż to już on był, którego w myśli serdecznéj miała, poczęła go dopiéro zapaliczliwiéj (tak) miłować, a potém do siebie na pokój wzywać. A gdy onych rozmów przez kilka czasów z sobą używali, umyśliła z nim potajemnie zjechać. Czego Niemiec postrzegł, jednak miłując onę pannę bezmiernie, nie wydał jéj i Walcera w tych sprawach, a to wiedząc, że przez jego państwo jechać mieli, był tego pewien, że Heligundy mógł łatwie dostać, a ucieszywszy się w miłości, onę niechęć jéj przeciwko sobie oddać (zemścić się za jéj niechęć). A tak naprzód jechał do domu, zakazał na przewozie, aby mu przewoźnicy znać dawali, kiedyby kto z panną od Francyi jachał, k'temu, aby go dłużéj zabawiali, rozkazał, aby od takiego nie brali mniéj za przewóz, jedno grzywnę złota, rozumiejąc to o Walcerze, żeby się z nimi miał o tak nieprzystojny przewóz targować. Walcerus, upatrzywszy czas, zjechał z panną do Polski. A gdy na rzece Renie przewozić się miał w państwie królewica onego, z fukiem przewoźnikom rozkazał, aby go co prędzéj wozili, którzy z przelęknienia zapomnieli rozkazania pana swojego, wszakoż tego nie zapomnieli, co za przewoz wziąć mieli. Walcerus, dawszy im to co mu zacenili, precz jechał. Oni dopiéro, wspomiawszy, znać dali o nim panu swemu. Królewic, będąc żałosny dla despektu i dla miłości na sercu nie uspokojony, puścił się po nim prędko sam, ufając szczęściu, że go miał przemódz. A gdy z daleka zajźrzał, wołał nań: Stój, zdrajco, przewozuś nie zapłacił i królewskąś córkę ukradł! Na co mu Walcerus obróciwszy się odpowiedział: Zle mówisz, przewózem zapłacił, a królewska córka sama ze mną dobrowolnie jedzie. Potém się zjechawszy, rzekli sobie o pannę z sobą czynić, a któryby którego zabił, miał wszystkie rzeczy prześpiecznie pobrać i dobrowolnie precz jachać. W tém, acz królewico-

wi zbytnia miłość serca dodawała, wszakoż go Walcerus zabił. Przyjechał po tém na zamek swój Tyniec."

Na tém się kończy część pierwsza podania o Walterze; to co daléj kronikarze nasi opowiadają o nim, jest drugą, zgoła odrębną legendą; téj ani Szajnocha, ani nikt, ile wiem, u nas porównawczo nie rozbierał. U Paprockiego tak brzmi ona:

„Tam (w Tyńcu) pomieszkawszy, o wielkie krzywdy skarżyli mu się poddani na Wiślimiera, opiekuna majętności jego. A tego Wiślimiera opowiada (zapewne Anonymus) książęciem wiślickim z narodu jeszcze Popielowego; ten był w niebytności Walcerowéj wielkim zdziercą póddanych jego. O co z nim naprzód Walcerus łaskawie mówił, a potém, gdy się im i jemu usprawiedliwić nie chciał, on go pojmawszy przywiózł na Tyniec i do wieże wsadził. Sam potém k'woli królowi albo monarsze na służbę żołnierską jechał. zostawiwszy Heligundę na Tyńcu, która była bardzo żałosna z odjechania jego. Wszakoż gdy w wielkim dostatku chwilę była bez Walcera, poczęła się przed panną swoją uskarżać, mówiąc: żem ja ani dziewka, ani wdowa etc. Panna ona, żałując pani, powiedziała jéj: że tu jest więzień urodziwy, będziemyć go na noc wypuszczać do krotochwile, a na dzień go będziem do więzienia sadzać, tak że tego żaden nie postrzeże. Owa namówiwszy się to uczyniły, stróże co go strzegli przenająwszy. Heligunda obaczywszy Wiślimiera, męża urodziwego, nie chciała go więcéj dać do więzienia, owszejki dowiedziawszy się co zacz był, zjechała z nim na Wiślicę. W tém przyjechał Walcerus, pytał, czemu Heligunda przeciw jemu nie wyszła, jak to zwykła czynić. Powiedzieli słudzy, że jéj niemasz. Dowiedziawszy się wszystkiéj sprawy, jechał do Wiślice, zastał tylko samę Heligundę, a Wiślimier w łowy był zajachał. Upadła mu do nóg, prosząc łaski i miłosierdzia, a prosząc aby się schronił do komory jego i sługom się także schronić kazał, a ona mu go wydać obiecała, aby się nad nim pomścił krzywdy swojéj. A gdy on tak uczynił, Wiślimier przyjechał, ona wybieżawszy powiedziała mu o Walcerze, kędy go skryła. On go zatém z sługami nabieżawszy, pojmał i wsadził do więzienia, potém nań włożył okowy jakie rozumiał natęższe, k'temu jeszcze do muru przykować dał, a nie rozumiejąc sobie wierniejszego stróża i przyjaciela do tego, siostrze swojéj rodzonéj oddał klucze od niego, coby z wiadomością jéj tylko w onéj komorze tak go w pęcie na potrzebę wypuszczano. W czém ona panna przez kilka czasów wiarę bratu swojemu strzymała statecznie. Potém ulitowawszy się Walcera, zmowę z nim tajemnie uczyniła, jeśliby ją chciał sobie wziąć za żonę, rzekła go z więzienia wypuścić; a była ta panną Rynga tak żadna (brzydka), że jéj żaden człowiek równy jéj w zacności

nie chciał jéj do stanu małżeńskiego. Co Walcerus uczynił, chcąc być wolen z wiecznego a okrutnego więzienia, bo siedział na żelezie nakształt woła uczynionem, a jeszcze do tego w okowach. A gdy już tę zmowę z sobą mieli, panna Rynga wolnym go uczyniła i miecza dodała wszakoż on siedział na onem żelezie, czasu czekając, jakoby niewolny. A gdy Wiślimier z Heligundą według zwyczaju szli się przelegać, rzekł do nich Walcerus: „Kiedybym ja téż teraz nad wami pomścił się krzywdy swojéj?“ Poczęła sobą Heligunda trwożyć, ale Wiślimier ją upomniał; a rzekł do Walcera: „Już ci odpuszczę, chocia mię i zabijesz“, a to dla tego mówił, że ufał wierności siostry swojéj. Dla większego żalu Walcerowego uczynił mu był z onego sklepu jego okno do pokoju swego, że na czas każdy na nie patrzał, kiedy z sobą żartowali. A gdy po onych rozmowach Wiślimier z Heligundą, tak się zabawili przespiecznie że Walcerus czas miał do pomszczenia krzywdy, skoczył prędko z onego wołu, przypadłszy oboje mieczem ku ziemi na łożu przebił, potém sam wolno z Ryngą na Tyniec wjachał, wszystkie skarby pobrawszy, co ona panna tak sprawowała, że słudzy Wiślimierowi tego nie postrzegli iże pan ich zabit, aż na Tyniec odwieźli one wszystkie rzeczy, a Walcera chodząc wolnego oglądali. Téj Heligundy ciało tam w Wiślicy schowano i twarz na kamieniu wyciosano, która była w roku 1242 na zamku, czego potwierdza Andreas de Żarnów“. (Herby rycer. pols. wyd. krakow. 1858, od str. 59).

Porównajmy teraz z tą opowieścią rozdział 29 kroniki znanéj pod nazwą Bogufała (Bielowski Mon. II od str. 510). Wiadomo iż napisana jest ona po łacinie, stylem rozwlekłym i nudnym. I tę legendę opowiada ona daleko obszerniéj od Paprockiego, chociaż nie wiele szczegółów odmiennych zawiera. Rozpatrzymy szczegółowo co więcéj, a co mniéj mówi kronikarz od heraldyka.

Wiślimiera Bogufał nazywa *Wyslaus*, a więc Wisławem, czy Wysławem, dodając mu epitet *decorus*, piękny. Waltera różne kodeska różnie nazywają: Walterus, Walcerus, Walterz, Walczerzs, Valterus; nazwany on jest *robustus*, silny „co po polsku zwie się *vdaly Walterz*“ dodaje jedna kopja, *wdalj Walczerzs*, powiada druga, *udali Valterz* mówi trzecia itd. Szajnocha z przydomku tego wysnuł wyraz *wdały*, za nim poszedł Bielowski i pisze w tekście kroniki: *Wdały Walter*; mnie się zdaje że to forma nie polska i że powinniśmy czytać *Udały*, o czem niżéj obszerniéj pomówimy.

Daléj, według kronikarza naszego, Walter miał być Popielowiczem, również jak i Wisław. Heligundę Bogufał nazywa *Helgunda*, a imienia Arinalda nie zna, zwąc rywala Walterowego poprostu „synem pewnego króla niemieckiego.“ Opowiadając o zajściu na

przeprawie przez Ren, kronika mówi, że przewoźnicy póty się nie zgadzają przewieźć uciekających na drugą stronę, aż nim nie przybędzie królewicz niemiecki. „Walter zaś, powiada, obawiając się niebezpieczeństwa ze zwłoki, wsiada na bucefała swojego, każe Helgundzie usiąść za sobą i rzucając się do rzeki, szybciéj od strzały ją przepływa.“ Potem, opowiadając o pojedynku, dodaje, że Walter się cofał i dopiéro gdy ujrzał kochankę, nabrał nowych sił i zwyciężył.

W Tyńcu, wedle kronikarza, Walter czas jakiś leczy się z ran, a po odjeździe jego na wojnę, Helgunda dopiéro po dwóch latach zaczyna nudzić się i szukać pocieszyciela.

Po zdradzieckiem pojmaniu Waltera, Wisław przybić go każe do ściany stojącego z rozkrzyżowanemi rękami. O kształcie oków do wołu podobnym niéma tu mowy. Nie wie téż kronika imienia siostry Wisława, ale ją nazywa cioteczną. Po porozumieniu, umieszcza ona miecz Waltara pomiędzy plecami jego a ścianą; całą dobę czeka on chwili stososownéj do napadu, mając już ręce wolne i broń za sobą. Po groźném przemówieniu Waltera, kronikarz każe Helgundzie przepraszać Wisława, że zapomniała oznajmić mu, iż miecza Walterowego w łożu nie znalazła, na co on odpowiada: „Choćby on miał dziesięć mieczów, bez pomocy kowalów nie zdoła rąk z oków wyswobodzić. Ale w tem rzuca się na nich Walter i oboje jednén cięciem na pół rozcina.

O wyobrażeniu Helgundy na jéj grobie mówi Bogufał, że „aż do dnia dzisiejszego“ oglądać je można. Szczegółów zaś o odjeździe Waltera, o zabraniu skarbów i żony do Tyńca—nie podaje.

Bielski zdaje się, że streszcza Bogufała, wspomina jednak jako źródło „Anonymosa jednego.“ Wiślimiera nazywa Wisławem, a Waltera „Grabią z Tyńca Walcerem.“ (Wyd. 1764 roku str. 85 i dal.).

Dawniejsi kronikarze polscy (Gallus, Kadłubek, Długosz) wcale podania tego nie wspominają. Dzisiaj lud go nie zna, a Wójcicki w „Klechdach“ dla tego je zamieścił, iż mu się zdawało „przechowaném ze słowiańskich czasów“ (?) i „ważnym a ciekawym pomnikiem literatury“ (Klechdy wyd. 1851 r., t. I, str. 32).

Szajnocha tak umiejętnie i trafnie zestawił wszystko, co się dało zebrać, z pierwszą częścią podania, tak jasno dowiódł, że przywędrowało ono do nas z zachodu, iż pozostaje mi tylko słów kilka dodać i przedstawić czytelnikom streszczenie poematu sanktgallskiego, aby sami naocznie osądzić mogli różnice i podobieństwa polskiéj a niemieckiéj, czy raczéj średniowieczno-łacińskiéj redakcyi. Szajnocha zbyt krótkiemi słowy ją opowiedział, zdało mi się przeto rze-

czą niezbędną zamieścić tu obszerniejsze nieco skrócenie nudnego, niedołężnego a rozwlekłego poematu łacińskiego, aby dać wyobrażenie o zachodniém przerobieniu jakiejś pierwotnéj legendy o Walterze, która posłużyła za pierwowzór baśni Bogufałowéj.

Uhland (*Schriften über die Geschichte der deutsch. Dichtkunst und Sage* II od 428) tak oddaje skromną prozą napuszyste heksametry Eckeharda:

„Attyla zbrojnie krainy zachodnie plądrując, każe królom haracz i zakładników dawać, Gibich, król Franków, pan Wormacyi, którego syn Gunter jest jeszcze chłopięciem, oddaje młodego Hagena, ze szlachetnego rodu Trojańskiego (Troyes), wraz z wielkiemi pieniędzmi. Król burgundzki Herrich, pan Cavillonu (Chalons na Saonie), daje córeczkę jedynaczkę Hiltgundę, a Alfar, król Akwitanii, synka swego Waltera, narzeczonego Hiltgundy. Hagen i Walter dobrze się sprawują na dworze Attyli: celują przed Hunnami we wszystkich kunsztach wojennych i dowodzą wojskami króla. Hiltgunda, biegła w robotach kobiecych, pozyskuje łaskę królowéj i zostaje dozorczynią skarbcu. Tymczasem Gibich umiera, a następca jego Gunter wypowiada Hunnom przymierze i haracz. Hagen, dowiedziawszy się o tem, ucieka w nocy. Aby i Walter, podpora państwa, także nie uciekł, Attyla, za radą królowéj, chce go ożenić z pewną księżniczką huńską. Walter uchyla się od tego małżeństwa, dowodząc, że uczyniłoby go mniéj czynnym w służbie królewskiéj. Potém wracając raz zwycięzko z pewnéj wyprawy, spotyka się sam na sam z Hiltgundą. Całuje ją, każe sobie czarę podawać i ściska jéj rękę, na pamiątkę zaręczyn; późniéj umawia się z nią uciec z długiego wygnania. Dawno-by zresztą mógł już to uczynić, ale nie chciał dziewicy saméj zostawić. Stosownie do umowy, wydaje Walter królowi wspaniałą ucztę, na któréj wszyscy biesiadnicy upijają się i głęboko zasypiają. Hiltgunda napełnia dwie szkatułki złotemi naramiennikami ze skarbcu. Szkatułki te zawiesza po obu bokach rumaka Walterowego, Lwem zwanego, którego panna za cugle prowadzi. Rycerz kroczy w pełnéj zbroi, z tarczą i dzidą, Hiltgunda niesie wędzisko. W nocy uchodzą, bezdrożami leśnemi i górskiemi umykając, żywią się ułowionemi ptakami i rybami. Dziewicy serce bije, gdy wiatr gałązki poruszy, lub ptak skrzydłami zaszumi. Attyla nadaremnie nagrodę przeznaczył temu, kto zbiegów dogoni. Żaden Hunn nie śmie podążyć za bohaterem. Czterdziestego wieczoru przybywają Walter i Hiltgunda nad brzeg Renu pod Wormacyą. Za przewóz płaci Walter pierwéj złowionemi rybami; nazajutrz przewoźnik niesie je do miasta; dostają się one na stół króla Guntera, który bardzo się dziwi widząc takie ryby w kraju Franków. Prze-

woźnik, na pytanie, zkąd-by je miał, opowiada o wędrownym rycerzu i pięknéj damie, dodając, że za każdém stąpieniem konia szkatułki brzęczały jakby pełne były złota i klejnotów. Hagen, który siedzi też za stołem, zgaduje, że to towarzysz jego Walter z ziemi Hunnów powraca. Król Gunter nie posiada się z radości, że skarby, które ojciec jego haraczem pomnażał, wracają do kraju jego. Wybiera wnet dwunastu rycerzy, aby gonili za uciekającymi; Hagen, choć odradza to, należy do wyprawy. Tymczasem Walter dostał się w Wogezy i przebywa puszcze, pełne zwierzyny, oraz odgłosu trąb i ogarów; znajduje tam pod dwoma nachylonemi głazami jaskinię ze świeżą murawą. Tu chciałby Walter spocząć; do téj chwili nie spał inaczéj, jak wsparty na tarczy; teraz zrzuca zbroję; kładzie głowę na łonie panny, która, czuwając nad nim, bacznem okiem w dal spogląda. Dostrzegłszy z daleka kurzawę, budzi Waltera. Uzbraja się on, porywa tarczę i dzidę i staje u wnijścia jaskini. Hiltgunda, obawiając się Hunnów, prosi go, aby jéj głowę uciął, iżby niczyją prócz niego się nie stała. Ale rycerz poznaje Nibelungów, a po hełmie towarzysza swego Hagena, którego jednego tylko się lęka. Król Gunter szedł śladami na piasku wyciśniętemi; dopadłszy nareszcie z rycerzami swojemi, wysyła Kamela z Metzu, aby zażądał od Waltera rumaka ze skarbami i panną. Bohater ofiaruje sto złotych pierścieni, jeżeli go od walki uwolnią. Hagen radzi królowi zgodzić się na to, ale gdy słowa jego nie mają skutku, odjeżdża i staje na wzgórku. Kamelo jedzie raz jeszcze z poleceniem, aby żądał od Waltera całego skarbu, a w razie odmowy, aby walkę rozpoczął. Nadaremnie Walter ofiaruje dwieście pierścieni. Kamelo ciska dzidę, Walter się uchyla, rzuca swoją, trafia w prawą rękę i mieczem przebija Kamela. Potém po kolei walczą Skaramund, synowie Kamela, Werhard, Sas Eckevrid, Hadward, Patavrid siostrzan Hagena, nadaremnie upominany przez wuja i samego Waltera, Gerwit, Randolf, Helmnod, Trogunt ze Strasburga, Tonast ze Spiry. Wązkość ścieżki dozwala walki tylko pojedyńczéj; Walter jednego po drugim przemaga. Król Gunter, zostawszy sam jeden, bieży do Hagena i błaga go, aby do walki przystąpił; po długim oporze, Hagen radzi przedewszystkiém wywabić Waltera z obronnéj kryjówki. Odjeżdżają tedy i czynią zasadzkę. Tymczasem słońce zaszło; Walter nie chce po nocy, jak złodziej, umykać; przegradza tedy drogę do pieczary cierniami i przywiązuje zdobyte rumaki. Wsparłszy głowę na tarczy, zasypia przez pierwszą część nocy, a panna tymczasem, siedząc przy głowie jego, śpiewem sen sobie odpędza. Potém Hilgunda kładzie się na spoczynek, a Walter, wsparty na kopii, straż trzyma. Z rana składa zdobyty oręż na czterech koniach, na piątego sadza narzeczoną, a szó-

stego sam dosiada. Nie daleko doliną ujechali, aż tu za niemi gonią Gunter z Hagenem. Walter każe natychmiast narzeczonéj, wraz z koniem Lwem, niosącym skarby, wjechać do pobliskiego lasku, a sam staje do walki. Hagen chce pomścić siostrzana i głuchym jest na wspomnienia Waltera o ich dawnéj przyjaźni, gardzi pełną tarczą złota, którą mu on ofiaruje. Od drugiéj do dziewiątéj godziny walczy pieszo z dwoma przeciwnikami. Nareszcie ciska nagle kopią na Hagena, a jednocześnie nacierając mieczem na Guntera, odcina mu kawał uda, tak, że król upada na tarczę. Walter chce go dobić, ale Hagen wsuwa głowę swoją pod miecz; pęka on, uderzając się o hełm Hagena, a gdy Walter z gniewem rękojeść precz odrzuca, Hagen rąbie go w prawą rękę. Chwyta on jednak ranioném ramieniem za tarczę, lewą ręką porywa krótki miecz huński i odcina Hagenowi prawą szczękę wraz z okiem. Tak okaleczywszy się wzajemnie, leżą obok na murawie. Hildgunda, przywołana przez Waltera, przewiązuje rany i pokrzepia ich winem. Król, jako leniwy w walce, dostaje ostatni. Na około nich leżą noga Guntera, ręka Waltera i drgające jeszcze oko Hagena. Ale trzéj bohaterowie żartują sobie przy kielichu: Walter ma polować na jelenie, aby dostać skóry na rękawiczki, z których prawa będzie wypchana; miecz będzie przypasywał u prawego boku, a żonę lewą ręką obejmował; Hagen jeść będzie zamiast mięsa dzika delikatną kaszkę i zezując witać bohaterów. Tak więc odnawiają dawne pobratymstwo, wśród krwi potoków. Wreszcie jęczącego króla sadzają na konia; Frankowie udają się ku Wormacyi, a Walter do ojczyzny."

Oczywiście powieść Bogufała nie jest powtórzeniem téj Eckehardowéj; różnice w szczegółach są tak znaczne, że pomimo podobieństwo w innych względach, nie mamy prawa twierdzić, aby pomiędzy polską a szwajcarską odmianką zachodził bezpośredni stosunek; musimy więc z Szajnochą powtórzyć, iż prawdopodobnie i sanktgalleńska i polska postać legendy są przerobieniami jakiejś dawniejszéj, zaginionéj, łączącéj w sobie szczegóły obu późniejszych waryantów.

Do literatury tych waryantów, wymienionéj przez Szajnochę (Szkice, wyd. 1857, II, 10), dodać winienem parę szczegółów, jemu naówczas nieznanych. Naprzód, że w Nibelungach (awantura 28 i 39) są krótkie wzmianki o przygodach Waltera i Hildegundy; powtóre, że w r. 1860 odkryto dwie kartki anglosaskiego tekstu naszéj legendy dziewiątego wieku, a więc o dwa stulecia starszego od poematu sanktgalleńskiego. Nie podaję urywka tego w całości, lecz streszczam tylko ważniejsze rysy:

Chwila akcyi jest dniem drugim walki, gdy towarzysze Guntera i Hagena już są pobici; Walter lęka się potykać z nimi, bo Gunter

straszny, niezwalczony miecz posiada; ofiaruje mu wszystkie skarby i miecz swój, dzieło sławnego Wielanda, ale nadaremnie. W tém występuje dziewica, nie nazwana po imieniu, zachęca i ośmiela kochanka do boju, mówiąc, iż haniebnie było by gdyby z placu ustąpił i że nie powinien się lękać śmierci, ufając w Bogu i polegając na zacności swojéj sprawy. Walter tak upomniany, występuje do walki; Gunter zaczyna zalety miecza swego podnosić... i na tem kończy się urywek (Haupta Zeitschrift XII, 265).

Porównywając ten urywek z odpowiednim ustępem naszéj wersyi, widzimy, że podobieństwo szczegółów jest, ale dalekie; dochodzimy zatém do wniosku, iż polska postać legendy Walterowéj z innego jakiegoś oryginału zachodniego jest wzięta, którego dotąd nie wykryto, oraz, że postać niemiecka znaną już była w wieku IX i że dopiéro znacznie późniéj przerobiono ją na poemat łaciński, mniéj wszakże od niéj, niż od polskiéj wersyi różniący się.

Kończąc wreszcie rzecz moję o pierwszéj części podania, dodaję jeszcze poprawkę wzmianki Szajnochy o polskiém obrobieniu legendy w „Tygodniku Wileńskim“ z roku 1817 na 1819 (Nr. 149 i 150), wymieniam najnowsze wydanie tekstu łacińskiego obrobienia Eckehardowego, wraz z przekładem niemieckim przez Holdera i Scheffela w Sztutgardzie w r. 1874. Przypominam także, iż Magnuszewski z legendy naszéj korzystał w pierwszym obrazie utworu swego p. n. „Niewiasta polska w trzech wiekach.“

II.

Szukając źródła, czy odmianek pierwszéj części podania, nie wyszliśmy po za granice sąsiednich nam Germanów; zresztą osnowa jego tak jest niekunsztowna i mało charakterystyczna, że może być po prostu jednym tylko wątkiem jakiegoś większego podania rycerskiego, może nawet nie posiadającego ani rozgałęzienia, ani rodowodu.

Inaczéj rzecz się ma z drugą częścią naszéj legendy, któréj nikt u nas dotąd porównawczo nie badał. Wiąże się ona z szerokiém kołem podań i sięga aż Azyi, a może właśnie ztamtąd płynie.

Wprzód nim zastanowimy się nad szczegółami i genezą téj baśni, potrzeba, aby czytelnik poznał zasób faktów do porównania niezbędnych; i tu więc muszę wypisywać osnowę podań pokrewnych, bo nie przypuszczam, aby czytelnikowi były znane, albo też aby posiadał dzieła, w których się one mieszczą; że zaś przeciwny jestem przytaczaniu legend w zupełnie skróconém streszczeniu, bo tracą

przez to ostatecznie koloryt i stają się niezdatnemi do szczegółowego porównania z innemi, muszę więc nadużywać cierpliwości czytających i dyskrecyi redakcyi, zamieszczając kilka baśni w takiéj formie, jak je znajduję w książkach, które mam pod ręką.

Korzystam tu po części ze wskazówek Liebrechta i Benfeya; szczegółową wskazówkę zaś literatury podam na końcu rozprawki.

Rozpoczynam od przytoczenia baśni, zawartéj w zbiorku legend średniowiecznych, zwanym „Nugae curialium“ (Rozrywki dworzan); zebrał je Walter Mapes, czy raczéj Map, anglik, archidjakon oxfordzki z końca XII wieku. Rozdział 4-ty części 3-ciéj opowiada następną historyą, pod napisem: „O Razonie i jego małżonce.“

„Razo, chrześcianin, walwassor (panek feudalny), wybudował sobie zamek w sąsiedztwie pewnego admirała poganina i wdaje się w częste utarczki z sąsiadami. Ma syna i drugą żonę; téj oddaje razu pewnego pod straż pojmanego admirała; ale ona, w nieobecności męża, ucieka z nim na ulubionym rumaku małżonka. Ten, żałując jedynie straty konia, wkrada się, przebrany za żebraka, do miasta pogańskiego; tam, poznany przez żonę, zdradzony przez nią, idzie na stracenie, lecz go uwalnia nadbiegający syn, który zabija admirała, a żona tymczasem uchodzi. Przebrawszy się znowu Razo, nie mogąc się pocieszyć po stracie rumaka, powtórnie wciska się do miasta nieprzyjacielskiego i podsłuchuje niewierną swą żonę, jak się umawia z pewnym rycerzem, aby uciéc z nim o świcie. Czuwa tedy całą noc w miejscu przez nich wskazaném; kobiéta pierwéj przybywa od kawalera, a nie poznawszy męża, ucieka z nim, wsiadłszy na ulubionego jego rumaka. Lecz gdy mąż ze znużenia zasypia, żona poznaje go po chrapaniu; prosi aby spoczął w ustroniu, on jéj słucha, ale z konia nie zsiada i drzemie wsparty na kopii. Tymczasem rycerz pogański, przekonany iż go oszukano, dopędza ich; ale Razo, zbudzony rżeniem i tupaniem konia, przywołuje garstkę rycerzy, ukrytych w pobliżu pod wodzą syna, zwycięża przeciwników i wraca do zamku; syn zaś jego w zapale walki ścina głowę macosze i unosi ją jako zdobycz.“ (Liebrecht *Zur Volkskunde*, 1879, str. 39).

Teraz z kolei poznajmy dwa podania ludu ruskiego. Pierwsze nazywa się o Iwanie Hodynowiczu i podaję je według wersyi Kirszy Danyłowa, ukraińca z XVIII w.

„Książę kijowski Włodzimierz wysyła w świat syna swojego Iwana Hodynowicza, aby żony sobie się postarał. Jedzie on do Czerniechowa, do bogatego „gościa“ t. j. kupca Dymitra, z „jerłykiem“ czyli listem polecającym od księcia. Dymitr oświadcza mu, że Nastasja, córka jego, przyrzeczona już jest „zagórskiemu carowi“ Afromejowi, a gdyby za Iwana poszła, toby została „chłopką.“ Wraca

młodzian do Kijowa i donosi o tém księciu Włodzimierzowi; ten w gniew wielki wpada, daje wojsko swoje i każe przemocą pannę zabrać. W Czerniechowie Iwan zastaje „murzów-ułanów,“ posłów od cara z podarunkami, a sam Afromej stoi o pół mili od miasta we trzy tysiące wojska. Nie przestraszony tém jednak, Iwan zabiera sam jeden Nastasję, wsadza ją na konia, odjeżdża w pole, stawi namiot i zabawia się z panną. Car Afromej wyzywa go na pojedynek; biją się w obec Nastasji; Iwan już ma obalić cara, gdy ten przypomina pannie, że zostawszy żoną Iwana, chłopką się stanie, więc ona chwyta za nogi bohatera, obalają go we dwoje, wiążą mu „białe ręce“ i przywiązują do „dębu surowego;“ car Afromej idzie z Nastasją do namiotu „poigrać“ na złość Iwanowi. Lecz w tém pojawia się odsiecz z Kijowa, stu wojowników; uwalniają oni Iwana; ten puszcza wolno cara; ale pastwi się nad Nastasją: odcina jéj jedną rękę, potem drugą, potem nogi, potem obrzyna usta i nos, a nareszcie ucina głowę.“ (Or. Millera Ilja Muromec od str. 369).

Drugie podanie, mające związek z cyklem przez nas rozpatrywanym, ma za bohatera Potoka, czy Potyka; z dwóch o nim legend zamieszczam tu tę tylko, która nas obchodzić może.

„W nieobecności Potoka, przyjeżdża zagraniczny jakiś car czy carowicz i wzywa żonę jego Łabędzicę-Białą (Łabędź po rusku jest rodzaju żeńskiego), aby szła zań za mąż. Ona się zgadza i z nim odjeżdża. Dowiedziawszy się o tem Potok, przebrany za kalekę żebraka, udaje się do tego cara i pod oknem prosi o jałmużnę; ale Łabędzica go poznaje, przyjmuje z udanem uczuciem i napoiwszy „napojem bezpamiętnym,“ w kamień obraca. Trzech braci ślubnych Potoka: Ilja Muromec, Dobrynia i Alosza Popowicz, długo nie widząc go z powrotem, idą go szukać; w drodze przyłącza się do nich starzec kaleka, który okazuje się czarownikiem. Znajdują Potoka w postaci kamienia; czarodziej kaleka przywraca mu kształt ludzki. Potok postanawia zemścić się nad żoną i uwodzicielem; lecz ta przekonywa go, że nie sama, ale mąż jéj obrócił go w kamień, znowu napaja go trunkiem cudownym, a gdy usnął, przybija gwoździami do ściany. Ale siostra cara cudzoziemskiego, nowego męża Łabędzicy, Marya, uwalnia Potoka; oswobodzony nie wie jak ma odzyskać rumaka swego i zbroję. Wreszcie naucza carównę Maryę, aby udała chorą i wmówiła ojcu, że widziała we śnie konia Potokowego, a na koniu pancerz i oręż, że go wodziła za cugle i że z pewnością wyzdrowieje, jeżeli sen sprawdzi się na jawie. Ojciec się zgadza, każe jéj dać konia i oręż. Potok chwyta broń, wsiada na koń, pobija całą drużynę cara nieprzyjacielskiego, zabija jego i żonę swoją Łabędzicę-Białą i żeni się z wybawicielką swą, carówną Maryą.“ (Rybnikow I, 210, 220, 229; II, 63, 71, 80).

Stasow, jeden z lepszych podanio-znawców rosyjskich, nie wątpi, iż legenda o Potoku bezpośrednio się wiąże z powieścią o czynach średnio-azyatyckiego bohatera Bogdo-Geser-Hana (Wiestnik Evropy 1868 luty str. 677). Oto jest treść téj powieści, wedle Schmidta (B. G. Chan od 273):

„Razu pewnego potężny olbrzym czarodziej przybrał postać wielkiego, szanownego lamy, przyszedł do żony Geser-Hana i zaczął ją namawiać, aby małżonką jego została. Olśniona podarunkami i bogactwem, zgadza się ona, ale z warunkiem, ażeby wprzód męża jéj zwyciężył. Potém, nauczona przez uwodziciela, idzie do Geser-Hana, powiada mu, że ten dobroczynny lama rozdał ogromne skarby ich ubogim i namawia go, aby poszedł do niego, pokłonił się mu i prosił o błogosławieństwo: to im szczęście i dostatki przyniesie. Po pewnym oporze, Geser-Han zgadza się na to; ale jak tylko pochylił głowę przed czarodziejem, aby odeń błogosławieństwo otrzymać, ten go zamienia w czarnego osła i każe mu dźwigać ogromne kupy obrzydliwego nawozu, a żonę jak swoję zabiera. Tymczasem trzéj bohaterowie, towarzysze Geser-Hana, długo nie widząc go, tęsknią za nim i naradzają się jakby go uwolnić; w tym celu udają się do drugiéj jego żony, czarodziejki; ta przybiera postać okropnéj jędzy, rodzonéj siostry lamy czarownika i mimo opór wiarołomnéj żony Geser-Hana, dostaje od niego czarnego osła, uprowadza go z sobą i przywraca mu postać ludzką. Wtedy Geser Han postanawia zemścić się nad czarownikiem, ale ten ucieka od niego, przemieniając się to w wilka, to w tygrysa; nareszcie, gdy przybiera trzecią postać lamy otoczonego pięciuset uczniami, Geser-Han nasyła nań sen, przepowiadający mu, iż nazajutrz przyjdzie do niego młody, śliczny i bardzo rozumny uczeń. Czarownik wierzy w tę wróżbę i niczego się nie domyślając, uprzejmie wita Geser-Hana, gdy ten na drugi dzień przybywa w postaci młodego, pięknego i rozumnego ucznia, bawi się z nim rozmową i przyjmuje go do swojego domu. Geser-Han, wypatrzywszy stosowną chwilę, podpala dom czarownika, który sam z trzciny zbudował. W ogniu ginie czarodziej z całą rodziną.“

Posłuchajmy teraz bajania Somadewy, które podaję według Benfeya (*Panczatantra* I od str. 439); przekonamy się, że i ta sanskrycka legenda ma pewne powinowactwo z powyższemi.

„W pewném mieście był mąż zazdrosny i miał miłą i ładną żonę; ponieważ jéj nie dowierzał, nigdzie więc saméj wychodzić nie pozwalał; nawet gdy patrzyła na malowane postacie, lękał się aby na cnocie nie szwankowała. Pewnego razu, zmuszony pilną sprawą, wyruszył z nią razem do obcego kraju. Na drodze ujrzał las przez

(dziki) lud Bhillów zamieszkały; ze strachu porzucił żonę w domu jednego starego bramina, a sam puścił się daléj. Żona, ujrzawszy przechodzących Bhillów, wybrała sobie jednego młodego i poszła za nim do wsi, jak gdyby męża wcale nie miała, za nic sobie ważąc zazdrość jego, jak woda, która most zrywa. Mąż jéj, załatwiwszy sprawę, wraca do bramina i pyta o żonę. „Nie wiem, gdzie poszła, odpowiada bramin; to tylko wiem, że tu przychodzili Bhillowie, więc pewno ją uprowadzili; wieś ich znajduje się tu w pobliżu, idź tam natychmiast, może ją odbierzesz, inaczéj nic nie poradzisz.“ Taką odpowiedź otrzymawszy, poszedł mąż płacząc i narzekając na przewrotność kobiét do wsi; ujrzał tam żonę, która, spostrzegłszy go, strachem przejęta, mówi: „To nie moja wina, to Bhilla jeden przemocą mię tu uprowadził.“ Mąż, zaślepiony miłością, powiada jéj: „Chodź więc, uciekajmy nim nas zobaczą.“ A ona na to: „Teraz właśnie jest chwila, gdy Bhilla wraca z polowania, a gdy wróci, to będzie nas gonił i pewno oboje zabije. Więc lepiéj pójdź tu do téj jaskini i siedź ukryty. W nocy, gdy zaśnie, zamordujemy go i wtedy bez obawy ztąd się oddalimy.“ Po tych słowach niegodziwéj kobiéty, mąż schował się w jaskini. Ona zaś dała znać o tem Bhilli, który pod koniec dnia powrócił. Okrutny, silny Bhilla wyciągnął go z ukrycia i przywiązał do drzewa, aby nazajutrz uczynić zeń ofiarę bogini Dewi; a tymczasem, w oczach jego, zjadł wieczerzę z żoną jego, nasycił się jéj pieszczotami i usnął rozweselony w jéj objęciach. Mąż, wściekając się z zazdrości, widząc siebie związanym, a jego śpiącym, począł gorąco wielbić boginię Czandi (ta sama co Dewi, Durga), uciekając się do niéj w niedoli. Ukazała się tedy mu ona i obdarzyła go łaską, iż własnym Bhilli mieczem rozciął krępujące go więzy i odrąbał mu głowę. „Pójdź teraz, zabiłem tego łotra,“ rzekł do żony, obudziwszy ją. Wstała ona i zasmuciwszy się wielce, zabrała niepostrzeżenie głowę Bhilli i poszła za mężem. Kiedy nazajutrz przyszli do miasta, zaczęła wołać płaczliwym głosem, ukazując głowę: „Ten oto zabił małżonka mojego!“ Więc strażnicy miejscy zaprowadzili ich oboje przed króla; mąż opowiedział wszystko, a król, zbadawszy prawdę, kazał złéj niewieście obciąć nos i uszy, a męża wolno puścić.“

Powyższa baśń jest jedną z wielu, które Benfey przytacza jako powinowate z legendą Panczatantry (I, od 303 „Jak kobiéta za miłość odpłaca“); w legendzie téj wiarołomna żona wrzuca męża do studni i bierze za kochanka kalekę; w innych podaniach, przez Benfeya przytoczonych, kalecy bez rąk i nóg grają rolę uwodzicieli; a w jednéj bajce kałmyckiéj nieboszczyk więcéj kochany jest przez żonę od męża (Jülg, Kalmük, Märchen, bajka X). Zdaje się, że w legendach

budyjskich starożytne podanie aryjskie o niewiernéj żonie przybiera jakby postać ilustracyi do słów Buddy o kobiétach: „Każda niewiasta zgrzeszy, gdy się nadarzy sposobność popełnienia grzechu potajemnie, choćby kochanek był bez rąk i nóg“ (Panczat. II, 442). Wiadomo bowiem jak głęboką pogardę, żywił człowiek wschodni do kobiéty, jak jéj ani trochę nie wierzył, zamykając w haremie, strzegąc i karząc haniebnie za przeniewierstwo. Wiadomo także iż znaczniejsze maksymy moralne, wkładane w usta różnych założycieli i reformatorów religijnych, z biegiem czasu przybierały postać legend, osnutych na owych apoftegmatach, coś nakształt tak zwanych „przysłów dramatycznych“ naszego czasu, powstających z kilku słów aforystycznych. Otóż owe liczne odmianki powieści o niewiernéj żonie, przywiedzione przez Benfeya wyglądają na tego rodzaju wypełnienie zdania Buddy, nie tracąc jednak cech, łączących je z rozbieraną przezemnie grupą bajek.

Stosując do niéj metodę, używaną przy porównywaniu podań, rozbierzmy pokrótce główne wątki, stanowiące niby szkielet każdego z nich i sformułujmy je zwięźle; okaże się wówczas że i w innych baśniach téż wątki odkryjemy, ale inaczéj skombinowane z innemi i w innym porządku posplatane.

W najogólniejszém objęciu treści wyżéj przytoczone podania rozkładają się na następne najprostsze cząsteczki:

1. Wiarołomna żona, najczęściéj bez wyraźnego powodu, ucieka z uwodzicielem.

2. Mąż dostaje się do niéj, ale ujęty podstępnie, zostaje przywiązany, lub przykuty w pobliżu łoża wiarołomnéj i musi patrzéć na pieszczoty jéj z uwodzicielem.

3. Siostra tego ostatniego (brzydka, jędza) porozumiewa się z jeńcem, uwalnia go, daje mu miecz, którym zabija występną parę.

Te trzy wątki w całości, lub częściowo występują we wszystkich wyżéj wypisanych podaniach. Nie potrzebuję, zdaje się, szczegółowemi wskazówkami rzeczy téj uwydatniać, tak dalece podobieństwa są wyraźne. Oczywiście mamy tu przed oczami jakiś dawny a szeroko rozgałęziony cykl podań o niewiernéj żonie, która całowała kochanka w obec związanego męża.

Ten ostatni wątek znajdujemy i w innych podaniach, ale inaczéj wpleciony; tak np. w baśniach zebranych przez Balińskiego, jędza, siostra rycerza, zdradza go dla miłości olbrzyma, mniéj więcéj w sposób taki, jak w naszych podaniach (około str. 120); w innéj znowu bajce, opowiedzianéj mi pod tytułem „Wierny sługa Pisielkiewicz,“ a krążącéj na Żmudzi, żona dla miłości Lucypera zdradza męża. Tym wątkiem cykl nasz wiąże się z obszerném kołem baśni,

w których niegodziwa żona zdradza męża przez zabranie mu miecza lub innego talizmanu, który go czynił niezwyciężonym.

III.

Najnowsze badania wiaroznawcze czyli mitologiczne doprowadziły do odkrycia klucza mitów; nie wszędzie, nie jednostajnie i nie do wszystkiego zastosowano tę metodę, nie wszystko jasno wytłómaczono, o wielu rzeczach różne zdania wyrażono,—ale zgoda z logiką i coraz dalsze a głębsze porównania utwierdzają mitologów w przekonaniu, że nowa metoda w zasadzie jest prawdziwą, a tylko w zastosowaniu do szczegółów niepomyślne czasami skutki wydaje i to z winy nie metody samej, ale tych, którzy ją nie dość trafnie lub zbyt gorliwie do faktów stosują.

Metoda ta polega na tém, że w każdém wierzeniu, w każdym micie, w każdém podaniu doszukujemy się podwaliny zjawiskowéj, to jest gruntu przyrodzonego. Fenomena astronomiczne, meteorologiczne, biologiczne i wogóle wszelkie ruchy świata zewnętrznego odbiły się w świadomości człowieka pierwotnego całym szeregiem fantazmatów, w których zjawiska zewnętrzne, przełamane przez pryzmat mało rozwiniętego umysłu, wystąpiły jako nowy świat, stworzony na obraz i podobieństwo ludzkiego. Istoty tego świata uposażyła wyobraźnia pierwotna duszą nakształt ludzkiéj (animizm) i wogóle postacią cielesną i duchową na podobieństwo ludzkiéj (antropomorfizm). Mitologowie są nieraz w kłopocie, jakiém królestwem przyrody, jakiém szczegółowym jej fenomenem tłómaczyć należy dane wierzenie, daną postać mityczną: ale wogóle niema dziś już wątpliwości, że świat mityczny tłómaczy się jako refleks zewnętrznego, że wszystkie promienie padające ze zjawisk przyrody na wrażliwość człowieczą, załamywały się w sennéj świadomości praojców naszych i niezmierzoną ilość widm w niéj wytworzyły.

Mamy prawo tedy zapytać, co znaczy cykl podań, pokrewny z legendą o Walterze Tynieckim, przetłómaczony na mowę fenomenalną? Odpowiedź na to dać można, lecz z natury rzeczy będzie ona ogólnikową; brak bowiem obrobienia szczegółów w młodéj nauce naszej nie pozwala stąpać śmiało i mieć na pogotowiu niewątpliwą odpowiedź na każde zapytanie.

Zróbmy tu porównanie z lingwistyką. Weźmy np. wyraz *przeznaczenie* i pytajmy do jakiego pnia pierwotnego mamy go zaliczyć; przypuśćmy, że językoznawstwo pierwsze dopiéro kroki stawia i że ogólnikowo tylko wiemy, iż istnieje wzajemne pokrewieństwo grupy języków aryjskich, ale praw odpowiedniości

brzmień nie ustaliliśmy jeszcze, lecz je tylko przeczuwamy. Odpowiemy tedy, że po polsku ostatnim atomem wyrazu naszego będzie *znak*, albo raczéj *zna*, a w innych językach aryjskich coś nakształt tego; w łacinie wyraz *ignarus*, a w grecyznie gnōmon, gnōsis wydadzą się nam pokrewnemi, w sanskrycie dżnāna (wiedza) nasunie się do porównania i tak powoli nawleczemy na nić badania naszego, wszystkie jednobarwne paciorki faktów; utworzy się grono wyrazów pokrewnych, odtworzy się idealna postać pnia, praojca wszystkich form aryjskich, a po zbadaniu wielu grup podobnych, wysnują się dopiéro prawa głosowe, przy których pomocy zdołamy potém z góry przepowiadać postacie danych wyrazów w różnych językach.

Astronomia, jak wiadomo, celuje w takich proroctwach: dawna to i opracowana nauka, wzór ścisłości i wyrobienia dla innych; językoznawstwo coraz téż ściślejszém i niemylném się staje; mitologia z natury rzeczy nie prędko doskonałość osiągnie: jako gałąź wiedzy skomplikowana i niezmiernie obszerny zakres posiadająca, zaledwie dzisiaj o swych siłach chodzić zaczyna.

Jeżeli tedy nie każdemu od razu błyśnie myśl, jaką drogą wyraz *przeznaczenie* wiąże się brzmieniem i znaczeniem z pniem *zna*, to i w zadaném wyżéj pytaniu mitologicznéin trudność leży nie tyle w wynalezieniu pnia kosmicznego, ale w wyszukaniu zapomnianych ogniw pośrednich, które łączyły podanie nasze ze źródłem, prawie z pewnością wskazać się dającém.

Niewątpliwie bowiem zdradzony, ujęty, przykuty, miecza pozbawiony, wystawiony na naigrawanie się wroga bohater, to słońce zimowe, pozbawione promienia-strzały, schowane gdzieś w ciemnéj jaskini mroku i chmur; a słońce zimowe to zupełnie to samo co bóg gromów i słońca, Gromnik wszechpotężny, ujęty przez Czarnoboga jakiegoś, związany okowami mgieł i chmur zimowych, pozbawiony pocisku piorunowego, upokorzony jak Herkules u stóp niewiasty, jak Baldur podstępnie zabity, jak Ozyrys na sztuki pokrajany, jak to mnóstwo innych bóstw i bohaterów, umierających lub więzionych czasowo, aby z wiosną zmartwychwstać, porwać znów miecz-piorun i wrogów poskromić, jak Walter z więzów uwolniony, chwytający za swą broń potężną i niszczący upokorzenie.

Ale przeprowadzić przez szczegóły téj ogólnéj wskazówki dziś jeszcze nie możemy, bo nam niedostaje mnóstwa kółek pośrednich, które niegdyś tego Waltera z bohaterem kosmicznym spajały. Roztropniéj tedy będzie tu w pochodzie porównawczym się zatrzymać, niż iść daléj niepewnym gruntem, przeprowadzać forsowną paralelę pomiędzy Walterem a Wotanem (jak to czyni autor najśwież-

széj o Walterze pracy, o któréj zaraz powiem) i narażać się na rozwianie dowodów w dym i mgłę hipotetyczną.

Czas niezawodnie przyniesie ślady zagubionéj drogi i nauka dowie się jakim torem mit o upokorzonym słońcu-piorunie zakwitł legendą o przykutym Walterze i osiedlił się w starożytnym Tyńcu naszym. Tymczasem zaś nie opuszczajmy pewnego gruntu badania i zadowolnijmy się wskazaniem na odmianki i refleksy naszego podania, oraz na prawdopodobne źródło jego w świecie zjawisk przyrodzonych.

Pozostaje mi jeszcze powiedziéć kilka słów o rozprawce nauczyciela gimnazium w Jarosławiu pana Rischki: Verhältniss der polnischen Sage von „Walgierz Wdały" zu den deutschen Sagen von „Walther von Aquitanien". Posłużyła ona dla mnie za pobudkę do napisania obecnego studium. Oddawna już miałem zasoby do porównawczego roztrząśnienia legendy tynieckiéj i zbierałem się je drukiem ogłosić; ale ukazanie się wymienionéj broszury dopiéro zachęciło mię do ponownego rozpatrzenia materyałów i skreślenia obecnéj rozprawki.

Praca pana Rischki zasługuje na uwagę, jako próba okazania w legendzie naszéj, ni mniéj ni więcéj jak „najdawniejszéj germańskiéj postaci mitycznéj, przechowanéj na gruncie polskim" (str. 64). Próbę tę jednak uważam za chybioną. Widać w niéj wprawdzie gruntowne obznajomienie się z literaturą legendy, ale brak oswojenia się z metodą mitologiczną, oraz znajomości badań mitologicznych, tak ogólniejszego zakresu jak i specyalnie do obranego tematu odnoszących się, czuje się na każdym kroku. Argumentacya pana Rischki opiéra się przeważnie na niepochwytnych drobnostkach i stara się obszernie przekonywać o tém, o czém nikt nie wątpi. Tak np. parę stron (10—20) pan R. poświęca wysnuciu z Boguchwałowego wyrazu *olim* dowodów, że baśń o Walterze nie w ostatnich czasach pogaństwa, ale we wcześniejszéj jego epoce do Polski przybyła. Kronikarzowi zapewne ani się śniło, pisząc owo *olim* że ktoś ważyć będzie to słówko i przesądzać, ile wieków mierzy. Ze zaś nie mnisi tynieccy podanie ze Szwajcaryi przynieśli, dawno już nas o tém zawiadomił Szajnocha; nadaremnie więc pan R. obszernie wojuje (str. 15 do 25) z „uporem przeciwników" (str. 21), których doprawdy niéma.

Na str. 25 pan R. wnioskuje, że skoro podanie polskie nie jest zapożyczone z St. Gallen, więc „mamy w niem szczęśliwy i ważny nabytek dla starożytności niemieckich, *którego dotychczas napróżno szukaliśmy.*" Wygląda to, jakby p. R. uważał się wynalazcą tego

nabytku; a jednak w r. 1838 już Jak. Grimm zestawiał podanie niemieckie z Boguchwałowem (Latein. Gedichte str. 113).

Zupełnie fantastycznem wydaje się przypuszczenie pana R. (str. 29), jakoby podanie o Walterze przyniósł do Polski i pielęgnował (!) jakiś odłam szczepu niemieckiego, oderwany od swoich podczas napadów Hunnów. Czy dla wyjaśnienia udzielenia się jednéj legendy sąsiedniemu ludowi wolno uciekać się do tak zuchwałéj hipotezy?

Teorya mitologiczna pana R. (str. 32), że jakoby z „pojęć o działaniu sił przyrody“ człowiek pierwotny wytwarzał postacie bogów, a potém, przez upodobnienie ich do ludzi, przekształcał na bohaterów, nie wytrzymuje krytyki. „Człowiek pierwotny“ i „pojęcia o działaniu sił przyrody“, to jaskrawa contradictio in adjecto; a co do późniejszego jakoby uczłowieczania pierwotnych bogów, to rzecz podobno ma się odwrotnie: pierwotne duchy nadprzyrodzone tworzyły się właśnie na obraz i podobieństwo ludzi pierwotnych, a potém dopiéro rosły, przez stopniowe skupianie atrybutów, i przybierały postać bogów.

Zbliżenie polskiéj legendy o Walterze do mitu Odynowego (od str. 33) wydaje mi się zgoła naciąganém. Pan R. bierze na serjo każdy frazes, każdy wyraz kroniki Boguchwała i odszukuje paraleli lub wytłómaczenia w mitologii niemieckiéj, a w szczególności w podaniu o Odynie i Balderze, zapominając iż frazeologia średniowieczna a treść podania ludowego, to rzeczy odrębne, oraz że indywidualność kronikarza w zapisaniu podania odgrywała nie małą rolę. Tak np. śpiew pod oknem, rys bardzo zwykły w powieściach rycerskich średnich wieków, któryby mógł być lub nie być w opowieści Boguchwała, urasta w oczach pana R. na wątek mitologiczny i powód do utożsamienia Waltera z Balderem.

Mit o Balderze jest taki: Zapłonął ten syn Odyna gorącą miłością ku Nanie, narzeczonéj Hotara; współzawodnicy walczą, Balder zwycięża; ale Hotar, przy pomocy miecza cudownego, pobija Baldera i żeni się z Naną; po dalszych zapasach jednak musi uciekać do puszczy; tam wzmacnia się napojem cudownym i śmiertelnie rani Baldera.

Jakież tu podobieństwo znaleźć można do dziejów Waltera? Chyba w drobnych szczegółach życia rycerskiego; które tysiącom podań za ornamentykę służą. A jednak pan R. na kilkudziesięciu stronach frazes po frazesie rozbierając, szuka mniemanéj jednostajności.

Drobne, podrzędne okoliczności grają w oczach jego rolę ważnych wskazówek. Na str. 47 z tego że 'legenda szwajcarska mówi

o uwożeniu skarbów i mycie na przewozie, pan R. wnosi, iż „wątek ten wskazuje na czasy, gdy już chciwość złota zapanowała pomiędzy ludźmi i to mu służy za dowód że polska odmianka legendy „bliższą jest złotego wieku“ (?).

Przy tak drobiazgowém ważeniu każdego wątku i naciąganiu podobieństw, można wszystko ze wszystkiego wyprowadzić. Zresztą winna tu metoda, a téj w Niemczech trzyma się nie jeden pan Rischka. Opiéra się ona na panującym jeszcze wpływie teologicznéj metodyki niemieckiéj, któréj głównemi znamionami są: nieszczerość, drobiazgowość, pedanteria i sofistyka.

Lecz naogół jako przyczynek literacki do wyjaśnienia legendy Walterowéj, broszura pana R. ma niezaprzeczoną wartość, choć z mitologicznemi jéj wnioskami trudno się pogodzić.

Kończąc rzecz moję, muszę kilku jeszcze słowami dotknąć kwestyi językowéj co do nazwy „Walgierz Wdały“ wprowadzonéj przez Szajnochę. Jakem to już powiedział, różne kopie Bogufała rozmaicie piszą imię bohatera legendy, nie wychodząc po za dwa główne typy: *Walter* i *Walcer*. Paprocki, jak widzieliśmy, stale nazywa go *Walcérem*. Zkąd Szajnocha wziął formę „*Walgierz* (lub Walcer“) i dla czego wolał pierwszą od drugiéj, nie wiem. To pewna że Bogufał odwołując się do polskiéj nazwy mitycznego pana na Tyńcu, pisze ją *Walter* („qui in polonico vocabatur wdały *Walter*“; *wdały* jest tu poprawką Bielowskiego, przejętą od Szajnochy). Nie widzę przeto powodu zmieniania tego imienia na *Walgierz*, tém bardziéj, że po niemiecku (i w poemacie łacińskim) brzmi ono *Walther* (Waltharius).

Co do przydomka *Wdały*; zauważmy przedewszystkiém, iż forma jego w polszczyźnie jest niemożebną, przymiotnik ten bowiem, a raczéj imiesłów, pochodzi od *udać się* i po polsku, jeźli kiedy istniał, musiał brzmiéć *udały*, jak to w kilku kopiach Bogufała widzimy; w innych zaś *w*, jak często w rękopisach średniowiecznych, zastępuje *u*. Domyślać się można iż Sajnochę i Bielowskiego do przyjęcia postaci *wdały* skłonił prowincionalizm polsko-rusiński *nieudały*=nieudatny, niedołężny (u wymawia się tu z rusińska, między *u* i *w*), z którego łatwo wywnioskować *wdały*. W téj formie i w tém znaczeniu istnieje wyraz ten tylko w języku rosyjskim: *udałoj* i ma rozgałęzienie (*udalec*, *udal*, *udalstvo*). Rusini krewiccy i ukraińscy posiadają go tylko z przeczeniem, w znaczeniu niedołężnego, niedowarzonego. Polacy na Litwie i Ukrainie używają czasem tego wyrazu w temże znaczeniu. T. Jeż (Tygodn. illustr. ser. 1 tom III str.

199 kol. 1) używa wyrazu polskiego nawet bez przeczenia, mówiąc o obrazie że jest *udały*, to jest że się udał; ale od nikogo więcéj nie słyszałem téj formy i mniemam, iż jest wytworzoną z prowincionalnéj: *nieudały*, wymawiającéj się prawie jak *niewdały* (samemi wargami, bez udziału przednich zębów dolnéj szczęki).

Zanotujmy wreszcie jako fakt charakterystyczny, że Wójcicki w Klechdach (we wszystkich trzech wydaniach) pisze *Wdali* Walgerz, nie czyniąc najmniejszego wysiłku ku wyjaśnieniu znaczenia tego przydomka. Pan Rischka zaś znajduje, że forma „Wdały“ jest tak dalece „zgodnéj z językiem, jędrnéj i rodzinnéj natury (sprachgerechter, kerniger und sprachunmittelbarer Natur), iż w żaden sposób z obczyzny, np. z łacińskiego *manu fortis* powstać nie mogła.“

Jan Karłowicz.

PYTANIE

IDYLLA

PRZEZ

Jerzego Ebersa.

(Dalszy ciąg).

3. Lizander.

Zbliżywszy się do domu, Ksanta posłyszała nawoływania Semestry i wesołe dźwięki monaulu (1).

Na podwórze potrafił się dostać kuglarz i pokazywał śmiejącym się widzom sztuki swoich tresowanych kur i kogutów.

Był-to człowieczek karłowatego wzrostu, z nogami wygiętemi na zewnątrz, na krótkiéj szyi spoczywała ogromna głowa z nader wystającém czołem, które jak altana ocieniało małe świdrujące oczki.

Pierzaci sztukmistrze tego człowieczka mieszkali w dwukołowéj biedce, ciągnionéj z wioski do wioski i z miasta do miasta przez malutkiego, pstréj maści osiołka.

W téj chwili na wieku biédki stały trzy koguty i cztery kury; wyglądały one bardzo pociesznie, gdyż białe pierwotnie pióra roztropny ich właściciel, wiedząc doskonale, co się podoba oczom dzieci i wieśniaków, pomalował tu na jaskrawo czerwony ówdzie na błyszcząco żółty kolor.

Przy biédce stał blady, mizernie wyglądający chłopczyna, który wesołe melodye z monaulu dobywał.

Lizander, ojciec Ksanty, kazał się wyprowadzić przed dom na słońce i siedząc w krześle poręczowém z pięknie wygładzonego drzewa oliwnego przyglądał się widowisku.

---

(1) Było to narzędzie muzyczne, na którym grano jak na naszym flażolecie lub klarnecie.

Spostrzegłszy córkę, skinął na nią, pogłaskał ją po włosach, gdy ona czoło mu ustami swemi musnęła, i rzekł:

— Zabawne widowisko! Dwa koguty idą za tym człowieczkiem, jak gdyby były posłusznemi dziećmi. Cieszy mię, że on tu przybył, bo komu los tak jak mnie zabronił używać wesołéj zabawy poza domem, ten wdzięczność uczuć musi, jeżeli ona przyjdzie do niego. Doryppo, tobie nogi same się wyrywają. Kiedy flet przemówi, to wprawia w ruch nogi dziewcząt, jak wiatr liście topoli. Najchętniéj pewnie zabralibyście się zaraz do tańca!

Na te słowa Mopsus pod takt muzyki zbliżył się do swéj ulubionéj. Semestra atoli zastąpiła mu drogę i zwracając się napół do chłopaka a na pół do swego pana, zawołała:

— Nie czas na skoki: Kto rano tańcuje, ten wieczorem nogi łamie. Lizander zdawał się potakiwać klucznicy i rzekł:

— No, to pójdź, Chlorydo, do śpiżarni i przynieś dla tego króla kogutów dzban wina, bochenek chleba i dwa séry.

— Ile serów — zapytała stara szafarka.

— Dwa—odparł Lizander.

— Jeden aż zanadto—zauważyła Semestra.—Jeden tylko przyniesiesz, Doryppo.

Chory uśmiechając się ścisnął ramionami, ujął rękę stojącéj obok siebie córki i powiedział tak cicho, że staruszka dosłyszeć nie mogła:

— Czyż ja sam nie stałem się podobnym do tych kogutów małego głowacza? Semestra rozkazuje, a ja chcąc nie chcąc słuchać muszę. Oto idzie za Chlorydą, ażeby drugi sér ocalić.

Ksanta uśmiechnęła się do ojca na znak potwierdzenia słów jego; a on podnosząc głos, rzekł do kuglarza:

— No, przyjacielu, pokaż, co umieją twoi sztukmistrze. A wy młodzi, ty, Mopsusie, i ty, Doryppo, rozruszajcie sobie nogi, dopóki dźwięczy monaul i dopóki stara w domu.

— Popatrzymy najprzód, co koguty umieją—zawołała czarnowłosa dziewczyna, wieszając się na ramieniu kochanka i przyglądając się wraz z nim widowisku, które się rozpoczęło nanowo.

I wyrwał się niejeden okrzyk podziwu i niejeden wybuch śmiechu, bo gdy człowieczek rozkazał największemu kogutowi, żeby się ze swą sztuką jeżdżenia popisał, to kogut poskoczył natychmiast na grzbiet osiołka; kiedy go prosił, żeby konia oczyścił, kogut brał czerwone pióro z pióropuszu na głowie potulnego wierzchowca, a w końcu dowiódł, że i trębaczem być potrafi, gdy mocno wyciągnąwszy szyję piać począł.

Jeszcze trudniejsze sztuki pokazywały kurczęta: wyciągały one z drewnianego pudła dla każdego z widzów po liściu, na którym widać było jakieś znaki.

Kuglarz tylko potrafił odczytywać tę bezgraninę, która przecież zawierała niezawodną wiadomość o przyszłych losach, a człowieczek zapewniał, że każdemu jego znaki wytłómaczy.

Wychowawca rodu koguciego był roztropnym człowiekiem i miał słuch bystry. Wyraźnie słyszał, jak przez Semestrę utracił jeden ze smacznych sérów; to téż gdy klucznica powróciła, rozkazał kurze, by każdemu z obecnych oznajmiła, ile już lat przebył na téj ziemi. Dla Ksanty biała jak śnieg kurka wyliczyła złocistą głową na piasku szesnaście, a dla Mopsusa dwadzieścia i trzy—całkiem zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy.

— A teraz powiedz nam również wiek téj czcigodnéj niewiasty!—rozkazał kuglarz swéj kurze.

Semestra kazała Chlorydzie powtórzyć sobie, co powiedział człowieczek i już rozważała, czyby ze względu na „czcigodną niewiastę“ nie wypadało dać drugiego séra, gdy kura grzebać zaczęła.

Do sześćdziesięciu towarzyszyła pazurowi ptaka pochwalném kiwaniem głową, przy sześćdziesięciu pięciu zacięła usta, przy siedemdziesięciu ściągnęły się fałdy na skroni jakby wybuchnąć miała, przy osiemdziesięciu stukała w ziemię laską mirtową, a gdy kura coraz to szybciéj grzebiąc zbliżyła się do dziewięćdziesięciu i stu, szafarka zauważywszy, że wszyscy widzowie śmieli się a jéj pan trzymał się za boki z zadowolenia, z gniewem zawróciła do domu.

Jak tylko zniknęła za drzwiami, Lizander rzucił człowieczkowi półdrachmy i, klaszcząc w ręce, zawołał:

— No, dzieci, poskaczcie sobie, bo już jéjmości Semestry nie zobaczymy. Dobrześ się spisał, przyjacielu, a teraz chodź tu bliżéj i wytłómacz nam przepowiednie kur swoich.

Kuglarz pokłonił się, schylając wielką swą głowę i znów ją szybko podnosząc do góry, przyczém krótki jego tułów wydawał się nieporuszonym; następnie zbliżył się do pana domu i chwycił okrągłemi swemi paluszkami za liść będący w ręku Lizandra; ale ten odsunął rękę i rzekł:

— Najprzód ona, późniéj ja, bo jéj przyszłość jest długa, a moja...

— Twoja — przerwał człowieczek stojąc przed Lizandrem — twoja nader przyjemną będzie, gdyż kura wyciągnęła dla ciebie listek zapowiadający szczęście spokojne.

— Liść fijołka! — zawołała Ksanta.

— Tak jest, liść fijołka — powtórzył kuglarz. — Daj mi go do ręki! Tam się znajduje—popatrzno tutaj—tam się znajduje siedem kresek, a siedem—to każdemu wiadomo—siedem jest liczbą zdrowia. Szczęście spokojne w dobrém zdrowiu, oto twoja przepowiednia.

— Zapewne, bogowie powinniby mi je zesłać po tak długiém cierpieniu — westchnął Lizander. W każdym razie przyjdź tutaj za rok, a jeśli twoja gdacząca Pitya i ten listek powiedziały prawdę, i jeżeli wtedy pozwolą mi losy przystąpić do ciebie bez pomocy i bez kuli, to ci dam porządną sztuczkę materyi na świeże ubranie... Albo nie, lepiéj sprobuj szczęścia za sześć miesięcy, bo chiton twój słabszy jest odemnie i nie przeżyje pewnie całego roku.

— Ani nawet połowy — odparł kuglarz uśmiechając się filuternie. Każ mi już dzisiaj dać tę sztuczkę materyi, ażebym powróciwszy za miesiąc, mógł bawić w stosownym ubiorze gości zebranych na uroczystość twego wyzdrowienia. Nie jestem ja olbrzymem i nie uszczuplę zbytecznie twoich zapasów.

— Zobaczymy, może się co znajdzie—zaśmiał się Lizander—a jeżeli za dni trzydzieści nie wyrzucę ciebie za drzwi jako fałszywego proroka, choć w pięknéni ubraniu; to i flecista twój dostanie kawałek płótna na swe chude członki. A teraz powiedz jeszcze, jaka będzie przyszłość méj córki.

Człowieczek wziął liść z ręki Ksanty i rzekł:

— Liść to z drzewa oliwnego, odznacza się niezwykłą długością a ma jasną i ciemną stronę. Dosięgniesz późnéj starości a życie twoje upłynie wesoło albo mniéj pomyślnie, stosownie do tego jak je sobie urządzisz.

— Stosownie do tego jak je sobie urządzisz — powtórzyła dziewczyna.—To prawdziwa przepowiednia kurza. „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz“ — to było trzecie z rzędu słowo mojéj mamki.

Mówiąc to rzuciła liść na ziemię z wyrazem zawodu i rozdrażnienia na twarzy i odeszła od prorokującego człowieka.

Kuglarz przypatrywał się jéj ostro i badawczo, podnosząc nie bez trudu listek. Potém spojrzał uprzejmie na jéj ojca, przywołał ją i, pokazując palcem na spodnią stronę liścia oliwnego, powiedział:

— Zobacz-no te linie z małemi kreskami przy końcu. To ślimak z różkami. Zwierzątko powolne! Napomina ono, żeby się nie spieszyć. Jeśli cię pędzi coś do biegu, powstrzymaj kroki i zapytaj się, dokąd prowadzi droga.

— I wlecz się przez życie jak wóz zahamowany—przerwała Ksanta. Od twojéj wesołéj kury, co Semestrze sto lat wygrzebała, spodziewałam się usłyszéć coś innego aniżeli naukę moralną.

— A, zapytaj się jéj o to, do czego ci serce bije, a ona odpowiedzieć ci nie zaniedba—odparł człowieczek.

Dziewczyna spojrzała na kuglarza wzrokiem niepewnym, pokonała jednak w sobie żądzę poznania przyszłości swojéj, lękała się bowiem szyderstwa ze strony ojca. Toć wiedziała, że Lizander, kiedy był zdrów i w dobrym humorze, za największą miał sobie przyjemność drażnić się z nią aż do łez.

Chory odgadł, co się działo w duszy córki, rzekł więc zachęcająco:

— Pozwólże popisać się kurze! Zatkam sobie obydwa uszy, kiedy ty pytać będziesz wyroczni. Ba, ba, i bez tego własnych słów nie słychać przy tym monaulu i przy krzykach szalejącéj tam młodzieży. Jak miód przywabia muchy, tak dźwięki monaulu ściągają tańczyć lubiącą hałastrę. Na psa! Tam już cztery dziarskie pary machają nogami! Nie widać tylko Faona. Powiadają, że łoże w domu mego brata wydaje mu téż się za twardém i że znalazł miększe wezgłowie w Syrakuzach. Dzień dzisiejszy rozpoczął się u nas już oddawna, w mieście może nie skończyli jeszcze wczorajszego; szkoda mi tego ślicznego chłopca!

— Czy to prawda—zapytała Ksanta rumieniąc się—że stryj szuka dla niego bogatéj narzeczonéj w Messenie?

— Może i tak, ale przy swataniu nie zawsze dościga się celu. Czy ci Faon nic nie powiedzial o życzeniu swego ojca? No, to proszę cię, zapytaj człowieczka, bo tak nie wiedzieć za co dostanie nową szatę, a ty zasłonisz mię od zarzutu rozrzutności.

— Nie chcę, cóż tam zresztą głupstwo...—odparła Ksanta zarumieniona i zabierała się iść do domu.

Ojciec ścisnął ramionami, a obracając twarz ku niéj, zawołał:

— Rób jak chcesz, ale ukrój kawałek brunatnéj wełnianéj tkaniny i przynieś kuglarzowi.

Dziewczyna już w domu zniknęła.

Jednostajną była nuta, którą chłopiec nieustannie wydobywał z monaulu, ale młodzież coraz była weselsza i coraz wyżéj podnosiły się nogi.

Jakby burzą opanowane, tak trzepotały różnobarwne ubrania tak latały wstążki; a klaskaniu w ręce pod takt muzyki i wykrzykom radośnym nie było końca.

Kiedy Mopsus albo który inny chłopak silniejszym krzykiem się wyróżnił, lub kiedy jaka dziewczyna zaśmiała się całém sercem, to z oczu Lizandra przykutego do krzesła strzelał jakby promień słoneczny; często téż wznosił on ręce i wesoło się kołysał w takt muzyki.

— Doprawdy, serce twoje tańczy wraz z młodzieżą—zauważył kuglarz.

— Ale serce nie ma nóg—odrzekł Lizander i zaczął mu opowiadać o tém, jak upadł, przez jakie przechodził cierpienie, na jakie narażony niebezpieczeństwo, jakich środków używał i jak wreszcie złe szło ku lepszemu.

Opowiadał szeroko, bo mu zawsze lżéj się robiło na sercu, kiedy mógł znaleść spółczującego słuchacza, któremu by cierpień swoich historyą powierzył. A mało kto słuchał słów jego z taką uwagą jak kuglarz częścią z rzeczywistego uczucia litości, częścią z powodu uśmiechającego mu się kawałka sukna.

Człowieczek przerywał téż często Lizandrowi, zadając rozumne pytania, i nie tracił cierpliwości, jeźli opowiadacz przerwał sam sobie, ażeby się przypatrzyć wesołemu ludkowi.

— Jak oni się śmieją i jak się weselą!—zawołał chory ponownie. A toć wszyscy młodzi, i ja sam, zanim upadłem.

Zdania tego nie dopowiedział do końca, nagle bowiem nuta zamilkła, tancerze oniemieli a zamiast śmiechu i muzyki dał się słyszéć głos Semestry, równocześnie zbliżyła się do chorego i Ksanta z kawałkiem brunatnego sukna na ramieniu.

Lizander nie bez zdziwienia spojrzał najprzód na zarumienione oblicze córki, ale zaraz potém popatrzył znów na miejsce przerwanego tańca, gdyż tam wydarzyło się coś, czego pochwalić nie mógł, a co jednakże pobudziło go do głośnego śmiechu.

Młodzież, przerwawszy zabawę, po krótkim przestrachu przyszła do siebie i wyciągnęła się długim łańcuchem.

Na czele swawolników stał Mopsus.

Za każdym chłopakiem szła dziewczyna, a cały orszak łączył się z sobą, gdyż każdy z jego członków miał obie ręce na plecach poprzednika.

Śpiewając rytmiczną pieśń do tańca, z tułowiem pochylonym ku przodowi, przebierając zgrabnie nogami coraz to szybciéj obchodzili w kółko szalejącą z gniewu klucznicę.

Semestra usiłowała pochwycić to Chlorydę, to Doryppę, to inną jaką dziewkę, ale zanim się jéj to udało łańcuch się rozrywał i łączył się po za jéj plecami prędzéj, niż ona obrócić się mogła. Mopsus i czarnowłosa jego kochanka byli znów przodownikami, chłopcy

i dziewczęta podawali sobie ręce, szybko się z pierwszą parą łączyli i okrążali staruszkę wieńcem młodych śmiejących się istot.

Przez czas dość długi nie udawało się pozbawionemu panu domu potrząść głową z naganą; ale kiedy stara szafarka nie przestając łajać i laską mirtową grozić, odchodziła od siebie z gniewu i wzburzenia, Lizander przesyciwszy się wyuzdaną zabawą, zwrócił się do córki i zawołał:

— Idź i oswobódź Semestrę i rozpędź rozszalałych. I żart nie powinien przekraczać miary.

Ksanta natychmiast usłuchała rozkazu, łańcuch prysł, w jednę stronę pośpieszyły dziewczęta, w drugą chłopaki zniknęli wszyscy; czarną tylko Doryppę złapała Semestra i niezbyt łagodnemi słowy i kułakami zapędziła do domu.

— No, to po wczesnym tańcu już rankiem łzy się leją—rzekł Lizander—radzę ci tedy, przyjacielu, jeśli chcesz uniknąć połajania, to prędko opuść podwórze wraz ze swemi pierzastemi sztukmistrzami. Daj mu sukno, dziewczyno.

Ksanta wręczyła kuglarzowi brunatną tkaninę.

Spełniając rozkaz ojca, zarumieniła się z lekka, bo gdy z całego postawu chciała była ukroić znaczną sztukę, Semestra wzięła jéj nóż z ręki i rzekła gniewnie:

— Połowa tego już jest podwójnie za dużo dla tego zuchwalca.

Człowieczek wziął w rękę dar niezbyt hojny, rozwinął go w całości i, zwracając się do Lizandra, powiedział:

— W naszym wieku nader rzadko można się dowiedzieć czegoś nowego. Dziś wszakże powinszować sobie mogę po raz pierwszy od czasu, jak-em rość przestał, że jeszcze mniejszym zostałem, niż jestem.

Chory ujrzawszy malutką sztuczkę sukna, potrząsł głową z niezadowolnienia; a kiedy kuglarz zaczął ją zwijać na kolanie, zdjął z ramion własną chlamidę i rzekł poważnie:

— Weź ten płaszcz, bo co Lizander obieca, tego nie lubi dotrzymywać w połowie tylko.

Ostatnie te słowa zwrócone były zarówno do człowieka jak do klucznicy, która ciężko dychając zbliżyła się do pana, a ręce się jéj trzęsły.

Dobrotliwych słów nie można się teraz było po niéj spodziewać, w każdym jednak razie nie tak gorzkich i gwałtownych, jakie się jéj do ust cisnęły, skoro zobaczyła, że jéj pan podarował mało co noszoną chlamidę jakiemuś tam włóczędze, a w dodatku ośmielił się nagrodzić jéj oszczędność ostrym docinkiem.

— Ten płaszcz własna ręką utkałam—mówiła—a teraz tak szanują moję pracę! Jest jeszcze dużo materyi w skarbcu, niechże Lizander zaraz na pierwszym jarmarku rozda to między szarlatanów. A to wszystko zrobiono dlatego, żeby uwłoczyć mojéj staranności i wierności. W innych krajach, nawet wśród dzikich barbarzyńców uczczonoby siwe włosy, a tutaj starzy uczą młodych, jak je znieważać szyderstwem i urąganiem.

Gdy to mówiła, choremu twarz pobladła, pod oczyma ukazała się ciemna pręga a na ustach wyraz głębokiego bólu.

Znać było na nim straszne znużenie.

Z każdéj miny jego widać było, jak boleśnie dotykał go zrzędzący głos i gwałtowne słowa staréj gospodyni, ale wyrazami donośnie wypowiedzianemi nie mógł ją zmusić do milczenia, gdyż głosu dobyć nie mógł. Uspokajającemi tylko ruchami chudych swych rąk i niemą prośbą oczu usiłował zapewnić sobie pokój.

Ksanta czuła i widziała, że ojciec jéj cierpi, zawołała więc stanowczo i bez cieniu bojaźni:

— Przestań już, Semestro, łajanie twoje szkodzi ojcu. Słowa te nie tylko nie ułagodziły, ale owszem spotęgowały gniew szafarki, która napół z oburzeniem, napół z płaczem wołała:

— Do tego-to przyszło! Dziecko rozkazuje staruszce. Ale wiedz o tém, Lizandrze, że ja nie dam pomiatać sobą jak jaka głupia. Zuchwały Mopsus jest synem twego wyzwoleńca i za grube zasługi służył temu domowi, ale dosyć już tego, ciągnie się to zadługo, dziś jeszcze musi dom ten opuścić, wierzę w to tak jak w to, że żniw doczekam. On albo ja! Jeżeli go zatrzymasz, pojadę do Agrygentu do wnuków moich i córki, która przez każdego posłańca zaprasza do siebie. Jeżeli zuchwały łobuz milszém ci jest odemnie, opuszczę to gniazdo niewdzięczności. W Agrygencie...

— W Agrygencie bardzo pięknie!—przerwał jéj kuglarz i wyraźnie a dobitnie wskazał palcem w kierunku tego sławnego miasta.

— Ślicznie tam—zawołała stara—dopóki się nie spotka na ulicy takiego świszczypały jak ty!

Klucznica nabierała świeżego powietrza, a pan jéj skorzystał z téj przerwy, ażeby łagodnym proszącym głosem jak dziecię bezbronne powiedzieć:

— Mopsus musi odejść, ten wesoły Mopsus; nikt nie potrafi tak dobrze jak on podnieść mię lub téż prowadzić.

Słowa te uciszyły gniew Semestry, zniżając tedy głos odpowiedziała Lizandrowi:

— Nie będziesz już do tego potrzebował Mopsusa, bo dziś jeszcze przybędzie Leonaks, syn Alkifrona. Ten cię będzie oprowadzał i podnosił, jak gdybyś był jego ojcem rodzonym. Krewni z Messeny są przyjacielscy i szanują starość, bo podczas kiedy wy mi urągacie, tam myślą o mnie biednéj i przysyłają mi na rychłe wesele piękny ubiór jaki noszą matrony.

Chory spojrzał pytająco na córkę, a ta rumieniąc się, rzekła.

— Tak mi powiedziała Semestra. Kiedym w komorze odcinała sukno, zawiadomiła mię, że Leonaks przybywa jako zalotnik.

— Oby mu się lepiéj powiodło niż Alkamenesowi i innym, których odprawiłaś z niczém! Wiesz o tém, że cię przymuszać nie chcę ale teraz, kiedy tracę nawet Mopsusa, to bardzo radbym mieć jakiego kochającego syna. I czemuż to Faon wszedł na tak głupią i złą drogę? Młody Leonaks...

— To zupełnie co innego—przerwała Semestra. No chodź moja gołąbko, bo tysiąc rzeczy mam jeszcze do zrobienia.

— Idź, idź—rzekła Ksanta. Zaraz przyjdę. Lepiejby było dla ciebie, ojcze, gdybyś teraz spoczął. Daj się zaprowadzić do domu i prześpij się chwilkę na wezgłowiu.

Dziewczyna próbowała podnieść ojca, ale siły jéj za słabe były na wsparcie schorowanego człowieka. W końcu udało się Lizandrowi wstać przy pomocy kuglarza, który z silnym naciskiem szepnął mu do ucha:

— Kury moje powiadają mi niejedno; ale tu po za czołem przemawia inna jeszcze wyrocznia. Jesteś już na drodze do wyzdrowienia, ale nie dojdziesz do kresu, jeśli z tą starą, co tam kulejąc do domu idzie, nie postąpisz tak, jak ja postępuję z ptakami przy ich wychowaniu.

— A cóż ty robisz z niemi?

— Uczę ich posłuszeństwa dla siebie, a jeżeli spostrzegę, że przemaga w nich własna wola, sprzedaję kury i szukam innych.

— Bo też nic nie zawdzięczasz tym głupim ptakom.

— Za to tém więcéj zawdzięczam innym, które powinność swoję spełniają.

— Słusznie, dla tego je żywisz i pielęgnujesz.

— Dopóki się nie zestarzeją i nie wypowiedzą mi posłuszeństwa...

— A wtedy?

— Wtedy robię z nich podarunek chłopu, u którego znoszą jaja, jedzą i umierają. Dla twojéj kury mieszka w Agrygencie odpowiedni wieśniak.

Lizander zżymnął ramionami. Potém wsparłszy się na córce, chwiejnym krokiem posuwał się naprzód; a gdy na progu o mało co nie upadł na ziemię, Ksanta przysięgła sobie, że mu da syna, męża prawego i silnego, na którym by ojciec mógł się oprzéć i nie doznać zawodu.

4. Dwoje prosiąt.

Upłynął kwadrans a oblicze staréj szafarki wciąż jeszcze pałało, tylko że już nie z gniewu ale dlatego, że przed obfitym ogniem na kominie uwijała się z całą gorliwością, już to wyrabiając ciastka, już téż polewając pieczeń na rożnie własnym jéj sosem.

Obok klucznicy stał stary Jazon, który nie chcąc puścić na marne sprawy swego panicza, raz jeszcze wystawił się na pociski niemiłych słów Semestry, gdyż gorzko żałował, że ją wprzódy podrażnił zamiast sobie pozyskać.

Tak jest doświadczał niemiłego uczucia i o mało co nie wybił sam siebie za to, że narażając szczęście swego ulubieńca, swego Faona, dał się unieść popędliwości i wyraził ją w słowach...

Niestety! wyrazy, mające załagodzić sprawę, upadły na grunt twardy, gdyż Semestra zbyła je odpowiedzią ladajaką i dała w końcu do zrozumienia Jazonowi, że jéj przeszkadza.

— Baczność—powiedziała—jest matką powodzenia we wszystkiém. Jest ona bardziéj nawet potrzebną przy pieczeniu niż nawet przy tkaniu, a jeżeli Leonaks, dla którego ręce tu sobie narabiam, udał się w ojca, to potrafi doskonale odróżnić złe od dobrego.

— Alkifron—odparł Jazon—jadał figi znad naszéj altany przy domu daleko chętniéj aniżeli wasze.

— A kiedy je zajadał—zawołała staruszka,—toś ty go wicią leszczynową poczęstował. Dotąd jeszcze słyszę, jak krzyczał, niebożątko!

— Jeść dużo fig to niezdrowo na żołądek—odrzekł starzec bardzo powoli i wyraźnie, chociaż niezbyt głośno, aby Semestrze głuchoty jéj nie przypominać.

Gdy klucznica uśmiechnęła się na te słowa, przybliżył się do niéj i rzekł uśmiechając się dobrodusznie a życzliwie:

— Bądź-że roztropną, stara, i nie chciéj rozłączać dzieci, które do siebie należą. I Ksanta lubi także figi, a jeżeli Leonaks odziedziczył smak po ojcu, to pomyśl sobie, co się stanie z tym słod-

kim owocem na twych ulubionych drzewach, gdy owę parę Hymen połączy. Faon nie łaknie słodyczy. Ale bez żartów; niech sobie ojciec szuka dla niego dwudziestu nawet oblubienic, on przecież nie weźmie innéj prócz Ksanty. A czy możesz zaprzeczyć temu, że to chłopak piękny i silny?

— Takim jest i Leonaks—zawołała Semestra wcale temi słowy niepodbita. Widziałeś już dzisiaj swego ulubieńca? Nie! A wiesz, gdzie spadł ostatniéj i przedostatniéj nocy?

— Pewnie na swojém łóżku.

— W waszym domu?

— Ja nie śledzę chłopca, odkąd podrósł.

— I my także nie śledzimy! Napróżno czas tracisz, Jazonie; proszę cię więc na seryo, żebyś mi już dłużéj nie przeszkadzał, bo ot ukazuje się ciemna plama na pieczeni. Prędko, Chlorydo podnieś rożen znad ognia.

— Chciałbym zobaczyć Lizandra i życzyć mu dnia wesołego.

— Zmęczony i nikogo widzieć nie chce. Czeladź *nam* dokuczyła.

— To pochodzę sobie po ogrodzie.

— Aby próbować szczęścia u Ksanty? Powiadam ci, tracisz czas napróżno, gdyż ona układa sobie włosy dla naszego gościa z Messeny, i gdyby nawet tam oto stała, gdzie leżą listki jarmużu, toby mi się nie sprzeciwiła, jeślibym ci powtórzyła, coś słyszał z ust moich dziś rano o wschodzie słońca: „Dziewczyna nasza nie wprzód zostanie żoną Faona, aż ja sama złożę ofiarę Afrodycie, by serce Ksanty miłością dla niego przejęła.“

Jazon wzruszył ramionami i zbierał się odejść, gdy Doryppa przyszła z podwórza do ogniska.

Miała oczy zaczerwienione od płaczu; na ramieniu jéj spoczywało dygocące i nóżkami w powietrzu machające stworzonko okrągławo żółtawo-białe, które głosem żałosnym a donośnym i piskliwym skarżyło się daleko jękliwéj aniżeli głodne niemowlę. Było-to piękne, doskonale odpasione prosiątko.

Jazon patrzał na nie z zastanowieniem; Semestra zaś porwawszy je z ramienia dziewczyny, przycisnęła do swéj piersi, odwróciła się ze znaczącą stanowczością tyłem do starca i powiedziała dosyć głośno, by ją słyszeć mógł, ale nie głośniéj:

— Pieczeń na ucztę!

Jak tylko Jazon opuścił izbę, klucznica położyła czysto obmyte prosiątko na drewnianym stołku, kazała Chlorydzie pilnować, żeby się nie powalało, wyjęła ze skrzynki stojącéj przy kołowrotku jednę

wstążkę niebieską a dwie czerwone, pierwszą starannie obwiązała około zwijającego się w pierścień ogonka, dwie drugie zaś około uszu; następnie podniosła zwierzątko, popatrzyła na nie, jak patrzy matka na ślicznie ubranego ulubieńca, poklepała prawą ręką najtłustszą część ciałka i rozkazała Doryppie zanieść natychmiast prosiątko do świątyni Afrodyty.

— Piękne-to i całkiem bez zarzutu; niech je zaraz zabije na cześć dobrotliwéj bogini. Skoro tylko wszystko tu przygotuję, sama tam przyjdę, a po takim darze z piany zrodzona Kipryda pewnie nie odmówi méj prośbie. Ukryj starannie pod ubraniem to kochane zwierzątko, aby go nikt nie widział.

— Będzie kwiczało w drodze — zauważyła służąca.

— Prawda, będzie kwiczało—powtórzyła staruszka.—Czekaj-no, poszukam stosownego koszyka.

Staruszka wyszła na podwórze, a wróciwszy, powiedziała:

— Jest tam na dworze Mopsus z naszym osłem, ma on przewieść swoje manatki do domu matki; ale dzisiaj służy jeszcze u Lizandra. Włóż mu prosię w jeden z koszów na grzbiecie osła, to ci je szybko do świątyni zawiezie. Zaraz i bez zwłoki, bo jeżeli za godzinę nie znajdę prosiątka na ołtarzu bogini, ty mi za to odpowiesz! Powiedz mu to, a potém przynieś rozmarynu i pędów mirtowych aby uwieńczyć nasze ognisko.

Mopsus nie śpieszył się wcale ze spełnieniem tego polecenia.

Najprzód pomagał Doryppie ścinać zielone gałązki, przyczém nie tylko na ziemi, ale i na rumianych ustach kochanki szukał pożądanych darów; potém wyruszył wraz z osłem w drogę pod górę idąc bardzo powoli i nie popędzając swego towarzysza. Ten dźwigał kosz i z jednéj i z drugiéj strony siodła, głowę miał ubraną w pstre pióra kogucie, a uprzęż jaskrawo-czerwoną. W stroju tym wyglądał dosyć wesoło, a mimo to głowę zawiesił ku ziemi, nie tak przecie nisko jak jego młody przewodnik, którego Semestra wypędziła z domu pańskiego pozbawiając towarzystwa najukochańszéj.

Zeszło półgodziny, zanim dostał się do świątyni.

Na skraju lasku przed schodami prowadzącemi do wnętrza świątyni stał w tejże porze stary Jazon.

Jak niedawno w domu Lizandra dziewczyna, tak tutaj zacny staruszek trzymał na plecach coś małego piszczącego; było to również prosiątko; ale nie miało ono wstążki ani na ogonku ani na uszach, nie było téż bynajmniéj tłuste; pełno było czarnych plam wśród rzadko rosnącéj szczeci i na kończastym pyszczku.

Nie z czułością, ale z wielką niechęcią patrzał starzec na to niewinne stworzenie; bo też miał powód gniewać się na nie, gdyż kapłan nie uznał go za przydatne na ofiarę bogini, jako mało mające tłuszczu a dużo — złych znaków.

Niestety! Jazon nie miał w chlewie drugiego, a chciałby serdecznie zjednać boginię dla sprawy Faona!

Jak tylko ujrzał ofiarę Semestry, pośpieszył do domu, ażeby ją uprzedzić i serce bogini wcześniéj pozyskać dla swego panicza.

A teraz stał zawiedziony i rozmyślał nad tém, czy to nieszczęśliwe zwierzątko ma zadusić czy też matce odnieść do domu.

Jako oszczędny ekonom zdecydował się na drugą alternatywę, i właśnie w chwili, gdy sobie wystawiał obraz chudego centkowanego stworzenia w jego przyszłym, należycie zaokrąglonym stanie, posłyszał stąpanie osła popędzanego przez Mopsusa, uderzenia twardego kija o sprężyste ciało a po każdém uderzeniu słowo: „Semestra.“

W chwilę potém Mopsus mijał wraz z osłem starego ekonoma a kiedy chłopak, nie patrząc ani na prawo ani na lewo, nowy cios osiołkowi wymierzył i przytém znowu wypowiedział nazwisko klucznicy w połączeniu z szeregiem słów nienawistnych, Jazon popatrzył na służącego bardzo przychylnie a nawet czule niemal.

Dawniéj Mopsus, gdy spotkał starego, zwykle zdaleka przesyłał mu już pozdrowienie: „Ciesz się!“ — ale dzisiaj na powitanie rządcy odpowiedział smutném kiwnięciem głową i niewyraźném mruczeniem.

Ekonom zastąpił mu drogę, położył osłu na głowę swoję namozoloną rękę i zapytał:

— To ty osła swego nazywasz Semestrą?

Mopsus zaczerwienił się i odrzekł:

— Wszystkie oślice będę tak na przyszłość nazywał, ale tego oto nazwała stara megera Jazonem.

— Patrzaj-no — zawołał starzec — jak pięknie wspomina mnie sobie ta zacna niewiasta. Ale i o niéj także nie zapomniano, bo ile razy kij do góry podniosłeś, to jak mi się zdaje, i o niéj wspomniałeś.

— Naturalnie!—rzekł Mopsus; a głaszcząc pręgi na udzie osiołka, dodał przyjaźnie: — Biedny Jazonie i ty nie zawdzięczasz staréj nic dobrego.

Po tych słowach zwrócił się znowu do włódarza i rzekł:

— Gdybyś ty wiedział, jaka to niegodziwa kobiéta...

— Wiem—przerwał mu siwobrody—ale bądź-co-bądź jest ona staruszką i nie przystoi tobie ją łajać; tam w domu zastępuje ona chorego pana.

— *Jemu* chętniebym obie swe ręce podłożył pod nogi — zawołał chłopak.—Ale Semestra za nic wypędziła mię ze służby, rozłączyła mię z domem i Doryppą, a jakże ja zaraz znajdę miejsce w sąsiedztwie?

Ta płaczliwie niemal wypowiedziana skarga dziwne stanowiła przeciwieństwo z wielką, barczystą postacią Mopsusa, a do tego stanęły mu łzy w oczach, kiedy zaczął opowiadać ekonomowi o kuglarzu, o tańcu, o gniewie Semestry, o wydaleniu go z domu Lizandra i o rozkazie Semestry, żeby zawiózł prosię jako jéj ofiarę do świątyni Afrodyty.

Jazon słuchał go jedném uchem tylko, gdyż daleko przyjemniejszém od opowieści biednego chłopaka, wydało mu się ciche kwiczenie prosięcia przedostające się do jego uszu z kosza, który u jednego boku osiołka wisiał.

Włódarz znał się na głosach zwierząt domowych i wiedział, że takie tony wydaje tylko prosiak, który ma w sobie tłuszczu podostatkiem i żyje wśród szczęśliwych okoliczności.

W głowie Jazona zrodziła się myśl wielka; cieszył się nią widać bardzo, gdyż oczy mu się rozpromieniły, usta ściągały się do uśmiechu, wyglądał w końcu zupełnie tak samo jak Satyr przybliżający do swych warg szerokich całkiem dojrzałe i bardzo grube winogrono.

Skończywszy swe opowiadanie, Mopsus zauważył z przykrością, że jego smutna historya podziałała na starego rozweselająco; ale niebawem zaśmiał się i on, bo zanim mógł wyrazić swoje niezadowolenie już Jazon otworzył koszyk z lewego boku osła, wyjął wystrojone prosię Semestry, na jego miejsce włożył własne biédne zwierzątko a przytém chichocząc z zadowolenia rzekł:

— Po tém, co tobie biedakowi zrobiła, Semestra w żaden sposób nie zasługuje na łaskę naszéj bogini. Pozwól, żebym *ja* ofiarował Kiprydzie to najmilsze ze wszystkich prosiąt, a ty w imieniu klucznicy daj mego nieboraka; a prośba jéj z pewnością wysłuchaną nie zostanie.

Grube rysy Mopsusa rozjaśniły się na te słowa; zaśmiawszy się głośno uderzył prawą pięścią w dłoń lewą, wykręcił się na pięcie prawéj nogi i zawołał:

— Tak, to słusznie!

Ale zaraz potém obejrzał się tak niespokojnie, jak gdyby niewidzialna laska mirtowa świsnęła za jego plecami, i zapytał:

— A jak ona to spostrzeże?

— Wiem co zrobić—odparł mu starzec.

Dał Mopsusowi do trzymania prosię Semestry i zdjął wstążki z uszu i ogonka zwijającego się w pierścień.

Prosiątko kwiczało przy tém tak żałośnie, jakby rozumiało, że się zabierają do jego stroju i robią zamach na jego piękność.

Chociaż Jazon zaraz potém, przy pomocy chłopaka, włożył też same wstążki na swoje chude prosię, nie stało się przecież piękniéjszém i nie wyglądało lepiéj niż poprzednio, bo nie było szczęśliwém stworzeniem i nie odczuwało wartości pięknego przystrojenia.

OSTATNIE LATA WITOŁDA.

(*Ciąg dalszy*).

Talent dyplomatyczny Zygmunta dokładniéj poznać się daje ze skutków jakie wywołał tam dokąd bezpośrednio zmierzał, to jest u Witołda. Wywoływał on takie wrażenia i uczucia, które zapewne nieinaczéj tłómaczono sobie w Polsce, jak że Witołd zaślepioną goreje żądzą panowania, że goniąc za powabem korony, grozi bratu i przerzuca się na stronę wrogów Polski—które atoli, przy bliższém rostrząśnieniu okazują nam prawdziwy a wcale odmienny stan duszy zbolałego księcia. Ponieważ mimowoli ulegamy sądowi Długosza w tym przedmiocie, a sąd ten lubo ustalony w historyi a nawet pogorszony na niekorzyść Witołda, nie jest objektywnym, jakby się to wydawać mogło, zechciejmy przypatrzéć się bliżéj pismom, które stanowiąc odwrotną stronę medalu, dają sposobność pouczenia się w czém właściwie leży prawda dziejowa.

Dla dokładniejszego zrozumienia, przypominamy, że jesteśmy w chwili, kiedy to burza husycka grasować poczęła na granicach Polski od strony Szlązka. Było to pod koniec kwietnia. Jagiełło jakby w przestrachu uwiadamia o tém Witołda i prosi go o pomoc, niewiedząc że książę wie najdokładniéj, iż Szafrańcy toczą układy z husytami. Postępowanie takie króla nie mogło wlać ufności w serce Witołda—odpowiada przeto w dniu 3 Maja z Trok w ten sposób.

Najjaśniejszy królu. Łożniczy wasz Michał, przyniósł nam wasze listy z nowinami, nadesłanymi wam przez starostę krakowskiego, i pyta się w. kr. mość czy zasługują na wiarę, zwłaszcza, gdy my mamy pewne wiadomości z Węgier i sługa nasz Zygmunt Roth niedawno stamtąd przybył. Otóż zechce wiedzieć w. kr. mość, że on nam niczego z Węgier nie przyniósł coby potwierdzało te nowiny,

chyba że nastąpiły one już po jego z Węgier odjeździe. Nadto doniósł nam Roth, że heretycy husyccy pustoszą na Szlązku i Węgrzech. Wnosimy stąd, że wieść o któréj częstokroć nam pisaliście i co obecnie powtarzacie, jakoby husyci, podburzani przez króla Zygmunta, mieli zamiar uskutecznić napad na Polskę, jest oczywistą nieprawdą. Oni bowiem, jak to z wielu źródeł wiemy, i po dziś dzień nieprzestają rabować i pustoszyć ziemi i grodów Zygmunta. Niczego zresztą z nowin nie wiemy, chyba to że król Rzymski ma zamiar udać się do Niemiec.

Piszecie nam w ruskim liście, iż niesłusznie wymawiamy waszéj kr. mości zawisłość od *nowéj rady* waszéj i dodajecie, że Szafrańcy nie stanowią *nowéj rady*, gdyż i ich ojcowie byli członkami senatu królewskiego jakimi są i oni. Królu panie! Chociaż ich ojcowie zasiadali w radzie, słowa ich nie były takiéj doniosłości jakiemi są obecnie ich synów, ani téż tamci ośmielali się udzielać wam rady prywatnéj, albo téż odstępować od ogólnego sądu baronów, jak to ich synowie czynią! A cokolwiek bądź doradzaliby oni lub żądali, to w. kr. mość czyni; rady Szafrańców zawsze górują a nigdy nie doznają odrzucenia. Oni to nawet tego się dopuszczają, iż zaniedbują walne zjazdy ziemskie, gdyż niechcą być ich uczestnikami, a jeżeli raczą się zjawić, to pod sam koniec zjazdu, gdy inni prałaci i panowie już opuścili sale obrad—a natenczas zwalają oni wnioski przez senat omówione i uchwalone lub je całkowicie zmieniają. Innym razem, chociaż są obecni na zgromadzeniu, niechcą przystąpić do wniosków i tylko oczekują, dopókąd inni z rady się nie oddalą; natenczas przystępują do w. kr. mości i nakłaniają was do przystąpienia do ich wniosku. A chociaż w rzeczonym wypadku są obecni na radzie, podkomorzy jednak usunąwszy się w głąb' komnaty nie wotuje wcale. Dopiéro gdy inni komnatę opuszczą, on przystępuje do was i tak długo szepce wam do ucha, dopókąd nie przyzwolicie na zmianę świeżo powziętéj przez was i waszych senatorów uchwały. Oni to nawet podkopali wpływ doradczego słowa mego i innych baronów u w. kr. mości, budząc wasze ku niemu podejrzenia, chociaż my moglibyśmy wam zdrowszą może udzielić radę aniżeli oni. Gdy bowiem inni z senatu waszego uznają zdanie lub wniosek nasz za dobry, przerywacie ich mianem pochlebców naszych. Czy w tém dobrze postępujecie, idąc li tylko za Szafrańcami, i to bez względu na zdanie całego zgromadzenia prałatów i panów koronnych, okaże przyszłość, kiedy to zobaczycie wszystkie sprawki Szafrańców i skutki tychże. Oni to bowiem z wielkim nakładem wysłali Korybuta przeciwko królowi Zygmuntowi do heretyków czeskich, niezważając na wasz i chrześcijaństwa honor, który na szwank narażają, a szczegól-

niéj ów *duchowny* Szafraniec (kanclerz) który wielkie na ten cel wyłożył sumy, jakotéż *młodszy*, który osobiści Korybuta przeprowadzał do Czech. Albož ów burgrabia Będziński Siestrzeniec, ich sługa, który często udawał się w poselstwach do husytów, czyż nie przybył do waszéj kr. mości z polecenia Szafrańców do Łucka, gdyśmy z królem Zygmuntem się naradzali, i nie odezwał się do was w te słowa: „Husyci mówią, że gdy w. kr. mość pogodzi się z królem Zygmuntem, oni powstaną przeciwko wam.“ Ja zaś znając złość i podstęp (tych co go wysłali) już niczego nie doradzałem, lecz odezwałem się do was i do króla Zygmunta w te słowa:

„Zły człowiek jest ten Siestrzeniec a poselstwo jego najniegodziwsze. Wiemy dziś, że to wszystko stało się za wnioskiem i powodem Szafrańców, że dlatego oni i na zjeździe (Łuckim) nie byli obecni! A skoroście tylko powrócili z Łucka, wnet ulegając perswazyom Szafrańców i doktora, poczęliście pisać przeciwko nam, do króla Zygmunta i gdzieindziéj jeszcze, poniżając nas i ze czci odzierając— a wiemy na pewne, że stało się to za poradą Szafrańców. Z ich nakazu i potém jeszcze uczęszczał Siestrzeniec do husytów, zanim heretycy udali się do króla Zygmunta do Preszburga, i doradzał im, nakłaniając kacerzy, aby się nie jednali z królem Zygmuntem i niezawarli z nim jakiejkolwiek ugody. Wiemy i to, iż tenże Siestrzeniec za specyalnym rozkazem Szafrańców przepuszczał Polaków (przez granicę) pod Będzinem, przemykających się do husytów. W taki to sposób zamierza wasza kr. mość wspierać husytów, z czego niemała dla was i królestwa urośnie hańba po całym świecie chrześciańskim!

A jakieżto ci Szafrańce—skarży się i wymawia królowi Witołd— mieli schadzki i układy z heretykami w Reichenbachu, skoro się na nie odwołują w obec waszych urzędników. Spodziewamy się, że układy te nie są skutkiem rady waszych prałatów i panów, gdyż wam i senatowi waszemu nie godziłoby się wchodzić w układy z heretykami. Oni przywiedli Korybuta nazad do łaski waszéj—zaiste nie mając na myśli honoru waszego lub jakichkolwiek korzyści dla korony, lecz tylko prywatny interes na oku, gdyż wiele nakładów uczynili na wyprawę księcia. Aby onych nie stracić niepowrotnie i nie narazić się na szkody, doradzają wam, abyście napowrót zajęli się Korybutem, gdyż w ten sposób książę mógłby zwrócić im nakłady i koszta—i niebaczą nawet na jakie niebezpieczeństwa narażają tém was i wasze królestwo!

Nadto, żądacie od nas pomocy przeciwko heretykom. Tak— obiecaliśmy z całą Litwą pośpieszyć na pomoc. Obecnie atoli z powodu owéj nowéj rady—zachodzi trudność w pytaniu, coby nam

uczynić należało. Dochodzą nas bowiem wieści, że służebnicy Korybuta zakupują broń w Olkuszu i Krakowie i że na sposób Puchały zaopatrują się w Polsce w wojenne potrzeby, że Polakom chcącym wojować razem z husytami nie broni się wyjazdu za granicę. Co wszystko dzieje się za sprawą nowéj rady. Lecz do czegóż to zmierza? Jaki tego skutek? Oto ten, chyba, że heretycy wzmogli się, spustoszyli Niemcy i Szląsk i że nawet wam grożą! Cóż przeto dobrego czynią Szafrańcy? Przecież husyci pragną zburzyć świętą wiarę, pokruszyć podstawy społeczeństwa ludzkiego, zabraniają duchownym używawania doczesnych dóbr, świeckich zaś wyzuwają z posłuszeństwa poddanych, chcą porównać szlachtę z ludem, słowem wszystkich bez różnicy.“

W taki sposób żółciowy pisze Witołd do króla Jagiełły wylewając piętrzącą się kaskadę słów z wyrzutami i żalem, jakie w skutek znanego nam przebiegu rzeczy uczuwał w sercu. Gromko a bezładnie następują one po sobie, uczucie żalu mięsza się z wyrazami goryczy i złości. Witołd daje folgę swéj boleści i co czuje na sercu, każe przenieść na papier, do użytku brata, który głęboką sercu jego zadał ranę. On—wydaje się—jakby wywierał zemstę na Szafrańcach, do których odczuwa nienawiść, i jakby bezwiednie wykonywał zlecenia wynikłe z podszeptów krzyżackich i z potwierdzeń tychże przez Zygmunta, wskazującego jako winnych na te osobistości, które król nad własnego przenosił brata. Książę niezapomina téż i o uczonym podkanclerzym, na którego król zwala winę za nieszczęsną legacyą, i pisze o nim w następne słowa:

„Wspomniałem o podkanclerzym, że chociaż ojciec jego zasiadał w radzie królewskiéj, nie przykładano jednakowoż do zdania ojca takiéj wagi, jakiéj doznaje obecnie głos syna. Ale u w. kr. mości często się widocznie zdarza, że ojciec jest taki, syn zaś owaki. Przypominacie nam, żeśmy dlań u was wyprosili urząd podkanclerzego. Przyznaję; spodziewałem się bowiem, że będzie dobrym i że wzajemną miłość naszą i unię będzie miał na celu. A on, skoro tylko o obietnicy swego urzędu powziął wiadomość, począł pomiędzy nas siać ziarna niezgody i poróżniać nas wzajemnie, jak to się stało w sprawie młyna Lubicza, w sprawie Kraski itd. Orzekliście również że ów doktór (podkanclerzy) bez wiedzy i woli waszéj wysłał ową kompromitującą was legacyą do króla Zygmunta. Dlaczegoście przeto nie ukarali go dotychczas?

Wiedząc, że ten doktor z Szafrańcami, wszystko co tylko zechcą robią z waszą kr. mością, że nie zważacie wcale na radę innych prałatów i baronów waszych, nazwałem ich *nową i prywatną* radą.

Nadto jakiżto honor wyświadczył nam król Zygmunt bawiąc u nas w Łucku, gdy w sprawie wszelkich różnic pomiędzy nim a wami powstałych, w ręce nasze złożył kompromis? Wasza zaś miłość, która jesteś nam stryjecznym bratem, jakby na wstyd i hańbę naszą niechciałeś tego uczynić, jakbyś nas uważał za niedostatecznych do wydania sądu i nas o złe zamiary podejrzywał? A nawet w téj to odrobince, w mizernéj sprawie mołdawskiéj, którą powierzyliście sądowi memu, skoroście tylko zdążyli do królestwa i do Szafrańców, odwołaliście swe słowo królewskie, na wstyd i hańbę naszą! A gdyby to wasza kr. mość, złożył był kompromis w ręce nasze, jak to król Zygmunt uczynił, nie byłoby zapewne przyszło do tego co się obecnie dzieje, niebyliby i husyci tak się wzmogli, gdyby nie byli w stosunkach z Szafrańcami"...

Witołd oczekuje odpowiedzi od króla Jagiełły. Nie następuje ona tak rychło, jakby tego sobie życzył niecierpliwy książę. Bo i cóż miał odpowiadać król na tak dobitne argumenta. Wszakżeż co do zaniechania koronacyi odpowiedział Witołd posłom królewskim, że nie porzuci rozpoczętéj już sprawy, gdyżby się przezto narażał na zelżywe obmowy i na niesławę, gdyż o koronacyi rozeszła się już wieść między ludzi. Ale gdy Witołd dodawał, że niemiał nigdy myśli sięgać po królewską koronę i nigdyby nie powziął był zamiaru, gdyby nie zezwolenie królewskie—sędziwy król widział w stanowczéj odpowiedzi tylko błąd własny, który mu tém dobitniéj wykazują Szafrańcy, o ile odpowiedź księcia, służy im za wymowny argument. Jagiełło uwierzył w podejrzenia Szafrańców, to też ani myślał o ich oddaleniu; przeciwnie, on toleruje zupełnie ich politykę husycką, potwierdzając tém wyrzuty księcia, jako już im tylko zaufał. Zamiast odpowiadać na ciężkie inkryminacye Witołda, król znosi się wciąż z husytami, ogląda się na zakon i wabi ku sobie mistrza, gotówby nawet z największym wrogiem się pojednać, aby w nim mieć środek do przeszkodzenia mniemanéj seperacyi Litwy. Listy i poselstwa książęce, tłómaczy mu kancelarya jako wysoce nieszczere wybiegi, do zmuszenia króla, aby opuścił jedynych swych sprzymierzeńców na których w potrzebie będzie można liczyć, do oddalenia z dworu krakowskiego tych którzy zgubnemu dla korony projektowi stanęli na przeszkodzie. Słowem król uległ całkowicie wpływowi Szafrańców i ani myśli się usprawiedliwiać. Nie zrywając jednak z Witołdem odpowiada mu pokrótce; powtarza swe dawniejsze podejrzenia co do stosunków Zygmunta z Husytami i maskuje swe własne z nimi stosunki, tém, że Taboryci mają zamiar wysłać doń poselstwo itp.

Rozżalony takiém postępowaniem królewskiém Witołd, uważał za stosowne znowu napomnieć króla i pod naciskiem groźby przywieść go do opamiętania i do spełnienia swoich żądań. W tonie tego listu przebija coś desperackiego, smętnego i groźnego zarazem. Autor widocznie nie przywiązuje już nadziei do używanego dotychczas przez się środka, a nie wie jakiegoby jeszcze miał użyć. Książę znać wie na wskróś o myślach Jagiełły a „źli ludzie“ coraz nowszych mu szczegółów dostarczają, na podstawie których może się przekonać o nieszczérości i obłudzie królewskiéj, o stanowczej przewadze nad nim jego zauszników a swych wrogów.

Na dniu ósmym maja pisał książę do króla z Kowna, przypominając mu w treściwych lecz gorzkich słowach poprzednio wypowiedziane żale i zarzuty:

Ileż to już razy—pisze on—bądź to przez posłów bądź listownie lub żywemi słowy, siląc się na najrozmaitsze dowody, starałem się przekonać waszą kr. mość o wielkiéj doniosłości szczeréj i rzetelnéj przyjaźni z królem Zygmuntem, abyśmy razem powstali przeciwko heretykom husytom i koniec zadali szerzeniu się ich kacerstwa? W. kr. mość nietylko że na nasze nie zważałeś słowa, lecz głuchym byłeś na podobne rady swych senatorów, których jeszcze za to mianować raczyłeś moimi pochlebcami. Wybrałeś sobie wasza kr. mość jedynych Szafrańców i doktora jakotéż kilku ich popleczników z rady i tym tylko dajesz głos i wiarę, według ich tylko zdania postępujesz sobie, mając ich radę za świętą i nienaruszoną.

Racz rozważyć królu, czy dobrze ci poradzili i do czego już przyszło, gdy rzeczeni husyci tak dalece się wzmogli i tak szybko w siły urastają? Otóż, gdybym obecnie chciał przytaczać wszystkie me słowa, jakimi w. kr. mość nakłonić chciałem do podniesienia oręża przeciwko husytom, nie zmieściłbym ich w całym tomie. Wy nas uwiadamiacie, że oni poduszczani przez króla Zygmunta chcą napaść na koronę! Przeciwnie—husyci obecnie nie chcą pogodzić się z królem Zygmuntem; co gorsza, napadają na Węgry, pustoszą i rabują na Szląsku—a jak to nam pisaliście—odgrażają się waszéj kr. mości. Z jakiego powodu to się dzieje? Pozwoliliście im wzmódz się, postępując za zdaniem nowej waszéj rady.

Czyż nie lepiéj było złożyć kompromis w Łucku w nasze ręce, jak to król Zygmunt i obecnie jeszcze chce uczynić. Dziś bylibyśmy już wasze wzajemne żale i obopólne krzywdy wyrównali. A gdybyśmy pod ten czas byli w zgodzie, moglibyśmy łacniéj dać radę heretykom.

Daléj przytaczał Witołd cały szereg szczegółów, o których się świeżo przez „złych ludzi“ dowiedzieć mógł a świadczących, że król

w porozumieniu jest z husytami, że zezwala, aby Polacy dążyli na pomoc kacerzom, że częste poselstwa przyjmuje od Puchały, Korybuta itp. i że Szafrańców używa do porozumienia się z husytami. Poczem zapytuje, dlaczego nie donosi o tém księciu i nie tłómaczy się z postępków, zmierzających wbrew traktatowi Kezmarskiemu. Zaręczam w. kr. mości—konkluduje książę, że gdy się nie pogodzicie z królem Zygmuntem i ze mną, abyśmy wespół wystąpili do wojny z husytami, jeżeli nie odwołacie tego coście rozgłosili, że jestem niewolnym—gdyż ja postanowiłem wraz z ziemiami mymi i z mą ojcowizną, czy to się wam podoba lub niepodoba, wolnym pozostać, natenczas całe chrześcjaństwo wielkie poniesie klęski.

W ruskiém piśmie dodaje wasza kr. mość, iż przybyć mają do was posłowie Taborytów, co wszystko tylko na hańbę waszą wychodzi. Wasza królewska mość, powinien im zabronić wstępu do królestwa i wszelkiéj styczności z poddanymi. Ilekroć bowiem do w. kr. mości przybywają, tylekroć wierni podejrzywają was na niekorzyść waszą. Zresztą wypowiadałem często już zdanie moje o posłach Taborytów, o wysyłkach do Puchały i Korybuta i o ciągłéj waszéj z nimi styczności. Na co wszystko nie uważacie nawet za stosowne nam odpowiedziéć. Zadziwia to nas niepomału, z jakiego się to dzieje powodu?

Kancelarya królewska i teraz nie odpowiada na zarzuty księcia: zbywa je ogólnikami a król, jak wnosić należy, uprasza tylko księcia o zaniechanie zamiaru koronacyjnego. Natomiast opowiadano mu z nowin o przybyciu jakiegoś posła z Węgier, tudzież o odpowiedzi jaką dano Szlązakom, proszącym króla o pomoc przeciwko husytom a mianowicie: że król nie zwykł niczego bez porady ks. Witołda czynić. Król tedy prosi księcia o tę radę.

Uprzytomniając sobie usposobienie księcia, można się dorozumiewać, że podobny list mógł do tém rozpaczliwszego doprowadzić go stanu. Otrzywawszy ów list w Miednikach dnia 24 maja, natychmiast każe odpisać nań królowi. Dodajmy, że jest to chwila, w któréj „złe wieści“ mogły się rozrość w zastraszający i potworny sposób. Mdłe i omijające rzecz samą odpowiedzi ze strony króla, pozorują je i czynią w mniemaniu księcia i Litwy prawdopodobnemi. To też pisze Witołd, że wprawdzie drobną wieść o przybyciu hrabi Doryjskiego otrzymał od króla, że atoli na poprzednie jego listy, traktujące o tém, jako posłom Korybuta i Puchały wolny jest wstęp do królestwa, że wolno im jest zaopatrywać się w Polsce w broń i prowianty, że Polacy bez jakichkolwiek przeszkód zdążają do Czech itp., na to wszystko niczego nam w. kr. mość nie odpisuje, z czego wnoszę, że

macie jakieś traktaty i umowy z husytami, jak nas o tém dochodzą wieści.

Prócz tego, donosi nam w. kr. mość o odpowiedzi jaką daliście Szlązakom, proszącym was o pomoc przeciwko husytom, że bez naszéj rady niczego nie zwykliście działać. Wiemy dobrze, że tą odpowiedzią niczego innego nie zamierzaliście osiągnąć, jak tylko by usunąć się od dania im pomocy. A świat chrześcijański podczas tego cierpi i niszczeje, uginając się pod krwawém jarzmem husytów, którzy z dnia na dzień wzrastają w siły i potęgę! Wy się nami zasłaniacie w obec Szlązaków, że bez nas niczego nie działacie—na wstyd i ubliżenie honorowi naszemu, jak gdybyśmy nie doradzali zawsze aż do obecnéj chwili wspierać każdego przeciwko Czechom? Niewątpimy jednakowoż, iż wielom wiadomo jest, że rady nasze nie są wam przyjemne, gdyż od dawna doradzaliśmy wam na korzyść i dobro wasze wspierać każdego przeciwko husytom, wy zaś pozwalacie im przebywać w waszém królestwie, znosicie się z nimi. Lecz jakiego rodzaju są owe znoszenia się wasze, o tém niczego nam nie donosicie, zkąd wnioskujemy, że chyba toczycie z nimi jakie układy.

Zresztą wiele i bardzo wiele mielibyśmy do pisania o teraźniejszym układzie spraw najnowszych. Widząc atoli że w. kr. mość na treść listów naszych nie odpowiada, nie mamy potrzeby i z naszéj strony tak obszernie się rozpisywać. W gruncie rzeczy wiemy co się u was knuje. Z nowości też, na żądanie wasze, nie mamy niczego do nadmienienia, prócz chyba rzeczy znanéj, iż słyszymy ustawicznie, jako husyci wzmagają się i że wy im sprzyjacie. Pogłoska ta wielce się szérzy u nas i zadziwia wszystkich. U nas przeciwnie—spokój, cisza i wszystko dobre...

Namiętny gniew Witołda przechodzi obecnie na pewien czas w stadyum chłodnéj groźby. To już nie nienawiść względem Szafrańców, buchająca nieugaszonym ogniem, nie żal do króla malujący się w powodzi wyrzutów, nie przedstawienia braterskie, ale nadto groźba, celem przełamania uporu królewskiego. Z po za niéj nie trudno dojrzeć, że książe jest całkowicie zdecydowany odeprzeć cios przygotowywany w Krakowie i że groźba w ten sposób łatwo się urzeczywistni w czynie. Witołd nie daremnie tak często i wiele pisał o husytach, podejrzywał on króla, że tenże knuje wrogie przeciwko niemu zamiary.

Z drugiéj strony, z po za słów groźby widoczna, że przeświadczenie o własnéj sile i opór jaki powadze jego stawiał król, pozostający pod wpływem Szafrańców, rozdmuchały w płomień iskrę zranionéj ambicyi tlejącą w jego sercu. Dziś już on żąda korony; żąda jéj w znaczeniu niezawisłéj od Polski monarchii Litewskiéj, nie bu-

rząc przez to unii horodolskiéj, żąda jéj, aby udaremnić supremacyą korony nad księstwem i symbolem tym porównać oba kraje. Pragnie jéj Witołd, aby zatrzéć rany draśniętéj ambicyi, gdyż tylko korona mogłaby zrehabilitować poniżone i na wstyd narażone jego imię.

Czy może pokrywa Witołd zamiary swe płaszczem obłudy, jak to głoszą wrogowie jego Szafrańcy? Nie! Działanie jego jest jawne, użyte manowce mogą świadczyć, że Witołd zanadto był do chwały światowéj przywiązany, aby się jéj, z ujmą swego honoru, miał wyrzec z ochotą, na cofnięcie słowa królewskiego i rozkaz jednego stronnictwa w Polsce. Przeciwnie u męża czynu, jakim był Witołd, wydają się listy owe, owe legacye pisma i półśrodki, [illegible]ą. Książę, jakkolwiek nie miał przesadnego wyobrażenia o swéj potędze, był zbyt energiczny i silny, aby miał osłaniać zamiar swój pozorem korony, gdyby był dążył do seperacyi Litwy, o co go posądzają Szafrańcy. Owe listy i półśrodki, których używa energiczny i gwałtowny w działaniu Witołd, każą wnosić, że korona, do któréj dąży obecnie, nie była wypływem tajnych a od dawna żywionych w sercu jego myśli, lecz wypływem nieszczęsnego przypadku błędów kancelaryi i zawiłéj intrygi—i gdyby nie ostatnie, historya stawiłaby księcia jako męża, który powtórnie odrzucił zaszczyt, jakim go obdarzyć chciała najpoważniejsza, według pojęć ówczesnych, osoba w świecie chrześcijańskim.

Naprężenie pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, powstałe po zjeździe łuckim, daje sposobność zarówno Zygmuntowi jak i Krzyżakom powikłania nitek intrygi w prawdziwie gordyjski węzeł.

Talent Zygmunta i w. mistrza zakonu, rozwijający się w intrydze i pokazujący się w całéj pełni, objaśnia się tém, że oni jedynie są panami sytuacyi; działają konsekwentnie i za wspólném porozumieniem, jeden zaciera ślady błędów drugiego, które li z konieczności powstały a mogłyby zdradzić tajemnicę; wzajemna pomoc i wyręczanie się ścierają z działania ich piętno rafinowanéj przebiegłości a nadają mu pozory, jakoby było wynikiem konieczności i dobréj woli. Cóż bowiem dziwnego, jeżeli Zygmunt dopraszający się u Jagiełły wsparcia przeciwko husytom, i odwołujący się pod tym względem na układy łuckie, wynurza równocześnie przed Witołdem udany swój gniew na króla, z powodu, że ostatni nie dotrzymuje tego na co był przystał, a co gorsza łączy się nawet z husytami. Czyż mogli Krzyżacy wzbudzić na siebie podejrzenie księcia, donosząc mu przez *swych poufnych* o najmniejszym fakcie dowodzącym ciągłego stosunku króla z husytami? Wszakżeż książe sprawdzał te wiadomości, wieściami zkąd-inąd nadchodzącémi, a sam król milczeniem wymownie potwierdzał ich prawdziwość. W obec tych i wielu innych oko-

liczności, o których się nam tylko dorozumiewać można, nie będzie zadziwiać, skoro dodamy, iż Witołd powziął mniemanie, że król Jagiełło wszedł w układy z husytami i że ostatni, pod osłoną korony Polskiéj, zamyślają rozpocząć jakąś akcyą wojenną. Krzyżacy zapewniają księcia, że to na nich cios wymierzony, na Litwie chodzą pogłoski, że to na ich księcia; król Zygmunt podejrzywa króla wobec Witołda, że przeciwko nim wszystkim Polacy łączą się z husytami, oczekującymi tylko hasła do boju. Zaiste Witołd podejrzywał o taki zamiar króla Jagiełłę, obiecywał Zygmuntowi natychmiastową pomoc na wypadek najazdu husyckiego, co gorsza — zbroił wciąż Litwę, aby cios odeprzeć w razie, gdyby się sprawdzić miała zatrważająca pogłoska, i w tym celu odbierał przysięgę od bojarstwa litewskiego.

Czyż dziwna, że wśród tego, udało się takim Fochsom wyciągnąć od księcia słowo, iż gotów jest koronę przyjąć, i że o tém niebawem pomyśli, gdyż postanowił w téj mierze wysłać posłów do króla Jagiełły jako-też i do Zygmunta? Przypominamy, iż na tém słowie głównie zależało Zygmuntowi, wiedzącemu, że książe nigdy nie cofa tego co raz był wyrzekł. Mistrz zakonu uwiadamia króla Zygmunta o tajemnicy przez Redewicza, a ucieszony tém król będzie umiał w stosownéj porze użyć tego potężnego środka do swoich celów.

Podobnież zręcznie rozwija się intryga i w Polsce. Nie umiemy powiedzieć z jakiego źródła, dość, że raczyli się dowiedzieć Szafrańcy, jakoby Witołd konspirował na zjeździe z Krzyżakami na zgubę Polski; jako dał im słowo, iż granic zakonu nigdy nie naruszą Polacy, że zakonowi oddany zostanie okręg nieszawski, a książe w zamian za to będzie żądał od korony ziemi Ruskiéj. Może jeszcze co gorszego, ale któż dostrzeże wszystkich artykułów tajnych układów, z których ważniejsze powierzono Szafrańcom tylko w tajemnicy. Ależ bo tajemnica ma pozory prawdopodobieństwa, mówią Szafrańcy, wskazując królowi na treść odpowiedzi Witołdowej, na uzbrojenia na Litwie jakotéż i na odbiór przysięgi od bojarstwa. Podejrzliwość króla, którą posunęli Szafrańcy do tego stopnia, że uczynili go głuchym na szczére i otwarte słowa brata, wzrasta w gorączkowy niepokój. W skutek tego niepokoju przyjmuje król w Kaliszu poselstwo husyckie grzeczniéj aniżeli kiedykolwiek przed tém. Dowiaduje się o tém komtur toruński (który na dniu 22 maja przybywa do króla) i niezaniedbuje donieść w. mistrzowi, w jaki to sposób „według pogłosek" układa się król z Taborytami. Pogłoski te były dość kompromitujące króla, gdyż, prócz innych rzeczy, głosiły, że husyci żądali od króla wolnego przejścia przez Polskę na Prusy. Wnet też dowiedział się o tém i Witołd, aby mieć jeszcze jeden powód więcéj

do gniewu na króla i nowy bodziec drażniący jego ambicyą. Zamiast wykazywać całą niestosowność kroku Szafrańców, używających husytów za narzędzie swych planów, opowiedzmy co donosił komtur toruński królowi Jagielle ze strony w. mistrza. Oto, że mistrz miał zjazd z Witołdem w Jurborku i że tamże postanowili, iż na naznaczony termin książe wyśle swoich posłów, co téż król i mistrz ze swéj strony uczynią, aby raz spór graniczny ukończyć. Szafrańcy wytłómaczyli królowi w swój sposób całą tę legacyą, niedziwna tedy, że król z niczém odprawiwszy komtura, postanawia poufnie zainterpelować Witołda w sprawie podejrzanego zjazdu.

Ale Witołd otrzymuje tę interpelacyą w chwili gdy skąd-inąd mu donoszono o podejrzanych stosunkach Jagiełły z husytami i gdy król Zygmunt w starannie ułożonych artykułach oskarżał króla Jagiełłę, że wbrew traktatom nie chce mu wydać Turka, że wojewoda Mołdawski ufny w pomoc Polski nie chce wspierać Zygmunta przeciwko Turkom, co gorsza, że wydarł wiele powiatów należących do Besarabii a więc do wojewody, hołdującego Zygmuntowi, których opis załącza w liście. Zygmunt przez Małdrzyka ponownie składał kompromis w téj sprawie w ręce księcia i upraszał, aby zechciał wysłać pełnomocnika swego, któryby wraz z jego posłami obejrzał i zbadał te granice. Prócz tego poseł Zygmunta, Herburt z Fulsztyna, zaprzeczył uroczyście oszczerstwom i plotkom, jakie wymyślano na króla Zygmunta przed Jagiełłą, a mianowicie o jego mniemanych spiskach z husytami przeciwko Polsce. Według rycerskich przepisów owych wieków, wyciągnął poseł rękę do góry i protestując upraszał księcia w imieniu obrażonego króla Zygmunta, aby jeśli to możliwe, raczył mu wskazać tych, którzy owe plotki rozsiewają.

Takie i tym podobne sztuczki teatralne, wywarły zamierzony wpływ na Witołdzie, jakby na poparcie téj prawdy, że i geniusze bywają tylko synami wieku, który wyciska i na ich, chociażby najbardziéj wybitnych indywidualnościach swe oryginalne a w oczach naszych komiczne piętno. Dotknięty mniemaną a dobrze udaną obrazą Zygmunta, wzruszony niemniéj wybornie symulowaną jego szczerością i przyjaźnią, posłał natychmiast Witołd owe lamentacye Zygmunta do króla Jagiełły, z uwagami, świadczącymi o łatwowierności całkowicie opanowanego intrygą zygmuntową księcia, niemniéj jak o jego szczeréj chęci pogodzenia poróżnionych królów. Nastawał przeto na króla, aby zadość uczynił zygmuntowi, którego wbrew dawnym ugodom krzywdzi, aby mu wydał Turka, opuścił wiarołomnego wojewodę, nie wspierał husytów i wreszcie aby oddalił Szafrańców jako też i młodszego Szafrańca, któremu Jagiełło wydzierżawił Lubowlę na Spiżu, a którego oddalenia domaga się Zygmunt.

Te stanowcze żądania jednakowoż nie zdołałyby zmniejszyć lub usunąć podejrzliwości królewskiéj, którą Jagiełło w ostatnim liście wynurzył przed księciem. Witołd wiedział nadto i o tém, że owe podejrzenia w formie najrozmaitszych plotek potwarczych obiegały po Polsce. Ażeby więc zapobiedz oszczerstwom, powstałym z powodu zjazdu z mistrzem zakonu, postanawia Witołd przedstawić całą sprawę w liście otwartym do panów polskich. Wprzód jednakże donosi on o tych potwarzach wielkiemu mistrzowi. A gdy Russdorf nie zaniedbał wyrazić swego zdumienia w piśmie na ten cel dość staranie ułożoném i zaadresowaném do Witołda, odesłał je książe do króla z uwagą, iż przekonać się może, jako wszelkie doniesienia o jakowychś tajemnych zmowach z zakonem, wymierzonych przeciwko Polsce, są brudném oszczerstwem. Inną jest treść pisma wystosowanego do panów koronnych świeckich i duchownych. Pochodzi ono z początku czerwca nieszczęsnego roku 1429 i zasługuje ze wszech miar na przytoczenie:

„Przekonany jestem—pisze Witołd—iż wiecie, jako zawsze byłem wielkim przyjacielem Polski, ani téż nigdy nie uczyniłem czegoś, coby zmierzało przeciwko honorowi lub na niekorzyść korony i że nigdy bez rady waszéj niczego-bym nie uczynił. Ani téż myślałem kiedy o koronie i sądzę, że wiadomo wam jest, iż gdy mi ją w Kezmarku ofiarował król Zygmunt, wręcz jéj odmówiłem. Toż gdy i w Łucku wszczął król Zygmunt o koronie rozmowę, nic stanowczego nie chciałem mu odpowiedzieć bez rady i zezwolenia króla Polskiego. A chociaż on podtenczas z wielkiém upodobaniem i łaskawością na moją koronacyą zezwolił, nie przykładałem wcale pilności, aby ją kiedykolwiek doprowadzić do skutku. Gdy atoli król z Łucka odjechał i począł poniżać nas w obec króla Zygmunta, gdy podobnież i do stolicy apostolskiéj posłał przeciwko nam wiele artykułów oskarżających i w obec całego świata nam ubliżał, począłem po raz pierwszy nad tém się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym uniknąć krzywdzącego poniżenia i stosunku niewolnictwa, za pomocą którego zamyśla król mnie i ziemie moje uciskać, gdyż nigdy przed tém nie byłem niewolnym. Z tego to powodu nalegałem na króla, aby odwołał to co był o nas rozgłosił i orzekł o wolności naszéj. A chociaż w téj sprawie wiele traktowałem z królem, tak na drodze piśmiennéj jako-téż przez poselstwa, jednakowoż dotychczas nie otrzymałem żadnéj stanowczéj odpowiedzi. Pomimo to, gdy tak z ustnéj relacyi posłów królewskich, jako téż z częstych jego listów przekonałem się, że mu Taboryci grożą, że nawet wśród napadu klasztor częstochowski zrabowali, natychmiast zawiesiwszy wszystkie krzywdy, różnice i niezgody, chociaż podówczas wielce byłem rozdraźniony i postano-

wiłem z niczem odprawić posłów; ofiarowałem się jednakże z pomocą koronie i królowi. Powołałem wszystkich ziemian do broni i osobiście zamierzałem stanąć na czele wojsk posiłkowych. Lecz skoro dowiedziałem się, że król Jagiełło porozumiewa się z heretykami, że posłowie husyccy, jak mianowicie Puchały i Korybuta, mają wstęp do Polski, o czém nam król wcale nie pisał, gdy nadto nie doniósł nam—o czém przez komtura toruńskiego dowiedzieliśmy się—że posłowie husyccy, żądali odeń w Kaliszu, aby przystał na cztéry artykuły prazkie i pomagał im przy napadzie na Prusy, zdziwiłem się niepomału, że przed nami król to wszystko zataja. Posyłałem tedy po trzykroć do króla z zapytaniem, czy prawdą jest to co pisał komtur toruński o legacyi husyckiéj i co w rzeczy saméj król odpowiedział kacerzom. Na to wszystko nie odpowiedział nam nawet król polski. Zresztą słyszeliśmy, że husyci mają wolny wstęp do Polski, że zakupują tamże broń i zasoby wojenne, a gdy o tém tak listownie jako-téż przez marszałka Zarębę dopytywałem króla, mianowicie z jakiego powodu zezwala on na wolny wstęp husytów do Polski, i czy te husyckie odwiedziny odbywają się za jego wiedzą i wolą — nie odpowiadał król na te pytania. Co gorsza, jakby na pośmiewisko nasze, nadesłał nam nic nie mówiący list przez łożniczego swego Guta, od którego dowiedziałem się, iż wysłano go z listem w ośm dni po przybyciu Zaręby.

To wszystko pilnie rozważywszy, nie wiedząc niczego o właściwych zamysłach króla, czy mianowicie przygotowuje się przeciwko nam, gdy pod broń zwołuje swoje rycerstwo, postanowiłem odebrać przysięgę wierności od wszystkich poddanych moich, wzmocnić nasze zamki i uzbroić ludzi, ażebyśmy w ten sposób przygotowani, tém pewniéj mogli odeprzéć cios napadu nieprzyjacielskiego. Nigdy nie zamierzałem wszczynać wojny z Polską, ani téż myśl taka postała kiedy w naszym umyśle. Jestem zmuszony niniejszém zawiadomić was o tém, z zapewnieniem, iż wtedy tylko broń podniosę, gdybyście wy lub król wasz wojnę wszczęli, gdyż natenczas należałoby się nam bronić i napad odpierać.

Pismo to wyprawiam do was w tym celu, abyście nie dawali wiary tym, którzy by was starali się przekonać, że my w innym zamiarze, aniżeliśmy to obecnie wyłuszczyli, zbroimy nasze zamki i napominamy do wierności nasze ludy. Wolemy bowiem, ażeby nas zastał przygotowanych do oporu ten, który zamierza nas napaść, aniżeli wcale o oporze nie myślących.

Nadto należałoby i wam porozumiéć się pomiędzy sobą i króla waszego przywieść do upamiętania, ażeby nie wchodził w układy z husytami, wrogami Boga i kościoła. Już pozaprzeszłéj zimy prze-

słał był nam król wiadomość, jako prosili go Taboryci, ażeby im dozwolił przechodu przez Polskę, celem napadu na Prusy lub Litwę. Gdyby na to zezwolił (obecnie); nie wiem w jakim by celu to uczynił—ufam w łasce Boga, że odeprę takie najście.

Słyszałem nadto, iż obiegają u was pogłoski, jakobyśmy żądali od korony Rusi a dla Krzyżaków Nieszawy, i inne tym podobne wyrażali żądania. Prosimy was, nie chciejcie dawać wiary tym baśniom, te bowiem rozsiewają Szafrańcy i doktór jako-też i inni nasi wrogowie, z zamiarem podburzenia całéj Polski przeciwko nam. Chciejcie pismo to przesłać do miasta Krakowa, aby i im nie tajny był nasz prawdziwy zamiar. W końcu, zechcéjcie się zastanowić nad niém i doradzać królowi, ażeby w żaden sposób nie dozwolił heretykom przejścia przez Polskę celem napadu Prus, ja bowiem i wy, baronowie korony, jesteśmy poręczycielami, że to nigdy nie nastąpi i że będziemy wspierać Krzyżaków przeciwko heretykom, zwłaszcza gdy są to wierni wyznawcy Chrystusa a przytém nasi sąsiedzi."

List ten, jak obaczymy późniéj, miał wielkie wywrzéć wrażenie na panów koronnych, których wpływ na króla usuwali Szafrańcy, w ten sposób, iż senatorowie uważali się za obcych całéj sprawie łuckiéj, podzielając tylko zapatrywania Szafrańców i pozostawając pod wpływem bardzo niekorzystnéj dla Witołda opinii. Książe mógł tuszyć sobie, że tym tylko sposobem zatamuje powódź oszczerczych plotek, i że słowo jego skierowane do senatorów polskich, wywrze lepszy skutek, aniżeli gdyby je znowu nadaremnie miał zwracać do króla.

A gdy w ten sposób, w oczach bacznego czytelnika, zdaje się Witołd zrywać pęta intrygi i przekraczać kresy jéj działania, opowiadacz niestety musi zaznaczyć, że książę z sieci zaledwie jedną wyciąga nogę, aby tém nieszczęśliwiéj zaplątać drugą i w jeszcze przykrzejszém znaleść się położeniu, aniżeli dotychczas. Przywodzimy tylko na pamięć, że sieć ta składa się z niewyczerpanéj ilości składowych części i że najdrobniejsza z nich ma jeden wspólny z całością cel, podtrzymywania zatargu pomiędzy braćmi i narodami.

Celem przełamania uporu króla Jagiełły, uciekł się książe do energicznych, jak wyżéj wspomniano, środków. Książe potrzebował jeszcze pomocy z zewnątrz i widzieliśmy, jak wielce rachował on tym względem na przyjaznego mistrza zakonu. W Iurborku przyrzekł mistrz księciu, iż bez niego nie przystąpi do żadnéj zgody z Polską, a więc do ostatecznego wykonania warunków pokoju melneńskiego, chociażby pod niewiedzieć jak korzystnemi warunkami ofiarowanemi zakonowi przez króla Jagiełłę. Obietnica Russdorfa wystarcza Witołdowi. Gdy atoli mistrz poczyna się chwiać i przed-

stawiać Witołdowi groźną burzę, na jaką narazić może zakon ze strony husytów, gdyby nie ustąpił królowi Jagielle, uważa książe za stosowne dodać otuchy małodusznemu mistrzowi. W tym celu uwiadamia go z Solecznik o dalszym toku spraw swoich z królem, nie wiedząc ani się téż domyślając, że on zna najdrobniejsze szczegóły tychże, tak przez współautora intrygi Zygmunta, jako téż przez licznych komturów i szpiegów zakonu, używanych przy jéj zawiązywaniu. Witołd o tém wszystkiem nie wiedział, a lubo mógł podejrzywać mistrza i zakon, że oni korzystać mogą z powaśnienia braci, to raczéj obawiał się, że oni mogliby skorzystać z ustępstw ofiarowywanych im przez króla i bez interwencyi jego, w. księcia Litwy, pogodzić się z Polską. Kto wie, czy nie z umysłu starano się ze strony zakonu to ostatnie podejrzenie wzbudzić w umyśle księcia, dość że Witołd zaufawszy mistrzowi więcéj aniżeli mu na to pozwalało jego doświadczenie, odciąga mistrza od pogodzenia się z królem co do spraw granicznych, przedstawia mu „że żądania króla są niepomierne i że król niebawem spuści z tonu.“ Odpowiadając na obawy zakonu z powodu groźnéj postawy Polski, oświadczył, że cel jéj jest nijaki i uwagą ironiczną ilustrując tę grę komedyancką, dodawał odwagi trwożliwemu mistrzowi. Jeszcze bardziéj mniemał książe, że osiągnie celu u mistrza, gdy dodawał: „iż brak odpowiedzi ze strony króla, na artykuły obchodzące zarówno jego jako téż zakon i króla Zygmunta, dowodzi, że król Jagiełło równą przeciwko nim wszystkim pała niechęcią, że przeto należałoby, aby mistrz nie śpieszył się z pogodzeniem, przeciwnie, aby się wstrzymał do czasu, w którym książę poznałby z odpowiedzi królewskich, na czém ostatecznie sprawy jego stoją.“

Korespondencya powyższa, uwłaczająca czystości charakteru Witołda, chociażbyśmy ją—jak to w istocie było—jako środek do celu uważać mieli, dowodzi, że książe zanadto zaufał charakterowi intryganta — mistrza, skoro nieoględnie podawał w ręce jego broń przeciwko sobie samemu.

Witołd atoli mniema, że tak mistrz jak król Zygmunt działają szczerze i że przy ich pomocy zdąża do celu, że zgniecie swych wrogów Szafrańców i przełamie upór króla Jagiełły. Widzi on nawet pierwsze pomyślne skutki swego postępowania. Sekretarz jego, Jan Lutek z Brzezia, wraca od króla Jagiełły, nieprzywożąc wprawdzie oczekiwanéj odpowiedzi na pojedyncze artykuły książęcych żądań, lecz obietnicę, iż król zamierza nieporozumienia swe z królem Zygmuntem zdać pod sąd rozjemczy baronów Polski i Węgier. Obietnica ta zabłysła przed oczyma strapionego księcia jakby światło nadziei.

Poprzedzały ją artykuły z zażaleniami na Zygmunta, obwinienia dziecinne, z których żadne nie wykazywało, iż Zygmunt wykroczył w czemkolwiek przeciwko ugodzie kezmarskiéj. Co gorsza, były one w stanie przekonać każdego nieuprzedzonego o całkowitéj niewinności Zygmunta, tak, że Witołd mógł usunąć z umysłu swego wszelkie wątpliwości, jakie był raz na chwilę powziął o szczerości postępowania zygmuntowego. W odpowiedzi swéj (z dnia 25 czerwca) zwrócił książę królewską uwagę na błahość obwinień, napominając go do stanowczéj zgody z Zygmuntem. Mniemając, że tak późno przywiódł króla do opamiętania, odzywa się książę z pełną goryczy wymówką „dlatego to królu nie chciałeś mnie zrobić sędzią twoich sporów z Zygmuntem, żeś nie miał żadnych należycie uzasadnionych do niego pretensyj, żeś mi niedowierzał, gdyż ja wraz z twoimi senatorami rozpatrzywszy taką skargę, moglibyśmy ogłosić króla Zygmunta niewinnym.“

Co do sprawy mołdawskiéj uniewinniał się król Jagiełło w swéj odpowiedzi tém, że przystał był już na kompromis Witołda, jak mu to doniósł przez marszałka Zarębę, że jednak Zygmunt nie wysłał na oznaczony termin swych pełnomocników. Witołd, którego jak wiemy srodze ubodło, gdy posłowie królewscy w Grodnie oświadczyli mu byli, że wojewoda niechce przystąpić do kompromisu ani téż wspierać króla Zygmunta przeciwko Turkom, a nadto prosili księcia, aby wycofał się od rozjemstwa w téj sprawie, przypomina te wszystkie szczegóły królowi. Dodał on i tę okoliczność, że zanim marszałek królewski doń przybył, już poseł mołdawski kilkoma dniami pierwéj cofnął był kompromis, na który w Łucku zgodzono się. Mniejsza zresztą o to—mówi Witołd, jakby nie zważając na sprawy mniejszéj wagi i znaczenia—spór wojewody Mołdawskiego z Wołoskim będzie można załatwić na późniejszym jakimś zjeździe. Jedno podoba mi się w przedłożeniu królewskiém, a mianowicie, że zamierzacie zdać wasze nieporozumienia z królem Zygmuntem pod sąd obopólnych baronów, czy i w czém wykroczyliście przeciwko wzajemnym a zaprzysiężonym ugodom. Byłoby to bardzo pożądaném, aby wasza kr. mość, oddawszy Zygmuntowi według jego żądania Turka i oddaliwszy Szafrańców, wszystkie spory zdał pod sąd baronów waszych. Zechciéjcie ustąpić mu w tak drobnych sprawach, jak co do Turka i Szafrańców — prosił Witołd — gdyby bowiem dla tak błahych powodów miało przyjść pomiędzy wami do wojny, nieśmiałbym działać wbrew zaprzysiężonym traktatom i nieudzieliłbym z tego powodu pomocy waszéj kr. mości.

To stanowcze dążenie Witołda do całkowitéj rehabilitacyi zjazdu Łuckiego i tę walkę o honor książęcy maluje dosadnie uro-

czyste poselstwo, które zniecierpliwiony książe postanowił był wysłać do króla. Sprawują je Gedygołd wojewoda wileński i Rambold marszałek Litwy. Posłowie ci mieli uroczyście przedłożyć królowi żądania Witołdowe w artykułach pisemnych, na które król dotychczas wymijająco odpowiadał: oddalenie Szafrańców, wydanie Turka, zadośćuczynienie Zygmuntowi w sprawie mołdawskiéj i husyckiéj; względem tego wszystkiego mieli się stanowczéj odpowiedzi domagać posłowie. Nadto polecił Witołd posłom aby się zapytali króla, czy on zezwala na koronacyą czy nie, czy książe ma się za wolnego uważać człowieka czy téż za niewolnika. Przypominamy co do ostatniego artykułu, że książe na zapytania Krzyżaków przyobiecał był mistrzowi zakonu, że w sprawie korony, niebawem pośle zapytanie do króla. Artykuł ostatni nie był wyrażony na piśmie.

Gdy poselstwo wyruszyło w drogę do Łęczycy, gdzie podtenczas bawił król Jagiełło, natychmiast o tém wiedziano w Malborgu. A gdy mistrz również traktował z królem w sprawach granicznych, niedziwna, że wysłał tamże sprytnego a znanego już nam komtura toruńskiego. Instrukcya poselska, jaką miał komtur, nie zachowała się w zapylonych aktach archiwum, a i skądinąd mamy powody do postawienia wniosku, że była tajną. Niezapominajmy, że mamy przed sobą historyą intrygi i że chwila w Łęczycy mogła być dla niéj groźną. Gdyby naprzykład Jagiełło ustąpił z uporu a Witołd opuścił z pretensyi? Mistrz zakonu i na takie ewentualności musi być przygotowanym, a dyplomacya ówczesna ma ku temu dość środków pomocnych, jak się wnet przekonamy.

W poniedziałek dnia 18 lipca przybyli posłowie litewscy do Łęczycy, gdzie zastali króla z kilkunastu senatorami, pomiędzy tymi arcybiskupa Gnieznieńskiego, wojewodę poznańskiego i znanego nam doktora podkanclerzego. Z królem przybyła także królowa. Był już i komtur toruński a układy z nim szły pomału, bez pośpiechu, na którym mu widocznie mniéj zależało. Następnego dnia przedłożyli Litwini swój list wierzytelny, poczém wygłosili artykuły poselskie, tak jak je mieli na piśmie. Król zasiadł do obrad z senatorami; posłowie oczekiwali rezultatu — odpowiedzi. Tymczasem dzień po dniu mija, odpowiedzi nie ma. Niecierpliwią się posłowie i dowiadują się, że sędziwy król miewa bardzo tajne narady z komturem toruńskim, że sam na sam z nim się zamyka, nie wpuszczając do komnaty nikogo prócz tłómacza Stenbarskiego, że późniéj przywołał arcybiskupa a w końcu i wojewodę Ostroroga. Jakaż jest treść tajnych zwierzań komtura, rozpytują się posłowie litewscy. Możemy się domyślać, iż zakon, posiadając dowody autentyczne w listach Witołda na to, że

książe odciąga mistrza od ukończenia zgody z królem, mógł chwilę tę uważać za stosowną do wyzyskania poufnych listów na rzecz intrygi. Kopie listów mógł komtur i bez wiedzy mistrza wydostać tajemnie z kancelaryi zakonnéj. Wprawdzie ściągał na się przez to zarzut mniéj szlachetnego czynu, ale na takie drobnostki nie zważano w regule zakonnéj, według któréj cel uświęcał środki, one zaś, jak w obecnym wypadku, osłaniają całkowicie mistrza a innym jeszcze zwierzeniom komtura nadają pozory wielkiego prawdopodobieństwa. Ta reszta zwierzeń, odnosiła się do pewnych podejrzeń, jakie Witołd miał mieć co do małżeńskiéj wierności królowéj Sonki i do pewnych nie mniéj drażliwych wątpliwości względem prawego pochodzenia jéj dzieci. Te i tym podobne rzeczy—zaręczał komtur pod wielkim sekretem królowi— miał wyrażać Witołd wobec mistrza w poufnych rozmowach. Niewiadomo zresztą jakie jeszcze zwierzenia przynosił komtur, zapewne i wywiadujący się o te tajemnice posłowie litewscy nie dowiedzieli się o wszystkiem; wszakże były one dość czarne, skoro pisali do księcia, że o posłuchach jakie ich w téj chwili dochodzą, opowiedzą ustnie, gdyż wstydzą się przenosić je na papier.

Król Jagiełło zwierzeniami komtura był mocno zmartwiony. W piątek, a było to już późno wieczorem, wezwał on posłów litewskich z sobą na przechadzkę. Sam jeden wychodzi z nimi na łęczyckie błonia; widocznie—spodziewają się posłowie—zawezwał nas, by poufnie pomówić w sprawie zażaleń książęcych i ostatecznéj odpowiedzi, któréj się nie możemy doczekać. Tymczasem król, według zwyczaju, powtarzając te same słowa i wyrazy, począł skarżyć się na swą dolę—jak ciż posłowie donoszą księciu — i obwiniać Witołda, który odbierając przysięgę wierności od poddanych litewskich, za życia jeszcze królewskiego odbiera mu jego ojcowiznę. Odbiera ode mnie Litwę i od moich dzieci, powtarzał król. Posłowie usprawiedliwiają księcia; król trwa przy swojém zdaniu, nie nadmienia atoli niczego z powierzonych mu tajemnic przez komtura. Rozmowa trwała długo. Król był zmartwiony, posłowie obojętni; on, król, zdawał się korzyć przed nimi, wynurzając się ze swych boleści i podejrzeń co do osoby ich księcia, oni dumni w poczuciu swéj misyi nie uważają za godne pióra donieść Witołdowi o danych królowi na przechadce odpowiedziach. Dorozumiewać się można; że były one tego rodzaju, iż zdolne były utwierdzić króla w podejrzeniach; Rumbold wszakżeż, jak nas późniejsze pouczają dzieje, był separatystą. Aby zakończyć nudną konferencyą, któréj powodów, pomimo że doszły ich pogłoski o plotkach komtura, się nie dorozumiewają, zapytują posłowie króla, kiedyby zamyślał stanowczą dać im odpo-

wiedź na artykuły książęce. Jutro — brzmiała odpowiedź biednego króla.

Komtur tymczasem, załatwiwszy swoje sprawy, a nadto wytargowawszy jakąś korzyść w sprawach granicznych, mógł swobodnie odjeżdżać. Należało mu jeszcze tylko z posłami się widzieć, aby nie wzbudzić podejrzenia u Witołda. Rankiem tedy, w dzień sobotni, nazajutrz po owéj konferencyi króla z posłami, kryżak odwiedza ostatnich w ich komnatach. Posłowie ani się domyślają o celu wizyty. Komtur chyba grzeczność, formalność chce spełnić—takimi wszakże są krzyżacy. Komtur oświadczył o swoim wyjeździe i prosił uprzejmie posłów, by zechcieli polecić korne jego usługi księciu, że on chciałby we wszystkiém i przy każdéj sposobności odsłużyć się Witołdowi, którego łask i dobrodziejstw nie jest w stanie zapomnieć. Ma on jeszcze jedną tylko prośbę, mianowicie aby książe nie wziął mu za złe jego układów z królem, gdyż on przy załatwianiu sporów działał jako sąsiad królewski i że niczego nie mówił z królem, jak tylko to, co należało do kwestyi sporów granicznych. Nadmienił przy tém, że zgodził się z królem, aby granicę około Drezdenka stanowiła rzeka Noteć, że cło, rybołostwo i pożytki z połowy rzeki Noteci należeć mają do zakonu wedle starych traktatów. O téj ugodzie spieszy on zawiadomić mistrza, z tym dodatkiem, że co do reszty granic, jak około Landesberga, król zwlókł swoję odpowiedź dla braku pełnéj swéj rady.

Komtur pożegnał posłów i pośpieszył donieść o powodzeniu swém w. mistrzowi. Ale prócz tajemnic, o których posłów tylko głuche posłuchy dochodziły, oświadczył on mistrzowi to, co był zataił przed posłami, że wyłudził od króla, gołosłowną wprawdzie, ale zawsze obietnicę odstąpienia w imieniu korony polskiéj od jéj pretensyj do granic spornych około Landesberga, Hochzeitu i Nowéj Marchii za owe jakoby odstąpienie Drezdenka i połowy koryta Noteci, daléj że król obiecywał w ciągu czterech tygodni uzyskać potwierdzenie téj ugody od swego senatu, poczém potrzebowałby się tylko zjechać z mistrzem dla sporządzenia aktu ugody. Zakon troskliwie chodzi około sprawy intrygi i własnych, a mistrz otrzymawszy sprawozdanie komtura, nie zaniedba przypomnieć swoje usługi Zygmuntowi, aby odeń otrzymać dokument darowizny Nowéj Marchii, czego wdzięczny król zapewnie nie odmówi.

Tejże soboty, przywołani w tym celu posłowie Witołda wysłuchali w obec króla i senatorów polskich odpowiedzi na artykuły książęce.

Król ofiarowywał się usunąć Szafrańców; na artykuły mieszczące zarzuty usprawiedliwiał się, w sprawie zadośćuczynienia Zygmun-

towi odwoływał się—co jak sobie przypominamy i Witołdowi się podobało — że traktuje z nim o zjazd baronów polsko-węgierskich i że wyroku ich nie omieszka wypełnić.

Posłowie widzieli w odpowiedzi królewskiéj same tylko wymówki. Niezadowolnieni jedném ustępstwem, powstawszy z miejsc zabrali głos:

Najjaśniejszy królu! Słyszymy odpowiedź na rozmaite punkta legacyi naszéj, lecz nie dostrzegliśmy z niéj, czy wasza kr. mość, jak to był w Łucku zezwolił i obecnie zezwala na koronacyą naszego hospodara w. księcia lub téż cofa zezwolenie? Czego obecnie pragniemy dowiedzieć się, by i o tém donieść w. księciu.

Artykuł ten, jak wiemy, nie był w instrukcyi poselskiéj wymieniony. Król zasłania się tą okolicznością, wymawia się, że zezwolenia nie dał, poczém powołuje swych senatorów na krótką naradę i odpowiada posłom:

Mało tu jest nas obecnych i z tego powodu w sprawie tak ważnéj, obchodzącéj całą rzeczpospolitą, nie mogę obecnie, w braku pełnéj rady królestwa—czegoś stanowczego odpowiedziéć.

— Ależ to uczyni zwłokę hospodarowi naszemu w jego zamiarach—odrzekli posłowie—zechce tedy wasza kr. mość odpowiedzieć kiedy zwoła na ten cel swoję radę.

Król na to: Nieumiem dziś odpowiedziéć na który dzień wyznaczę termin zjazdu, lecz gdy obecnie zmierzam do ziemi krakowskiéj i sandomierskiéj, łatwo będę się mógł porozumiéć pod tym względem z moimi senatorami.

Wyczerpana tą odpowiedzią cierpliwość posłów przechodzi na chwilę w oburzenie. Rozzuchwaleni przyjacielskiém z nimi postępowaniem króla, gdy im nadto i gniew Witołda i własna ich urażona ambicya dodawały odwagi, odrzekli:

— Z téj odpowiedzi przekonywujemy się, że w. kr. mości tylko o zwłokę chodzi w téj sprawie, a hospodar nasz nie chce jéj nadal doświadczać i pragnie wiedziéć, czy jest wolnym lub niewolnym i czy wasza kr. mość zezwala lub cofa zezwolenie. A gdy wasza kr. mość, jak się dorozumiewamy, nie ma zamiaru zezwolić ani téż dać nam stanowczéj odpowiedzi, polecił nam w. książe oświadczyć, że czy to się waszéj kr. mości podoba lub nie, on przyjmie i włoży na się koronę.

Przeraziły króla te zuchwałe słowa. Tak więc podejrzenia, tajemnice komtura miały być niestety prawdą: więc hańbę od księcia muszę znosić i poniżenie! Wydziera mi ojcowiznę i wypowiada wojnę.

Nastąpiła znowu dłuższa narada z senatorami z arcybiskupem, z Ostrorogiem i podkanclerzym. Już dobrze było popołudniu, gdy wreszcie posłowie usłyszeli od króla te słowa: Chcę w najkrótszym czasie zasięgnąć rady mego senatu, poczém wyślę posła do księcia z odpowiedzią. Temi słowy odprawił król posłów i udał się z nimi na obiad, po którym posłowie mieli się ruszyć w drogę do Litwy. Przed samym odjazdem wezwał król jeszcze raz posłów do siebie i na osobności bardzo długą miał z nimi rozmowę. Polecił zaręczyć Witołdowi „że go kocha jak dawniéj, że prosi Boga w codziennych modłach o zdrowie i pomyślność księcia, któremu téż więcéj tego życzy, aniżeli samemu sobie. Jak dawniéj — a zawsze to zwykł był czynić, dodają posłowie w swéj relacyi — prawił król bardzo wiele w ten sposób: Brat mój może uczynić, co mu się podoba; z méj strony życzę mu pomyślności i dobra. Należałoby ażeby zamiar swój uskutecznił za radą moją, po rozpatrzeniu treści dawniejszych naszych zapisów i w ogóle uczynił tak, aby mu to na dobro wyszło i nie uwłaczało jego godności. Brat mój jest wolny jak i ja — mówił król—i za takiego, gdyż za brata mego najdroższego, go uważam, nie zaś inaczéj; książąt i panów litewskich również uważam za wolnych jako i panów koronnych i za równych ostatnim pod każdym względem. W końcu wyrażał król zapewnienie posłom, iż oddali Szafrańców od siebie, jak tego żąda w. książe. Posłowie litewscy doznali przed wyjazdem szczerego pożegnania od królowéj. I ona wyrażała się „iż przyjemném jest dla niéj widziéć w. księcia w szczęściu i pomyślności, tudzież, żeby z królem jéj mężem żył w braterskiéj zgodzie“ i polecała się kornie pamięci w. księcia tudzież w. księżny Juljanny.

Posłów odprawiono 23 lipca, w ów dzień sobotni, kiedy to komtur toruński był już w drodze do Malborga. Nietrudno nam dostrzedz, że gdy ostatni z poczuciem tryumfu wracał do mistrza; Litwini przeciwnie ze zwłoką sprawy łuckiéj śpieszą do Witołda. Ze względu na historyą intrygi, czynności ich stykają się, z tą tylko różnicą, że gdy posłowie bezwiednie służą za jéj narzędzie, komtur przeciwnie z całym rozmysłem działa, jako wtajemniczony w plany i zamiary autorów intrygi. Ze względu na króla, skutki ich pobytu w Łęczycy uzupełniają się w ten sposób, że podejrzenia królewskie, wzmożone z jednéj strony podszeptami komtura, z drugiéj znowu strony groźbą posłów, dochodzą do stopnia rozpaczliwéj pewności o tém, co dotychczas było niejasném i niezrozumiałem. Skutkiem tego postępowanie królewskie jest w wysokim stopniu nieszczere i niekonsekwentne względem Witołda. W sercu swém czuje król tylko żal do księcia i mniema, że do tego już

przyszło, iż prócz gorzkich wymówek rzuca mi groźbę w oczy ten, któregom wyniósł na tron ojczysty, który mi wszystko, co posiada, ma do zawdzięczenia. Sławie domu mego i dzieci moich uwłacza książe, gdyż chce oderwać na zawsze od nich Litwę. Król już obecnie nie poczuwa się do żadnéj winy, a ustępstwa jego nie są aktem skruchy lecz wynikiem musu i twardéj konieczności. Jego majestat królewski doznał hardéj obelgi; zuchwała pogróżka posłów ubodła go do żywego. To też nie może się powstrzymać od wynurzenia skargi przed księciem. Tego samego jeszcze dnia napisał on o tém do Witołda, żaląc się, że jego posłowie tak pośpiesznie sobie poczęli, nie dowiedziawszy się poprzednio o stanowczéj i niezmiennéj woli senatu królewskiego. Lecz i w skardze téj nie ma szczerości; król podstępnie chce wyłudzić od księcia chwilkę cierpliwości do czasu aż zapadnie uchwała senatu. I odwołanie Szafrańców jest pozorném tylko, w gruncie rzeczy, obłudą; król bowiem już tylko im ufa, a ich przeciwników w senacie podejrzywa o zausznictwo księcia i o zdradę względem siebie. Twarda konieczność nakazuje usunięcie, a król widzi w tém akt poświęcenia się ze strony Szafrańców, którzy już przed tém udaną gotowością wzięcia brzemienia winy i błędów królewskich na swoje barki; podbili całkowicie jego zaufanie. Jagiełło na ustach miał słowa miłości dla Witołda, w sercu zaś podziela ze Szafrańcami nienawiść.

Usposobienie to podejrzliwego króla, przebija się w stosunkach do zakonu, który od dzieciństwa nienawidził, a z którym wchodzi w układy i ufa ich podszeptom, jako-téż w stosunkach z Zygmuntem, o czém pokrótce napomkniemy. Wobec nacisku ze strony Witołda musiał król przystąpić do prób ugodowych z Zygmuntem. Strony załatwiały te próby zwykle za pośrednictwem zjazdu obopólnych baronów na pograniczu węgierskiém. Porozumiano się—a na zielone świątki przypadające w połowie maja wysłał był król z Wielkopolski prałatów i baronów swoich na zjazd do Szramowic „aby na nowo skojarzyli zachwianą i znacznie nadwyrężoną przyjaźń obu królów." Ale panowie węgierscy nie przybyli, a łatwo się nam dorozumieć z jakiego powodu. Zygmunt pragnął nadal utrzymać naprężony stosunek pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, nie dziwna przeto, że zjazd taki wcale mu nie był na rękę. Za jego namową usprawiedliwili się baronowie węgierscy w ten sposób, że Polacy nie mogli im nieprzybycia wziąść za złe, zwłaszcza gdy się zasłaniali rokowaniami z husytami i stawili w propozycyi zjazd na przyszłość. Tymczasem Witołd znagla do działania. Sam król pisze tedy do Zygmunta, żądając zjazdu i obiecując ze swéj strony zadość uczynić wyrokowi ich baronów. Zygmunt odpowiada dyplomatycznie, iż okazuje się skłon-

nym do uczynienia wszystkiego, coby tylko wzajemną ich przyjaźń podsycić mogło i że w tym celu chętnie zjedzie się z królem na Spiżu lub w Bardyowie. Król odsyła znowu posła do Zygmunta, proponując na termin zjazdu czas pomiędzy Wniebowzięciem a św. Bartłomiejem. Zygmunt godzi się na święty Marcin, ażeby jak najdaléj odsunąć możliwość zgody. Podtenczas to, Jagiełło jeszcze raz z pokorą, uniżonością i zbytkiem udanéj szczerości uprasza Zygmunta, aby nie koronował Witołda i nie wydzierał mu przez to jego ojcowizny. Czynił to, powtarzamy, wtedy gdy postanowił był zdać tę sprawę pod obradę swego senatu. Czy była w tém konsekwencya? Pomimo przykrego doświadczenia, król powtarza swój błąd nawet w tak ważnéj chwili i obchodzi, stara się udaremnić żądania Witołda na drodze układów z Krzyżakami i z Zygmuntem.

Król Jagiełło, stosując się do oświadczenia danego Witołdowi, powróciwszy do Małopolski, wyznaczył na dzień 8 września zjazd prałatów i dostojników świeckich do Sandomierza. Miano się tam dokładnie zastanowić nad położeniem rzeczy i nad środkami zaradczemi, gdyż sytuacya była groźną i niecierpiącą zwłoki. Plotki zakonne i rozmaitych „złych ludzi“ czyniły ją jeszcze groźniejszą i w Polsce chciano naprawdę wierzyć, że Witołd bezcześcił sławę królowéj i synów królewskich, że komtur toruński i inny jakiś krzyżak donieśli o tém w sekrecie królowi. Poczém z ust do ust obiegała pogłoska, że król ma się zupełnie pogodzić i połączyć z Krzyżakami z zamiarem uczynienia mistrza zakonu opiekunem małoletnich swych synów i t. p. Niepodobna wskazać nam na osobistości, które rozsiewały takie pogłoski; faktem jest, że król zbliżał się do Krzyżaków, że dostojnikom zakonnym robił podarki, stosowne do zwyczajów wieku, w rzadkich okazach dziczyzny, ubitéj na polowaniach i coraz częściej przez kursorów znosił się z Russdorfem. Faktem jest daléj, że niewiadomo skąd dowiedział się Jagiełło o królu Zygmuncie, że tenże oczerniał go wobec króla angielskiego Henryka V-go, orzekając na publiczném posłuchaniu przez usta swego posła, że Jagiełło był pierwéj poganinem obecnie zaś jest heretykiem, gdyż ich protektorem. Również nieda się zaprzeczyć, że król powziął tę wiadomość z Gdańska a więc z krajów, zostających pod władztwem w. mistrza zakonu.

Nie trudno nam dojrzéć, dokąd zmierzają autorowie tych brudnych oszczerstw i potwarzy. Kwestya korony Witołdowéj ma pójść pod obradę senatu a tak stać się poniekąd kwestyą publiczną. Trzeba tedy i opinią publiczną o ile możności na to przygotować, aby uniemożebnić projekt koronacyjny, a zgodę pomiędzy królem i w. księciem, Polską i Litwą co najmniéj usunąć w przyszłość. Ku temu ce-

lowi jakże dobrze nadają się plotki udowadniające, że król Zygmunt jest najbardziéj winnym, że pragnąc Litwę oddzielić od Polski wymyślił ku temu koronę dla Witołda, że Witołd jest może w porozumieniu z Zygmuntem i przystaje na jego plan, a tylko dla uniknięcia wojny z Polską wymusza na królu problematyczne zezwolenie. Oszczerstwa o królowéj i jéj dzieciach miały już nietylko w podejrzliwym z natury królu wzbudzić myśli, że Kiejstutowic, mszcząc się za śmierć ojca odpycha Jagiellonów na zawsze od Litwy. A król Jagiełło miał synów, których szczerze kochał, dla nich za cenę praw i przywilejów władzy królewskiéj okupywał koronę polską—był twórcą dynastyi, którą ugruntować chciał nietylko w Polsce, gdzie się za gościa tylko poczytywał, ale i na dziedzictwie swém litewskiém, a Witołd — głoszą jego wrogowie — zamierza tym dzieciom wydrzéć ojcowiznę. Łatwo sobie wyobrazić jaki wpływ wywierają te brudy intryg pokątnych na sędziwego króla, na opinią rady jego—trudniéj nam wskazać na autorów tych szpetności; kto wie, czy nie wyręczają się Krzyżacy kim innym jeszcze, czy i obecnie Szafrańcy nie są bezmyślném narzędziem zawikłanéj intrygi w ręku zakonu?

Tak więc wstępujemy w drugie stadyum intrygi łuckiéj — gdy sprawa ta poniekąd gabinetowa, natury z początku prywatnéj, urasta powoli w kwestyą publiczną.

III.

Trudném było położenie senatorów królewskich zwołanych na dzień 8 września do Sandomierza. Zapewne większa ich część, nie ulegająca zgubnemu wpływowi Szafrańców, nie dawała wiary plotkom i oszczerstwom, umiała pojąć i usprawiedliwić ostry ton przymówek i gróźb Witołdowych skierowanych do króla, nie podzielała w gruncie rzeczy nieusprawiedliwionych podejrzeń Jagiełły—co więcéj znała winę jego i wiedziała dobrze, że król zezwoleniem swém w Łucku daném, którego się na próżno za doradą Szafrańców obecnie wypierał, był tu głównie winnym. Dostrzeżono i winy Szafrańców; wszakże Witołd otwierał im oczy wskazując i udowadniając prawdę swego aktu oskarżenia. Dorozumiewano się, że Zygmunt intryguje, posądzano go o zamiar oddzielenia Litwy od Polski i tłómaczono sobie, że wyzyskuje obecny rosterk pomiędzy dwoma temi krajami. Upór atoli Witołda w postawieniu na swojém różnie sobie tłómaczono. Tu mieli wrogowie księcia pole do popisu a możemy się dorozumiewać jakimi walczyli argumentami. To pewna, że większość podzielała zdanie, iż konieczną jest rzeczą zaspokoić ambicyą Witołda i zezwolić na koronacyą.

Gdybyśmy, co do obrad zjazdu w Sandomierzu, nie byli skazani wyłącznie na relacyą Długosza i posiadali szczegółową wiadomość o ciekawéj dyskusyi, pokazałoby to nam może, jak srogiego skarcenia doznała polityka Szafrańców przez większość senatu, moglibyśmy wskazać na tych, którzy sterawszy swą młodość na usługach księcia, chętnie przyzwalali na koronacyą tego, którego cenili jako największego z monarchów i odbierali za to od Jagiełły miano „zauszników Witołdowych.“ Moglibyśmy przedstawić scyssyą zaszłą z tego właśnie powodu pomiędzy królem a senatem i wykazać zwycięstwo większości senatu. Moglibyśmy przedstawić upokorzonego króla, uciekającego się powtórnie do rady swych Szafrańców, coby czynić wypadało, gdy senat doradza zaspokoić żądanie Witołdowe ze względu, iż w niém nie ma nic, coby uwłaczało literze prawa. Obaczylibyśmy, jak wyszydzeni Szafrańcy ze swemi argumentami, że koronacya uwłaczałaby artykułom unii horodelskiéj, przedstawiają następstwa tejże, mianowicie ze względu, że Zygmunt udziela tejże korony. Wszak to mogłoby uprawnić cesarstwo do najrozmaitszych roszczeń względem Litwy? Senat podziela te niepłonne obawy ale w gruncie rzeczy pozostaje przy swojém zdaniu. Jak tedy rozwiązać ten węzeł gordyjski? Szafrańcy bogaci w półśrodki i na tę ewentualność mają takowy na podorędziu. Oto niech król ofiaruje swą własną, koronę Polski, ambitnemu bratu byle zawarować następstwo nieletnim swoim potomkom, byle niedopuścić do mniemanego oddzielenia Litwy. Tym sposobem uczyni się zadość zausznikom Witołdowym, których się na każdy wypadek zobowiąże, aby niedopuścili Zygmuntowi, panu wrogich Niemców i roszczącemu sobie dziwne pretensye cesarstwa, koronować Witołda. Skutkiem obrad w Sandomierzu ustępował Jagiełło własną koronę w. księciu Litwy.

Zaiste trudno nam nie podziwiać poświęcenia Jagiełły, tak głęboko upokarzającego się wobec swéj rady króla, ustępującego z tronu rozgniewanemu bratu. Cokolwiekbyśmy zresztą o charakterze złamanego wiekiem i trudami, i już z tego względu pozostającego pod wpływem swego otoczenia, króla powiedzieć mieli, jakimkolwiek wpływom przypisać byśmy mieli jego stanowcze postanowienie, nic nie zdoła umniejszyć jego poświęcenia. Niezapominajmy, że prawie pół wieku piastował berło polskie a bez brzemienia korony chciał schodzić do grobu.

A rada królewska? Może sprzykrzyły się rządy staruszka jednym, może zapragnęli mieć wielkiego Witołda drudzy, może inni tuszyli i żądali upadku zauszników królewskich a może wśród trudnéj sytuacyi uznano ten środek za jedyny i zbawienny, dość,

że zgodzono się na propozycyą królewską. Znawcy charakteru księcia mogli atoli przewidzieć, że Witołd nie przyjmie korony żyjącego jeszcze brata. Ale cóż robić, może sama propozycya zdoła zaspokoić ambicyą w. księcia? usunie go z pod zgubnego wpływu Zygmunta, którego uznano za wroga ojczyzny. Takie i tym podobne panują zdania w Sandomierzu, skąd postanowiono wysłać z tą uchwałą poselstwo do Witołda. Wybór padł na biskupa krakowskiego który już w sprawie łuckiéj posłował do Witołda, tudzież na Jana Tarnowskiego Małopolanina przyjaźnie dla Witołda usposobionego męża. Polecono im użyć najsamprzód wpływu wymowy, z jakiéj słynął biskup, aby odwieść księcia od zamiaru koronacyjnego, poczém przedłożyć mu pokorne i pełne miłości przedstawienie warunku odstąpienia korony Polskiéj, mające go pogodzić z królem i koroną. Żadnych innych zleceń co do stosunków z husytami i zaspokojenia krzywd Zygmunta nie dano posłom w instrukcyi. Na święty Michał mieli się posłowie wywiązać z trudnego zadania.

Skutkiem powikłania się węzłów intrygi, zadanie to staje się jeszcze trudniejszém. Król Zygmunt bowiem korzystając z napiętego stosunku pomiędzy Jagiełłą a Witołdem, uważa tę chwilę za stosowną do narzucenia się Witołdowi z ofiarowaniem żądanéj korony. Uczynił to w sposób bardzo misterny w liście z dnia 27 lipca. Opowiedziawszy nasamprzód o cokolwiek polepszonėm swém stanowisku do husytów, mówi Zygmunt z dobrze udaném oburzeniem:

„Patrz bracie najdroższy, czy to są dowody o unii naszéj z heretykami o którą nas posądzają nasi wrogowie, czy to zapowiedzi konwencyi naszych z tymi, którzy nas, ziemie nasze i poddanych naszych niszczą przez rozboje i mordy, przez pożogę i wojny? Wierz mi wasza braterskość—mówi Zygmunt, udając brak cierpliwości—że gdy mi przyjdzie przedsięwziąść krok jakiś przeciwko królowi Polski, nigdy nie uczynię tego bez waszéj wiedzy i porady. Godziłoby się raczéj, by król ukrywał takie plotki nie podobne do prawdy, aniżeli je wam donosił w tak czarny sposób.“ Żeby jeszcze bardziéj zdyskredytować Jagiełłę w oczach Witołda a podnieść swoję bezinteresowność, począł przedstawiać Witołdowi, że pomimo to przystał z królem na zjazd na św. Marcin odbyć się mający. Przedstawiał on, że gdyby ważniejsze sprawy odciągnęły go od osobistego udziału, chciałby przynajmniéj baronów swych na zjazd wysłać, i podstępnie dodawał: Gdy ja atoli niczego nie zwykłem czynić bez rady i wiedzy waszéj br. dlatego i obecnie udaję się po nie, z prośbą: zechciéj nam poradzić, czy mam się osobiście stawić na tym zjeździe czy téż przez posłów dać się zastąpić? Chciałbym tam zadośćuczynienie uzyskać, dowieść niewinności mojéj i powolności dla zapisów obopólnych.

Zamierzam oskarzyć króla o daleko większe winy i krzywdy aniżeli je mnie zarzuca i udowodnić, jako on złamał przysięgę i wiarę i wspólne nasze układy i przymierza, jako je nadto i obecnie łamie i łamać nie przestaje. Gdyby atoli waszéj br. się zdawało—objawia Zygmunt swe całkowite ku Witołdowi zaufanie, żeby nam nie należało osobiście się stawić, natenczas znajdę dogodny sposób, aby się z téj sprawy wywiązać, i używszy usprawiedliwień godnych i przekonywujących, wyślę na zjazd tylko pełnomocników. Zechciéj mi tylko wasza br. objawić swe pod tym względem zdanie. Byłoby to mojém najgorętszém życzeniem, abyś swoich posłów na miejsce zjazdu wysłał, ażeby na wypadek gdybym osobiście wziął udział, na własne oczy i uszy wszystko widzieli i słyszeli, rady swéj nam udzielali i uwiadomić mogli was o wszystkiém.

Możemy tu zaznaczyć, że podstęp był dobrze obmyślony z gruntowną znajomością różnic zaszłych pomiędzy Jagiełłą a Witołdem. Zygmunt miał zamiar niedopuścić do zjazdu i winę niedojścia do skutku zwalić w oczach Witołda na Jagiełłę. Jak się to stało obaczémy późniéj.

Lecz nietylko ten podstęp odczytujemy w rozwlekłém piśmie Zygmunta. Oto co pisze w dalszym ciągu: Jedno jeszcze pozostaje do załatwienia. Otóż jak wasza br. uwiadomiłeś mistrza zakonu, ten zaś mnię przez Redewicza, postanowiłeś wasza br. przywdziać koronę królewską i w tym celu zamierzyłeś wysłać poselstwo do królewskiego swego brata, poczém znowu do nas takowe miałeś przysłać. Dotychczas jednakowoż nie przyszło ono do nas. Z najszczerszego serca proszę i błagam waszą br. zechciéj uszczęśliwić nas tą wiadomością, w sprawie tejże korony. Przygotowałem już korony i inne oznaki królewskiéj godności dla was i dla małżonki waszéj a siostry mojéj najdroższéj i chcę je wam odesłać z taką okazałością, jakiéj ta sprawa wymaga. A gdyby ktoś chciał przeciwnie doradzać waszéj br. i was odciągać od koronacyi, która tylko wyjść może na cześć i sławę waszą, ziemi i poddanych waszych, gdyby ktoś chciał w was wzbudzić jakąś wątpliwość w sprawie tejże koronacyi, prosimy was gorącemi słowy, pochodzącemi z głębi serca naszego, nie chciejcie temu dawać wiary. Wierzaj mocno wasza br., że za cenę całego świata nie ustąpiłbym od tego, co przyrzekłem waszéj br.; miejcie tę wiarę dla honoru swego i według woli waszéj jak się wam podoba. Upraszam tylko, niechciéj być wasza br. bojaźliwym w téj mierze, zapewniam bowiem że nigdy nie ucierpi wasza br. omieszkania z mojéj strony. Ażeby zaś całkowicie zdyskredytować króla Jagiełłę w oczach Witołda dodawał on w cedule te słowa:

Bracie kochany! Król Jagiełło sekretnie prosił mnie przez posła swego Nespora, abym ze względu na to, że obaj się starzejemy i że ja mam więcéj królestw, on zaś tylko jedno, które mu wystarcza, ale które ja mu rozdzielić i odciąć od niego usiluję, gdym ja nadto wiedziéć powinien, że ziemia Litewska doń należy i że on jéj ustąpił waszemu br. tylko w dożywocie, pod warunkiem unii i wzajemnéj miłości, i że po śmierci waszéj powraca do Polski, abym więc z tych względów baczył na to, iżby rozdział ten nie nastąpił, abym pomny na przysięgi i zapisy nasze, na wiarę i na zbawienie duszy więcéj to brał sobie do serca, aniżeli sprawy, które tylko rozdział i wzajemne waśnie mają na względzie.

Zygmunt nie wątpił, iż Witołd zrozumie myśl przedłożeń królewskich, oskarżających ich obudwu o zamiar oddzielenia Litwy.

W parę dni późniéj (dnia 30 Lipca) oznajmiał Zygmunt najdroższemu swemu bratu Jagielle o losie układów z Taborytami; przedstawiał, że onenie świadczą przecież o unii z karcerzami, o którą go posądzają wrogowie. Dodawał o prawdopodobieństwie wojny, upraszając króla o pomoc na każdy wypadek, zwłaszcza—dodawał jakby z ironią—gdy wasza kr. mość już i tak całe lato miałeś ludzi pod bronią. Zresztą, jak w piśmie do Witołda, zapowiadał, że osobiście przybędzie na zjazd, chyba gdyby był zaskoczony nieprzywidzianymi wypadkami, natenczas bowiem musiałby się zastąpić przez posłów.

Kopie obu powyższych listów odesłał Zygmunt do w. mistrza „aby wiedział jak stoją sprawy husyckie“, i uwiadomiał go nadto, że wyśle Redewicza z ludźmi do ujść Dunaju, aby tam według układów Łuckich założono zamek zakonny na obronę chrześcijaństwa.

Zygmunt nie łudził się co do charakteru dumnego i urażonego w swéj dumie Witołda i umiał należycie korzystać z okoliczności, nadarzających się mu obecnie z taką szczodrobliwością życzliwego losu. Prawda, że los ten umiał on należycie przygotować i że pomoc krzyżacka była mu niezbędną. Witołd zaś, ów biegły polityk, domyślny mąż i zdrowy oceniacz najzawikłańszych sytuacyi politycznych,—Witołd, o którym dowcipny biskup Kropidło powtarzał, że on jeden w porównaniu z Zygmuntem i Jagiełłą zasługuje na pełne miano monarchy—o którego to odbijały się jak o granitową skałę najbardziéj wyrafinowane sztuczki zakonu, Witołd miałby się dać uwieść Zygmuntowi, miałby uwierzyć pochlebstwom Zygmunta, że on tylko dla szczęścia braci, tylko dla sławy księcia i Litwy pragnie ozdobić koroną jego skronie? Witołd miałby uwierzyć, że ów Zygmunt bezinteresownie chce dostąpić zaszczytu koronowania księcia i że ma

najsłuszniejsze żale z powodu uporu do króla Jagiełły? On miałby może i temu dać wiarę, że Zygmunt, lada chwilka, postradawszy cierpliwość, porwie się do broni przeciwko niesprawiedliwéj i szkodzącéj jego państwu Polsce?

Niestety Witołd wierzył Zygmuntowi, gdyż wierzyć musiał. Zygmunt mógł tryumfować, że rzucił między psy kość niezgody, Witołd o tém nie wiedział, a gdy się o tém dowie, nie da wiary takowéj wieści. Z twardéj konieczności i musu nie uczyniłby tego, gdyż wiara w zdradę Zygmunta zadałaby ostatni cios zbolałéj jego ambicyi, upokorzyłaby dumę, kazałaby mu zbliżyć się do Jagiełły, od którego śmiertelnéj doznał obrazy bez skruchy i zadość uczynienia ze strony króla. Ona wydarłaby mu możność zrehabilitowania zjazdu monarchów, możność roli sędziego w sprawach Węgier a Polski i Krzyżaków, co jedynie mogło wynagrodzić szwank na jaki go sprawy łuckie naraziły. Witołd, wnosić należy, odpychał wszelkie czarne myśli i podejrzenia, jakie mu się już nie raz nasuwały o Zygmuncie; myśl zdrady usuwał on jak trapiącą go zmorę. Wszakżeż oszukał go brat własny król Jagiełło, wszakżeż Zygmunt dąży do rehabilitacyi uchwał Łuckich, tysiące szczegółów każe wnosić o jego szczerości, którą sprawdzają fakta—a sami Polacy oskarzają przed księciem swych ziomków o wspólnictwo z kacerzami czeskimi.

Ku komu innemu zwrócił Witołd swe podejrzenia, kogo innego posądzał on o zdradzieckość i postęp. Dorozumiewamy się, że mogli być tymi Krzyżacy, i że plan intrygi tego podejrzenia wymagał. Gdy bowiem posłowie Gedygołd i Rampold powrócili z Łęczycy do księcia, przywożąc znaną nam już odpowiedź królewską, donosili równocześnie i o owych tajemnych układach Jagiełły z komturem toruńskim, o jego niewytłómaczoném zachowaniu się w obec króla i posłów, co wszystko, dodawszy jeszcze najrozmaitsze pogłoski i oszczerstwa, uwłaczające honorowi księcia, których autorem według powszechnéj wieści miał być właśnie komtur, nie mogło zadowolnić Witołda. Co gorsza, wiadomości te srodze go zmartwiły, o ile że był pewnym na podstawie porozumienia się z mistrzem powziętego w Jurborku, iż zakon nie przystąpi do załatwienia zgody z Polską, bez jego współudziału. Tymczasem sam król Jagiełło donosi mu inaczéj. A cóż dopiero za wrażenie wywrzéć musiały na nim owe ustne zwierzenia się jego posłów o stosunku zakonu do Jagiełły. Możemy się domyślać, że potworne plotki o sławie królowéj i o dzieciach królewskich, przysporzyły nowych zgryzot zbolałemu księciu, że łamały coraz uporczywiéj niezłomny hart duszy i że zawistny los stawiał go w coraz trudniejsze położenie, z którego go nic już uratować nie mogło.

Bezpośrednim skutkiem téj wiadomości było, że Witołd powziął silne podejrzenia co do charakteru mistrza i że pod tym względem począł dawać wiarę Lutkowi z Brzezia, jednemu ze swoich zaufanych sekretarzy, który czując niepokonany wstręt do Krzyżaków, podejrzywał ich o zdradę i z podejrzeniami swymi wcale się nie krył przed w. księciem.

Lutek z Brzezia utrwalał Witołda w prawdopodobieństwie podejrzeń i, czy skutkiem swéj dorady czy co prawdopodobniejsza skutkiem rozkazu ze strony w. księcia, wysłany został do Zygmunta celem oskarżenia zakonu. Skargę tę miał on atoli przedłożyć ustnie, nie jako zażalenie pochodzące od księcia, lecz jako własny domysł, tak żeby osoba księcia w sprawę tę wcale wmieszaną nie była...

Ale względem Jagiełły odczuwał Witołd podwójny żal w sercu, najpierw, gdyż obecnie miał od Zygmunta dowody, że król osobiście nie życzy mu koronacyi, powtóre iż król podejrzywając go uporczywie o zamiar oddzielenia Litwy, rzuca się w ramiona Krzyżaków, że się z nimi godzi, wykluczając od współudziału w. księcia, że niedowierza mu tak dalece, iż pozbawia go dokumentalnie przyrzeczonego mu opiekuństwa nad królewiczami, jakoby stwierdzając tém, że dawał wiarę najpotworniejszym oszczerstwom. Żal księcia, uczucie rozczarowania, zawodów, boleści i upokorzenia mogą osłabić stałość raz już powziętych zamysłów, ale z drugiéj strony mogą zaostrzyć upór, zachęcić do walki i Witołd pozostaje w stanie niebezpiecznéj chwiejności.

Skoro Lutek udał się w podróż do Zygmunta, uznał Witołd za stosowne, udając szczerość i jakoby nie zważając na obiegające plotki, wybadać myśli w. mistrza. Wprawdzie przyséła mu tenże zapewnienie: „jako nigdy niczego z królem polskim nie ułoży bez rady i wiedzy księcia, Witołd jednakowoż, jakby tylko oczekiwał tego listu i jeszcze tego samego (2 sierpnia) wysłał mu z Kiernowa kopię listu królewskiego z Łęczycy, pisanego wraz z listem swych posłów, którego treść dobrze już nam znana. Książę dodawał do przysyłki następującą uwagę. Z kopii załączonych możesz się przekonać zacny panie mistrzu, iż posłowie nasi nie odebrali pomyślnéj odpowiedzi na nasze przedłożenia. Król nawet z powodu słów przez posłów naszych wypowiedzianych powziął złość przeciwko nam. A wy wiecie mistrzu, żeśmy w sprawie dobra waszego zakonu wiele doznali przykrości od króla, żeśmy nadto nie szczędzili dowodów przyjaźni dla was i waszego zakonu, gdzieśmy tylko mogli. Tymczasem pisze nam król jakotéż i posłowie nasi nam donoszą, że wasz komtur naradzał się z królem nad wieloma tajnymi sprawami, że posłuchanie

sam na sam się odbyło w obecności jednego tłómacza. Posłowie piszą nam nawet, że zakon miał się pogodzić we wszystkich spornych kwestyach z królem Jagiełłą. Tuszymy jednakowoż i żywimy silną wiarę, iż wy nie inaczéj uczynicie, jak tylko według naszego układu (w Jurborku), że nie zapomnicie na świadczone wam z naszéj strony dobrodziejstwa, tudzież na waszą objetnicę i słowo. Wysyłamy do was Fochsa. A gdyśmy już mu udzielili instrukcyą, przyszedł posłaniec od was z listem, w którym nas zapewniacie, jako nie uczynicie niczego bez naszéj rady. Miło jest nam usłyszéć to zapewnienie z ust waszych, za co téż wam dziękujemy."

Witołd polecił Fochsowi zapytać się w. mistrza, czy nakazał on komturowi pogodzić się całkowicie z królem, a nadto zbadać czy owe pogłoski o rozmowie komtura są prawdziwe. Wiemy kim był ów Fochs, który całkowicie pozyskał był zaufanie Witołda. Ani ostrożny Witołd ani nawet przebiegły Zygmunt, nieznają istotnego celu traktatów krzyżackich z królem Jagiełłą. Jeden Russdorf wie o tém, że lubo na chwilę ściąga na zakon podejrzenia ze strony Witołda, to z drugiéj strony poprawia interesa zakonu i wzmaga podejrzliwość Szafrańców ku Witołdowi w całéj Koronie. Dopiéro poseł Russdorfa, Redewicz otwiera Zygmuntowi oczy i wskazuje na właściwy cel układów mistrza z królem polskim, a Rusdorf nadto, objaśnia w obszerném liście, że mimo małe nieporozumienia, które obecnie załatwił, ma on tyle jeszcze spraw do załatwienia z królem Jagiełłą, że do mniemanéj zgody nie tak zaraz przyjdzie. Cóż tedy Zygmuntowi mogło szkodzić, że zakon stara się dla swego dobra w mętnéj wodzie ryby łowić? Przestrzega tedy Rusdorfa ażeby nie posuwał się zadaleko w swych negocyacyach z Jagiełłą, tak mianowicie, aby stąd intryga nie doznała szkody. Wobec zaś posła Witołdowego—Lutka, zaręcza, że mistrz niczego tajemniczego nie układał z królem polskim i poleca w tym celu odesłać do Witołda list mistrza do Redewicza pisany. Oczywiste że i mistrz pośpieszył się usprawiedliwić przed Witołdem i że komturowie Christburga i Brandenburga w tym celu do Litwy wysłani dobrze się wywiązali z trudnego zadania. W ślad za Lutkiem wysłał i Zygmunt do Litwy rycerza austryackiego Leonharda z tajemniczym godłem smoka, jako dar dla Witołda.

Dwa poselstwa spieszą równocześnie do Litwy; polskie mające ofiarować księciu polską koronę—Zygmuntowe z *tajemniczym* smokiem, aby go wciągnąć w towarzystwo, którego godłem był tryumfujący nad padalcem krzyż święty, aby go odciąć tém na zawsze od

złego brata. Zanim oni przybędą uwija się mistrz zakonu, wysyła poselstwa do księcia, usprawiedliwia się, skarzy się na swe położenie, uniewinnia konieczność korzystania, mataczy, intryguje.

Książę, jak niedowierzał, tak niedowierza, chociaż znacznie osłabły jego podejrzenia. Dzięki zabiegom komturów z Christburga i Brandenburga, Witołd rad nie rad zezwolił na dalsze traktaty krzyżaków z Jagiełłą bez współdziałania ze swéj strony, domagał się tylko, aby przy dokumencie ugody zawieszoną była i jego pieczęć. Cóż bowiem szkodzić mu mogło, mówią komturowie, jeżeli zakon wytarguje od Jagiełły co sobie życzy—mistrz zapewni księciu warunek co do pieczęci. W obawie o całkowite odosobnienie Litwy, stara się Witołd pozyskać zaufanie mistrza tém zezwoleniem, przyobiecuje mu nawet donieść z czém odprawi posłów polskich, których się około pierwszéj połowy września spodziewał „aby mistrz wiedział jak się ma zastosować przy swych traktatach z królem Jagiełłą.“

I w sprawie przedłożonego Zygmuntowi oskarżenia pisał Witołd nadzwyczaj ostrożnie w te słowa: Opowiada nam Lutek, iż gdy go król Zygmunt zapytał, jak stoją sprawy pomiędzy królem Polskim, nami a zakonem, on od siebie a nie z naszego rozkazu opowiedział królowi o owych traktatach królewskich z komturem toruńskim. Donoszę wam o tém, abyście nie powzięli jakiego podejrzenia do nas, gdyby do was król Zygmunt o tém napisał. Stało się to bowiem bez wiedzy i woli naszéj, gdyż my w obec wszystkich oświadczamy, że żyjemy z zakonem w przyjaźni i miłości. Ponieważ zaś Lutek to mówił, musi za pokutę ten oto list pisać. Witołd umiał apelować do honoru Krzyżaków i widocznie znał ich o nim pojęcia.

Jakby za czasów najlepszéj z zakonem przyjaźni, donosi mistrzowi o pomyślnych wieściach z Litwy a mianowicie, iż przyjmował niedawno poselstwo od hana Mehmeta, donoszące mu o podbiciu carstwa Tatarskiego i o opanowaniu Złotéj Ordy. Przysyłał mistrzowi całą pakę listów Zygmunta w kopiach, wymawiając się, że radby je posłał w oryginałach, ale zatrzymywał je do użytku w obec posłów polskich, których się lada dzień spodziewał. Z otwartością bez granic spowiada się Witołd, jakby i dawniéj, z bólu jakiego doznaje, przekonywując się o nieszczerości królewskiéj. On stara się tém podbić nieszczerość mistrza, przykuć go do siebie i nie trudno dojrzéć starannie ukrywanéj obawy, że zakon mógłby się pojednać z królem Jagiełłą, a natenczas on pozostałby w odosobnieniu, upokorzenie tém głębsze a stanowisko jego wtedy nie do rozwiązania trudne i przykre. Do tego nie dopuszczę, postanawia Witołd, i zwraca uwagę wtajemniczonego w boleść swą mistrza na cedułę króla

Zygmunta zawierającą legacyą Nespora. Ten Nespor, jak sobie przypominamy, upraszał Zygmunta sekretnie ze strony Jagiełły by nie koronował księcia. „Król Jagiełło dziś się jeszcze usprawiedliwia,— dodajc książę—że podkanclerzy z własnéj inicyatywy i bez rozkazu królewskiego napisał instrukcyą dla posła. Obecnie możesz się przekonać mistrzu w czém jest prawda. Nadto należy podkanclerzy do najwyższéj rady królewskiéj, gdyby był inaczéj zrobił aniżeli mu to nakazano, dlaczegoż dotychczas nie został ukarany? A że król sam nakazał Nesporowi tę legacyą powtórzyć, dowodzi załączona cedula. Z powodu téj hańby, która mnie ponownie spotyka, mniemam, że bardzo łatwo być może, iż z posłami polskimi, których się lada dzień spodziewam, nie dojdę do ładu. Byłoby tedy stosowném, ażebyście i wy, przy mającym nastąpić zjeździe z pełnomocnikami polskimi, trwali przy tém uporczywie, jakeśmy się o to ugodzili z waszymi, posłami, a mianowicie aby przy nowym dokumencie pokoju zawieszone były nasze i naszych bojarów pieczęcie.

Oleśnicki i Tarnowski stanęli na św. Michał w Grodnie. Mając opowiedzieć odprawę posłów polskich, jak ją czytamy w Długoszu, wypada nam zaznaczyć, że instrukcya, którą z sobą przywozili, kwalifikowała się zanadto może do krasomóstwa, w treści zaś była zbyt jałową, ażeby Witołd mógł uznać przedłożenia posłów za dostateczną skruchę i zadośćuczynienie ze strony króla. Gdy atoli posłom polecono, aby księcia pragnącego królewskiéj godności nowym rodzajem namowy *usiłowali odwieść od zamiaru*, a pokornem i pełnem miłości przedstawieniem warunków, pojednali go z królem i królewstwem, to przyznać należy że czynili oni według możności, aby się jak najlepiéj wywiązać z trudnego zadania. Biskup krakowski, szanowany przez Witołda mąż, miał tu aż nadto sposobności do okazania swego krasomówczego talentu, z którego miał wielce słynąć.

Gdy atoli biskup w oratorskim swym zapale począł mówić Witołdowi o jego zbyt gorącém pragnieniu korony, o dążeniu do tego zaszczytu na wszelkie sposoby, gdy mu począł wyrzucać, że nalega w téj sprawie na zdradzieckiego króla Zygmunta, aby mu przysłał koronę, a zachwalać zbawienną i roztropną radę króla Jagiełły, który ze względu aby książę nie potargał związków wzajemnéj miłości, ofiaruje mu własną koronę—w obec tych i tym podobnych argumentów nie mógł się wielce zbudować Witołd. On żądał od króla skruchy za winę, zadośćuczynienia za obrazę i wyrządzone krzywdy, a posłowie królewscy wymawiają mu niesprawiedliwą żądzę królowania. On chciał usłyszeć usprawiedliwienia od króla, który przez swą politykę wyrządzał krzywdę Zygmuntowi, łamiąc dawne traktaty,

posłowie czynią zarzut Zygmuntowi, że pragnie potargać związki unii pomiędzy Polską i Litwą.

A więc, aby nie dopuścić do rozerwania związków unii, ustępuje król Witołdowi korony i stolicy. Prawda—dodają posłowie—ze względu, że król już stary, niezdolny do panowania, Witołd zaś silniejszy i czerstwiejszy a Polacy nie wątpią, że będzie lepiéj sprawować rządy tak w królestwie jako i w księstwie aniżeli Jagiełło, aniżeli król własny, który przez pół prawie wieku siedział na stolicy Piastów i dźwignął królestwo do znaczenia jednego z najznakomitszych państw Europy! Czyż, gdyby Witołd chociaż pomyślał o téj koronie, nie aprobowałby tém samém podejrzeń, które nań niesłusznie spadały.

Nie wątpimy, że posłowie starali się pochlebstwem ująć księcia, że usiłowali podbić i wzruszyć go propozycyą, o któréj skutkach tak byli pewni, że jak im to nakazano, zagrozili zemstą królewską Witołdowi, gdyby wzgardziwszy radami jego nie chciał odstąpić od swego zamiaru. Książę wysłuchał cierpliwie filipiki i wcale się nie dziwimy, że nie wywarła na nim należytego wrażenia, chociaż nie wierzymy Długoszowi, że powodem do tego była niepomierna żądza korony, chociaż krok obecny Jagiełły z całą otwartością i szczerością w stosowniejszéj porze uczyniony, jak np. wnet po owym zjeździe Łuckim, byłby nieodzownie zakończył sprawę koronacyjną. Obecnie zaś w odpowiedzi, kazał książę nasamprzód odczytać posłom owe listy Zygmunta, wykazujące jak dotkliwie obrażał go król Jagiełło, udowadniające ciągłego stosunku Polaków z husytami, porwania węzłów wspólnych traktatów ze strony króla Polskiego. Okazał i ową cedułę, w któréj *życzliwy mu* król Jagiełło hańbi go przed królem Zygmuntem i z największą nieszczerością w obec księcia, słowem stwierdzał i udowadniał cały szereg win królewskich, na które król nawet nie odpowiadał, a które są powodem, że książę widzi się zmuszonym przyjąć ofiarowaną mu przez króla Zygmunta koronę. Na koronacyą tę otrzymał Witołd od króla zezwolenie, które król cofnął wtedy, gdy książę ani myślał o koronacyi. Obecnie książę nie może się cofać bez narażenia się na wstyd i hańbę, zamiar bowiem był już powszechnie rozgłoszony. Co się tyczy ofiarowanéj mu korony polskiéj, odparł książę: że gdyby ją przyjął, wszyscy mogliby mu wyrzucać niewczesną dumę, że dla osiągnięcia królewskiéj godności, z krzywdą brata, zdarł mu niemal z głowy koronę, aby nią własne skronie przyozdobić.

Położenie posłów nie mogło być przyjemném skutkiem téj odpowiedzi. Niewtajemniczeni w intrygę, któréj się zaledwie domyślali, nie posiadali oni możności dania księciu zadawalniających objaśnień na silne zarzuty, uczynione królowi.

Pobyt atoli posłów w pośród murów Grodna, nastręcza badaczowi sposobność do poznania ciekawego i wiele mówiącego rysu charakteru Witołda, ażeby go miał zbyć milczeniem. Nie uderza nas bowiem, gdy znany z gościnności książę przez pięć dni podejmuje posłów w Grodnie, nie może atoli nie zastanowić, gdy się dowiadujemy, że książę, poznawszy w Oleśnickim nieubłaganego przeciwnika koronacyi, wywarł na nim pewien rodzaj, znanéj nam już z innego przykładu zemsty, który Długosz obelgą nazywa. Oto Witołd, według relacyi naszego historyka, miał obdarować kolegę księdza biskupa, którym był Tarnowski, 100 grzywnami w srebrze i to nie w celu przymilenia się posłowi, jak raczéj dlatego, aby okazać złość i wzgardę dla biskupa. Przypominamy w tém miejscu, że równocześnie mieli posłowie zakonni oświadczyć podkanclerzemu iż mistrz zakonu żyje w przyjaźni z Witołdem. Czy atoli idąc za Długoszem, mamy poczytać za zasługę biskupowi, gdy on zniósł tę obelgę z uśmiechem i obojętnością—to wielkie pytanie? W każdym wypadku przykład, jaki obecnie widział na osobie księcia, którego uważał jako *namiętnie pożądliwego korony*, nie zbudował wcale Oleśnickiego, gdy i jego *stalowy charakter* los zmienny a dziwny wystawiał na podobnąż próbę, gdyż na *żądzę kardynalskiego kapelusza.* Dziwna ironia losu! Obaj bezprzecznie wielcy mężowie w jednakowém, a może tylko podobném położeniu, pod jednym względem urażonéj ambicyi. Piękny temat do porównań, któreby mogły wypaść na niekorzyść *stalowego hartu duszy*, i jeden dowód więcéj, że współczesna historya nie jest mistrzynią życia dla współczesnych mężów historycznych.

Odmówna odpowiedź Witołda nie wywarła na posłach tak złego wrażenia, jak solidaryzowanie się księcia z Zygmuntem, oni go bowiem uważali za sprawcę złego, a Witołd uporczywie bronił od zarzutów niepopartych dowodami. Co gorsza, Witold, który, jak wspomniano, miał mnóstwo dowodów celem wykazania nieszczerości w postępowaniu Jagiełły w obec Zygmunta, oświadczył posłom, iż jest on rękojemcą traktatu z roku 1423, i że z tego powodu interesa jego i Zygmunta są nierozłączone. Dlaczego téż upierał się przy tém, aby Jagiełło szczerze i zupełnie pogodził się z Zygmuntem. W tym celu zgodził się książę z posłami na zjazd z królem w Hrubieszowie na granicy Litewskiéj. Tak król jako i książę mieli stanąć na terminie wraz z senatorami obu narodów. Oznaczono go na tydzień po św. Marcinie. Obustronne krzywdy i zażalenia, tak ze strony Witołda, jakotéż i Zygmunta, mieli senatorowie przedyskutować, rozważyć i jeśliby się udało, dobrze zakończyć.

Było to dla Witołda ostatnią nadzieją, że w ten sposób i sprawa jego koronacyi załatwi się bez sromoty, którój ciężar dostatecznie odczuwał. Posłowie przeciwnie, jeszcze bardziéj utwierdzali się w mniemaniu, że Witołd działa w zmowie z Zygmuntem, i że względem króla Jagiełły był prostym niewdzięcznikiem.

Chaotyczność ich mniemań jeszcze bardziéj się zwiększyła, gdy książę różnemi sposoby nakłaniał ich, aby król zezwolenie swe powtórzył i odprowadzał ich na odchodném aż do Wołkowyska. Tu bowiem książe jeszcze raz powtórzył swą odpowiedź, odmawiając przyjęcia polskiéj korony i oświadczając, że nie będzie nalegał na króla Zygmunta o przysłanie korony, lecz jeżeli mu ją przyśle, przyjęcia jéj nie odmówi. Poczém prosił posłów, aby król Jagiełło do przeznaczonéj mu godności nie tamował drogi albo przebaczył mogącą go spotkać z jego strony obrazę, gdyby stawił przeszkody w osiągnięciu korony. Zapewniał przytém, że cześć i sławę króla miał zawsze na względzie i że nie myślał o zawichrzeniu wojną królestwa polskiego, ale owszém pragnął wszelkie od niego oddalić burze, innémi słowy, że koronacyą nie uważa w duchu oddzielenia Litwy.

W Wołkowysku posłowie polscy byli świadkami jeszcze jednéj sceny, na którą nie bez wrażenia patrzali. Oto w tém miejscu przyjął Witołd posła Zygmuntowego Leonharda, który wiózł mu w darze order „smoka“, godło towarzystwa założonego przez Karola IV, a opisanego pewnemi ścisłemi ustawami. Głową towarzystwa był król Rzymski a ustawy zobowiązywały każdego właściciela ozdobionego „smokiem“ nieopuszczać go tak w szczęściu jakoteż w nieszczęściu, co téż król obowiązywał się czynić względem członków towarzystwa. Zachowanie ustaw winni byli członkowie stwierdzić przysięgą. Dekoracya smoka, mającego krzyż na swym grzbiecie, oznaczała złość zwyciężoną przez krzyż święty, i tę to doręczono Witołdowi w obecności posłów polskich z zaproszeniem księcia do zacnego związku. Ponieważ poselstwo miało się odbyć tajnie a Witołd uroczyście przyjął posła i publicznie kazał wygłosić treść instrukcyi, uniknął tém samém wielu oszczerstw, jakichby na ten temat nieomieszkali byli rozsiewać tajemni intryganci Zygmuntowéj kabały. Książę przyjął dar Zygmunta w taki sposób, że żadną miarą niemógł tém zadowolnić szczodrobliwego dawcy. Odrzekł bowiem: „że nie przyjmuje daru za zobowiązanie się do braterstwa i związku, lecz tylko za upominek i zaszczyt osobisty, aby nie zdawał się niweczyć przysięgi wykonanéj królowi Jagielle inną przysięgą.“

Leonhard niedał się zbić z toru ową odpowiedzią i rozumiejąc, że Witołd przyjmuje dar Zygmunta, wyrzekł w obecności posłów polskich, iż zjazd przyszły pełnomocników Zygmunta i Jagiełły nie

mógłby się odbyć bez współudziału posłów w. księcia. Oczywista, że oświadczenie to poprzednio był zakomunikował królowi Jagielle w przejeździe przez Polskę, czém nie pomału mógł zaambarasować króla i kancelaryą. Zygmunt umiał korzystać z rozbolałéj ambicyi księcia i jakby przewidywał, że książę wzywając króla Jagiełłę do uczynienia z nim zgody, wyrzecze w obec posłów polskich, iż interesa książęce są nierozłącznemi ze sprawami króla Zygmunta." W obec tego orzeczenia, niepotrzebna było i smoka, aby sprawa wydała się w Polsce bardzo podejrzana, szczególniéj gdy tam patrzano przez szkła Szafrańców.

Taką była odprawa poselstw dwu monarchów, pragnącego zgody Jagiełły i przeszkadzającego tejże Zygmunta.

(*dok. nast*).

Dr. Antoni Prochaska.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ TRZECIA.

III.

— Stało się—rzekł dżentelmen gdyśmy wyszli—wahałem się, nie śmiałem się zdecydować, ten łotr Dżorż zmusił mnie. No i jestem kandydatem.

— Cieszę się serdecznie—odrzekłem—gdyż pierwszy krok najtrudniejszy, postawiliśmy szczęśliwie, reszta pójdzie łatwo, a jeśli nie zwyciężymy dziś, to zwyciężymy jutro.

— Musimy zwyciężyć dziś — zdecydował dżentlemen — albo upaść nazawsze, to mój system; dlatego sir ponieważ się już zaczęła agitacya, musimy natychmiast ułożyć cały projekt naszego postępowania i walki. Nieprzyjaciel nie śpi. Widziałeś tego wypasionego na kartoflach rzeźnika?

— Widziałem.

— I pewno nie wątpisz, że jest najemnikiem strony przeciwnéj i że ma spryt.

— I zręczność — dodałem.

— A może ich być dziesięciu!

Dżorż wraz z Nele dobiegają do nas. Nele zatrzymuje się o parę kroków; Dżorż zbliża się pospiesznie.

— Sir—mówi zdyszany chłopak—handlarz baranami chce wystąpić w naszéj sprawie jako *speaker*, zostać członkiem komitetu wyborczego—a w razie potrzeby i bokserem, za trzy funty dziennie, a w razie zwycięstwa sto funtów gratyfikacyi.

— Bierz go natychmiast — przerywa dżentelmen — ma spryt i dobrze mu z oczu patrzy.

— A jaką ma pięść! Na sam widok mrowie przechodzi.

— Zostaw swoję małą, bierz omnibus i wracaj do domu, herbata i narada!—rozkazuje kandydat.

Dżorż poskoczył do małéj i oboje zniknęli na zakręcie ulicy.

Wracamy do siebie. Dżentlemen uspokoił się w obec rozpoczętéj akcyi; z chwilą walki znikła niepewność, wróciła energia i swoboda umysłu.

Dżorż już czekał na nas.

— Pierwszą a niezbędną rzeczą w całéj téj sprawie—rzekłem—jest ogłoszenie jawne i głośne twéj kandydatury, przez pewien przedwyborczy komitet postawiony *ad hoc.*

— Najlepiéj jak się sir sam postawi w Middlesex—rzekł Dżorż—tam lubią tych, którzy się sami stawiają, bez żadnych protekcyj i wielkich zachodów.

— Tak, tak—rzekł dżentlemen—wystąpię sam, to jest postaramy się o własny komitet, należy tylko napisać odezwę do wyborców i swój program polityczny postawić. Sir wiesz, że ja uczony nie jestem, czyli nigdy nie miałem wielkiego nabożeństwa do książek a tém mniéj do pióra. Pisać to nie moja rzecz.

— I nie moja—rzekł z powagą Dżorż.

— A ty bydlę, alboż ty umiesz pisać!—krzyknął dżentlemen.

— Troszkę sir, Dżorż umie się podpisać, a nawet czasem i list pisze.

— Odezwę ja biorę na siebie—odpowiadam—lecz punkta programu musisz podyktować.

— Obrobimy razem—mówi dżentlemen.

— Obrobimy razem—powtarza Dżorż.

— Widzisz sir to zuchwalstwo angielskie--zawołał dżentlemen pokazując na Dżorża.

— W takich razach niczém się nie gardzi—odrzekłem—i Dżorż może dorzucić coś bardzo użytecznego; zna on swoich.

— To prawda, nie gardź sir polityką Dżorża—mówił rezolutnie chłopiec—bo polityka Dżorża może być polityką wyborców z Middlesex.

— Odezwę, którą sir napiszesz wraz z programem, odbijemy w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy — zaczął poważnie dżentlemen.

— Najprzód — odparłem — należy ją umieścić w jednym lub dwóch dziennikach i te zręcznym sposobem porozdawać wyborcom; a co do samego odbicia odezwy, nigdy nie jestem zdania aby odbijać zbyt wielką ilość. Pamiętaj sir, że książka, druk, mowa, odezwa, tak samo jak produkt, choćby najlepszy, gdy się znajduje zbyt obficie traci wartość, powab, słowem przesyca. Zgadzam się więc na tyle,

tylko egzemplarzy, ile niezbędnie potrzeba. Wy Anglicy podobnie jak Jankiesy przesadzacie w reklamach.

— Jak Jankiesy?—powtórzył gorzko dżentlemen.

— Tak sir, jak Jankiesy—odpowiedział za mnie Dżorż.

— Tylko ty milcz—krzyknął do Dżorża. — Nie mogę przystać na mniéj jak na 3o.ooo egzemplarzy.

— Zgoda, lecz je umiarkowanie rozrzucać.

— A wszystkie oddrukować w Middlesex przynajmniéj w czterech, lub sześciu drukarniach, tym sposobem będziemy mieli większą część drukarzy za sobą—zadecydował Dżorż.

— Dobrze Dżorż, ile razy jesteś rozsądny, zawsze pozyskasz moje uznanie. Drukarnie drukują nasze odezwy, a *Canvassery* (1) zdobywają nam zwolenników. Lecz zkąd wziąć kenvasserów?

— Jednego już mamy—przerwał Dżorż—sprytny to człowiek, pije jak beczka, boksuje się jak marynarz.

— Cóż znaczy jeden, nie można go samego zostawić—mówił dżentlemen. — Tu idzie o kramarzy, kupców, właścicieli domów, fabrykantów, a między nimi są religijni, anglikanie, prezbiteryanie, wolnomyślni zagorzalcy, bezwyznaniowcy i t. d. Głowa mi trzeszczy i zaczynam się bać. Cóż sir myślisz o Trutlu?

— Zdaje mi się, że ta śmieszna, milcząca figura, mogłaby nam tylko odstraszyć zwolenników.

— Przeciwnie sir, może nam ich przysporzyć, język rozwiążemy mu funtem, a czarne jego pończochy mogą silne zrobić wrażenie na kwakrach, lub purytanach, ma on minę w połowie ministra, a w połowie świeckiego kaznodziei.

— Jeżeli potrzeba ministra, mam jednego znajomego właśnie Jankiesa, jest on z rodzaju podróżujących misyonarzy, bardzo gorliwy metodysta, może jednak na chwilę w razie potrzeby odstąpić od swéj metody. Mówią złośliwi anabaptyści, że troszeczkę, zwykle wieczorem, ze zbytku żarliwości, traci przytomność i dlatego niezbyt szczególnego powodzenia doznają jego misye.

— Czy znany jest w Middlesex?—zapytał dżentlemen.

— Nie sądzę; rano zwiedza szpitale i tam prawi kazania, dostaje za to dwa lub trzy szylingi i powraca do Hamersmith gasić żarliwość.

— Wyborny! — przerwał kandydat — będzie na rano, wieczór wyprawimy go do Hamersmith. A zatém mamy już trzech—do

---

(1) Canvasser oznacza zdobywającego zwolenników i ich wota dla swego kandydata.

Trutla piszemy dziś, a na upolowanie ministra, jutro rano wyjeżdża Dżorż. Lecz więcéj zkąd ich wziąć, radźcie.

— Sir, jedni drugich zarekomendują—zakonkludował Dżorż.

— Dżorż masz racyą, a zatém w dalszym ciągu, jutro wynajmujemy hallę na zebrania i mowy. Wiesz sir, serce mi bije, gdy sobie wspomnę o mojém pierwszém wystąpieniu.

— Niechaj tylko będzie tak szczęśliwe, jak dzisiaj, lepszego nie potrzeba—pocieszam dżentlemena.—Zkąd sir wziąłeś wyborny projekt poruszenia kwestyi tak doniosłéj, jak ceny mięsa? — zapytałem.

— Wczoraj przedstawiono mi zamiar sprowadzenia żywych wołów z pastwisk La Plata, cena wołu na miejscu siedm funtów przewóz cztery—suma jedenaście, gdy dziś na targu średni wół kosztuje trzydzieści funtów.

— Przyjąłeś propozycyą?

— Natychmiast.

— Wszystkich jednak rzeźników będziemy mieli przeciwko sobie.

— Mniejsza o nich—wtrącił Dżorż—byleśmy pozyskali wszystkich szynkarzy.

— Otóż to jest dziś najtrudniéj—zauważył dżentlemen—będąc whigiem czyli liberalnym kandydatem, pozyskać szynkarzy! A jednak oni potęgę opinii trzymają w swych rękach.

— A toż dlaczego whigom trudno zdobyć szynkarskie serca?—pytałem zdziwiony.

— Jedynie dlatego, że Gladstone urwał im dwie godziny w niedzielę. Dawniéj otwierali od piątéj po południu do dwunastéj w nocy, a teraz zaledwo wolno im, od szóstéj do jedenastéj. Przyszły wybory i whigi z Gladstonem przepadli, torysi bowiem obiecywali rehabilitacyą godzin, wszyscy szynkarze stanęli po ich stronie, no i w rezultacie torysi wygrali. Szynkarze w Anglii to potęga, z którą się trzeba rachować.

— Szynkarzy w Middlesex nie można lekceważyć—mówił Dżorż.

— Dżorż znajdź na to radę a dostaniesz funta.

— Czy koniecznie trzeba być whigiem sir, można dla szynkarzy raz zostać torysem.

— No widzisz sir, jakie to zwierzę—krzyknął dżentlemen—on myśli, że w Anglii można być raz torysem a drugi raz whigiem. Jemu zdaje się to nic, gdy przecież my nie rozumiemy tego, jak można przechodzić z obozu do obozu. To tylko Gladstonowi i Disraelemu udała się podobna zamiana ról.

— Lecz można szynkarzom zapowiedzieć, że w imię wolności będziemy się starali usunąć prześladowanie, jakiego dziś doznają—odezwałem się po adwokacku.

— Wybornie, to się podoba wszystkim — zawołał uradowany gospodarz—a rozbroi niechętnych. Nie trzeba jednak sir tego pisać, o tem się powie i da instrukcyą kenwaserom. Daléj, daléj.

— Teraz ty Dżorż mów.

— Dwadzieścia dorożek biorę na siebie.

— Mało.

— Poszukamy więcéj.

— Sto z tablicami na przodzie i plecach, z naklejanemi ogłoszeniami, trzy partye po trzydziestu trzech, każda osobno, będą przeciągać po ulicach.

— A jakbym wynajął trzydziestu osłów—rzekł Dżorż—prowadzonych przez gromów z zawieszonemi tablicami.

Dżentlemen zrywa się, aby Dżorża uczęstować boksem, ale zatrzymuje się w połowie drogi i uderza się nagle palcem po głowie, mówiąc:

— Wyborna idea! Osłów, jak osłów, ale trzydzieści *pony* (1), które wynajmiemy od sałaciarzy i tym sposobem pozyskamy ich sobie; każdy konik będzie dźwigać po dwie wielkie tablice z mojém nazwiskiem. Te trzydzieści pony w dniu wyborów będą spacerować prowadzone przez giermków tam i napowrót przez ulicę, na któréj znajduje się urząd gminny.

— Zapomniałeś sir o minstrelach czarnych—rzecze Dżorż.

— Nie zapomniałem, minstrelom oklejąsię kapelusze afiszami.

— A gdyby im ułożyć piosnkę na cześć twoją sir, zachwalającą cię jako kandydata.

Dżentlemen spojrzał na mnie miłosiernie.

— Będę próbował ułożyć, tylko nie wiem, czy mi się uda— odpowiadam.

— Spróbuj tylko sir, a ufam, że ci się uda — odezwał się prosząco kandydat.

— A zatém mamy już wszystko! — zawołał wesoło Dżorż.

— Nie — jeszcze nie wszystko. Trzeba stworzyć przeciwnika, którýby walczył z nami a został zwyciężony, upokorzył się i złożył broń publicznie u naszych nóg.

— Wybornie, wybornie! — zawołałem — to prawdziwie dyplomatycznie!

— Tak samo sir jak podczas licytacyi naszych towarów, sami dajemy wadyum przyjaciołom, aby pędzili w górę wartość produktów, tworząc sztuczną konkurencyą. Znasz sir wyrażenie Pitta o opozycyi.

---

(1) Pony, małe koniki szkockie.

— „Gdyby jéj nie było,“ lecz gdy ona zdaje się będzie dość silną—robię uwagę.

— Zawsze ta która przed naszą siłą upadnie, tylko nas podnieść może,—odpowiada z powagą gospodarz.

Na tém skończyła się sesya przedwyborcza.

IV.

Nazajutrz pierwszy stawił się Trutle, w swym wytartym fraku, w czarnych pończochach i sterczących kołnierzykach. Kapelusz i parasol kompletowały strój poważnego i milczącego dżentlemena.

Pan Trutle, spokojny, z zamkniętemi szczelnie ustami, po przywitaniu, umieścił się koło kominka stojąc nieporuszony.

Kochany Trutle—rzekł dżentlemen—chcesz zarobić dziennie dziesięć szylingów?

— *All right sir*, odpowiada krótko zapytany.

— Przedewszystkiem trzeba usta otworzyć i języczek rozwiązać.

— I to się znajdzie sir za 10 szylingów dziennie.

— Pełniłeś kiedykolwiek obowiązki kenvessera?

— Już dwa razy, sir.

— Znasz więc tego rodzaju rolę?

— Wybornie—przekładam tylko ugodę od sztuki nad kontrakt na dnie.

— Nie można, *my dear*—rzekł dobrotliwie dżentelmen—nie podobna znaleść sposobu do ścisłéj kontroli, ztąd mogą być nieporozumienia i zawikłania.

— A zatém zgoda na dziesięć szylingów dziennie, zapytał chłodno Trutle otwierając paszczę i mrugając oczami.

— I gratyfikacya, jeżeli praca uwieńczona zostanie skutkiem.

— Wierzaj sir, Trutle nie psuje sobie gęby tam, gdzie nie potrzeba, spojrzyj na niego, figura nędzna, a jednak ten mały Trutle ma oko i nos,—może być kwakrem, purytańskim presbiteryaninem, nieprzyjacielem wolnego handlu i wojny—przeciwnikiem handlowych *societies robotników*, może mówić za zmniejszeniem podatków, obniżeniem cła, sprzedażą kolonij—o oszczędnościach, o biblii; stosownie jak, z kim i do kogo.

— Wybornie kochany Trutle—przeczuwałem w tobie talent do tego rodzaju czynności.

Trutle otwiera swoję paszczę na dowód uśmiechu, i powoli ją zamyka.

— Możeby jeszcze Trutla stać było i na coś lepszego—odzywa się skromnie ze spuszczonemi oczyma przyszły kenvasser.

— Nie wątpimy—odezwaliśmy się, chcąc utrwalić dobre przekonanie o sobie naszego urzędnika.

— Masz już sir odezwę do wyborców, swój program i chociaż jednę nową kwestyą gotową do rozciekawienia wyborców? zapytuje Trutle.

— Jeszcze nie, ale to wszystko będzie w swoim czasie, i gdy będziemy potrzebowali pomocy Trutla, zawezwiemy go. Tymczasem funt na zadatek, którego nie wliczamy do rachunku.

Trutle bierze kapelusz i parasol.

— Trutle, jeszcze jedna uwaga—odezwał się dżentelmen, czy zamiast cylindra w dniach propagandy, nie byłby ci więcéj do twarzy duży okrągły, czarny kapelusz?

— Rozumiem cię sir, dobre to ale nie w okręgu Middlesex. Kwakrów i wszystkich w tym rodzaju odcieni, nie lubią tam. Między kramarzami w tych stronach możesz znaleść sir zaledwo tysiąc prezbiteryanów; w ogólności coraz mniéj w Londynie żarliwych.

— A ty sir do jakich siebie zaliczasz?—zrobiłem uwagę.

— Stosownie do interesu, jak interes każe—człowiek wszystko z siebie zrobi.

— I bardzo sprawiedliwie dodaję z uśmiechem. Trutle kłania się i oświadcza, że czeka rozkazów szanownych dżentlemenów, kłania się jeszcze raz i wychodzi.

Wyglądamy oknem, ciesząc się widokiem, chociaż drobnéj a jednak w swoim rodzaju wspaniałéj postaci o spiczastych rysach i zmarszczonych brwiach, przyszłego kenvassera. Jego długi frak ze stojącym kołnierzem, szeroko zawiązana chustka z wystającemi w górę kołnierzykami i cienkie czarne nogi z długiemi stopami, czyniłyby tę postać arcy-śmieszną, gdyby nie imponująca powaga, która zmusza przechodniów do ustępowania mu z drogi.

Nie długo Trutle cieszy nas swoim widokiem, pierwszy napotkany *publikhaus* nęci go; zwalnia kroku, chwieje się i jakby jakąś nadprzyrodzoną siłą pchany, wstępuje, atoli po upływie minuty wychodzi.

— Trutle już wyszedł—zauważyłem.

— Aby wstąpić do drugiego. To pewna, że nie opuści ani jednego na całéj linii swéj drogi. Niemiec zwykle siedzi w jednem miejscu pijąc, póki może; Anglik zaś gdy pije, zmienia nieustannie miejsca, ciągle jest w podróży, od jednego publikhazu do drugiego

i dla tego tak dużo spotyka się u nas pijanych na ulicach—tłómaczył mi przyszły członek parlamentu.

— Sir jeszcze dwie najważniejsze kwestye, zadał mi nagle pytanie dżentelmen. Jakie ogłosić obwieszczenie na plakatach i tablicach i jeszcze jedna, ale ta na późniéj.

— Co do ogłoszenia odpowiadam—zdaje się najlepiéj napisać jak zwykle: Kandydat liberalny ten i ten...

— A właśnie chciałbym coś odmiennego, oryginalnego i pełnego efektu. Pracowałem dziś w nocy, nad rozwiązaniem tego zadania. Od dawna nie pracowałem w nocy, sprawa publiczna znosi granice poświęcania! Pracowałem i napisałem.

— Słucham—rzekłem robiąc minę poważną.

— Dla pierwszéj partyi trzydziestu,—tablice oblepione czerwonym kolorem, białe litery. Dżentelmen wyjmuje kartkę papieru i czyta:

„Wyborcy, jeżeli chcecie jeść dobre mięso za połowę dzisiejszych cen, oddajcie swoje głosy kandydatowi liberalnemu...“ Druga partya kolor żółty, czarne litery. „Wyborcy, czy między wami znajdzie się choć jeden tak twardéj głowy, aby miał odwagę, dać głos memu przeciwnikowi? Nie wierzę! Kandydat liberalny—na dole mój podpis.“ Trzecia partya biały papier zielone litery: „Nikt tylko kandydat liberalny!

Dżentelmen spojrzał się na mnie, śledząc bacznie, jakie wrażenie zrobiła jego ciężka, całonocna praca.

— Dobrze, wybornie zawołałem — dwa pierwsze plakaty nie powinny wychodzić z małych i wązkich uliczek, ostatnią wprowadzić na skwery, roady i główne przejścia.

— Jeszcze jedna okoliczność bardzo ważna i niesłychanie drażliwa—przerywa dżentelmen nieco zażenowany.

— Mów sir tak śmiało i otwarcie jak wierzysz w moję życzliwość.

— Jest tutaj zwyczaj, że przed wyborami, podczas wyborów i po wyborach, kandydat objeżdża w powozie swoich wyborców. Parę lat temu w Greenwich kandydował Gladstone. Pamiętam w wilię wyborów przejeżdżał się z żoną i córkami po ulicach miasta, przemawiał z wozu, żona i dzieci uśmiechały się, kłaniały, rozmawiały z kobietami. Nareszcie Gladstone wszedł na przewrócony stary wagon i z niego miał wyborną speech. Do ściany wagonu przystawiono drabinkę i po niéj weszła pani Gladstone, a za nią córki. Widok był rozrzewniający, zapał ogólny, mówiła i pani kanclerzowa, a wtedy córki powiewały chustkami. No i domyślasz się sir moich zamiarów.

— Zaczynam powoli.

— Nie chcę sam wystąpić, kawaler nie ma ani powagi ani znaczenia!... Wyobraź sobie, jedziemy, przy moim boku ona, ta wdówka, córka jéj na przodzie taka śliczna mis, a ty sir obok niéj. Przemawiam, i o czém ja mówię? Prezentuję ludowi moję narzeczoną, moją przyszłą pasierbicę i jéj męża. To będzie wspaniałe i zwycięstwo najpewniejsze.

— Więc i ja mam się koniecznie żenić z małą dla twojego zwycięstwa sir?

— Cóż ci to szkodzi, mała ładne, przyjemne i dobre dziecko. Widocznie dżentelmen chciał mnie przekonać i namówić.

— Zapominasz sir że jestem Polakiem. Może i ja mam we własnym kraju taką swoję małą, która ma również niebieskie oczy i złote włosy.

— W takim razie postać rzeczy się zmienia, ale towarzyszyć mi musisz.

Wchodzi Dżorż wprowadzając ministra i handlarza baranami.

— Sir oto dwóch kandydatów na kenvasserów. Szanowny minister i znany ludowy speaker mieszkaniec dzielnicy wyborczéj.

Malancholijny minister poprawia chustkę na szyi robiąc ją wolniejszą, podciąga rękawy surduta i zaczyna bardzo poważnie, chociaż nie bez pewnéj swobody:

— Dżentelmen—(tu kłania się lekko), nie przychodzę, aby się popisywać wymową, nie przychodzę aby rozrzewniać płaczliwym tonem mego głosu, bawić was frazesami, składać dowody swéj erudycyi przytaczaniem ciekawych faktów, lecz przychodzę, aby was przekonać. Przekonanie zawsze lepsze od wiary, bo ono dopiéro gruntuje niewzruszoną wiarę. Wiara wasza niech płynie z przekonania,— a przekonanie z rozumu, rozum niech się opiéra na doświadczeniu, a doświadczenie, aby było rzetelne i prawdziwe, powinno być długie i wytrawne.

Tu mówca odetchnął i tak ciągnął daléj:

— Dżentelmen! Co tam rozum chowany pod czaszkami łysych głów, w starych szpargałach i bibliotekach, któremi szczury się tuczą—nam potrzeba praktycznéj znajomości stosunków ludzkich, nam potrzeba ludzi którzy własną pracą zdobyli sobie stanowisko i uznanie w świecie, nam potrzeba ludzi, którzy umieli być biedni, i pracować tak, jak dziś potrafią być bogatymi, na korzyść społeczeństwa i kraju.

Dżentelmen! Oto jest kandydat, który zna życie, zna wasze potrzeby, rozumie wasze niedostatki, posiada dosyć siły, aby was

bronić przed chciwością łakomych! (tu mówca bije pięścią w stół) nie da was obdzierać, raczéj ostrzegać potrafi przed niebezpieczeństwem. Doświadczenie jego jest znane, zatém rady muszą być cenione. Nie wychował się w pałacach, ale w ubogim domku, jak wy i wasze dzieci, pracował z wami—uczył się od was bawił się jak prawdziwy John-Bull. Ma pieniądze, bo ma rozum, i wy je będziecie mieć, jeżeli będziecie pracować, jak on. Teraz jest bogatym a wy dorabiacie się, pracujcie więc, a on będzie za was ale i dla was radził i pilnował waszych interesów, czyli będzie waszym stróżem i waszym obrońcą.

Minister rozwiązuje chustkę u szyi, ściąga ją i rzuca na stół.

— Dosyć, czy jeszcze?—pyta się obojętnie.

— *Stop*—zawołał dżentelmen.

Minister amerykański zamilkł i cofnął się dumny jak po odegranéj roli, na dwa kroki od stołu, robiąc miejsce towarzyszowi.

— Ja tam nie jestem taki obrotny w języku, jak minister, rozpoczął przybyły, wysuwając się naprzód—ja mówię krótko, śmieję się głośno i pięścią popieram to, co mówię. Zresztą ja proszę, a nie lubię tylko, gdy mi odmawiają, nadewszystko rad spotykam się z kenwasserami przeciwnéj partyi i tam, gdzie ja jestem, oni nie przychodzą, a ja potrafię być wszędzie, zresztą za dziesięć szylingów dziennie od sztuki, znajdę pomocników.

— Wybornie, moi przyjaciele, wybornie! zawołał mój dżentlemen i kazał wnieść śniadanie.

— Od czego zaczniemy? pyta gospodarz uroczyście.

— Od *brandy*,[1] rozumie się—odpowiada uśmiechając się minister. Brandy, sir, jestto ogień, ciepło, życie. Wieczorem przed ucztą zapalamy gaz, który nas rozwesela, a rano pijemy brandy, która ogrzewa i rozświeca nasz umysł.

— Ja zaś przy gazie i bez gazu, rano i wieczór piję brandy, jeżeli mocna,—rzekł towarzysz ministra.

— Dlatego, mój przyjacielu, o ile uważam, należysz do pospolitego rodzaju ludzi, a ci nie odznaczają się wyrobionym, delikatnym smakiem. Tobie wszystko jedno jak, bylebyś pił, a właśnie umiejętność w piciu, stanowi dystynkcyą człowieka i wyższość jego nad zwierzęciem, wliczając w to, sam z siebie wynikający dowód nieśmiertelności duszy.

— Pijmy zatém—rzekłem, brandy rano, jako świadectwo naszéj dystynkcyi, a wieczór, dla udowodnienia nieśmiertelności duszy.

Podczas rozmowy przyniesiono gazetę. Dżentelmen rozwinął Daily-News.

— Panowie! — zawołał wzruszony, już naznaczono wybory w Middlesex, tylko dziesięć dni czasu nam pozostaje, a nie mamy jeszcze swego komitetu wyborczego, i żaden z wyborców nie postawił mnie na kandydata, zatém nie podobna zaczynać. Artykuł kończy się apostrofą do wyborców, aby swém zaufaniem zaszczycili godnego siebie męża liberalnego. Czy czasem Daily News nie ma swego kandydata?

— To nam wszystko jedno! Middlesex nie czyta Daily News, a zawiązać komitet nie jest tak rzeczą trudną i ciężką. Zwołać w trzech miejscach wyborców liberalnych, dla postawienia kandydata. Każde zebranie wyśle trzech, razem dziewięć, mamy i komitet a z dziewięcioma damy sobie radę.

— A jeżeli nie damy?

— Ja za swoich z mojego koła ręczę, a gdy znajdziemy opozycyą, możemy się rozdzielić, założyć swój komitet i wtedy forsować.

— A gdy nam zarzucą brak zgody, jedności?

— To najmniejsza, znamy się na tém, my im pierwéj niezgodę wytkniemy. Brak zgody, to zużyty frazes, jeżeli chcą ją mieć, czemuż się nie zgodzą z nami? Zwykle ten krzyczy na brak zgody, kto pierwszy ją rozrywa. Zresztą nie trzeba czasu tracić, dziś porozumiewam się z sąsiadami i przyjaciółmi i na jutro w mojéj części robię zgromadzenie wyborców.

Dżentelmen wyjmuje dziesięć funtów, minister przymruża oczy na znak, jako mamona nie robi na nim zbyt silnego wrażenia.

— Na pierwszy początek wystarczy? zapytuje dżentelmen trybuna.

— Do jutra sir — gdyż pojutrze już sprawa i narada z członkami komitetu.

— Mam nadzieję, iż będziesz, szanowny obywatelu, w komitecie — rzekłem do energicznego trybuna.

— Imię Jacka Black już trzy razy figurowało na liście członków komitetów wyborczych.

— Jack Black znaczy coś u swoich.

— Panowie — zawołał dżentlemen, który ciągle czytał gazetę. Panowie, ostatni raz przestrzegam was, lepiéj się cofnąć, niż przegrać, — ja tracę nadzieję!

— Cofać się nie pozwalamy — zawołali razem wszyscy.

— Ależ szanowni obywatele, przerwał dżentelmen, kandydat w Londynie musi być znakomitością albo naukową, albo finansową, albo człowiekiem głośnego imienia.

— Sir masz sto tysięcy funtów majątku — zapytuje trybun?

— Trochę więcéj—odpowiada skromnie dżentlemen.

— Troszkę więcéj—dodaje z dumą Dżorż.

— I dorobiłeś się sir własną pracą?

— Zacząwszy od pensyi półtora funta na tydzień.

— Nie jesteś ani republikaninem, ani socyalistą, ani demokratą?

— Jestem do szpiku kości whigiem, chociaż nie zawsze potępiam torysów.

— Nie dowodziłeś sir strejkami robotników, ani nie zakładałeś z niemi handlowych spółek.

— Nigdy!

— Ryzykujesz sir na swój wybór parę tysięcy funtów?

— Nawet pięć!

— Tém lepiéj. Masz liczne stosunki, dobrą postawę, dobrą wymowę i przytomność, stawiasz kwestyą najżywotniejszą dla Anglików i jeszcze się lękasz?

Zachwycałem się sprytem i bystrością poglądów handlarza tucznemi baranami, gdy tymczasem tenże mówił daléj.

— Lud angielski nie lubi nowości i zmian, on zna tylko whigów i torysów. Chętnie idzie z whigami, bo z whigami szli jego ojcowie, a kramarze pójdą za wszystkimi, byle tylko wstrzymywać wszelkiemi sposobami organizacyą handlową robotników. My pierwsi postawimy whiga—i dlatego whigi nie ośmielą się dla samego porządku postawić drugiego, a konserwatyści niech sobie stawiają ilu chcą.

— Sir—odzywam się do trybuna—jak widzę, jesteś dobrze poinformowany w sprawach wyborów.

— To mój interes—odpowiedział handlarz—miałem czas nabrać rutyny,—przeforsowało się już dwóch chwała Bogu;—a zwracając się do dżentlemena kończył:

Jeżeli my ciebie, sir postawimy na kandydata, trzeba jednocześnie poparcia i z innych warstw, aby przeciwnicy nie zawołali, że jesteś kandydatem ludowym, republikaninem, lub socyalistą, tego się sir strzeż!

— Przecież mam przyjaciół zdeklarowanych whigów,—znanych, zamożnych whigów, którzy mi pomogą—odrzekł energicznie dżentlemen.

— Gdy mamy podpalać, podkładajmy ogień w kilku punktach odrazu.

— Sir jutro jesteś kandydatem, pamiętaj o miejscowych dziennikach i o wynajęciu sali, aby nas nie uprzedzili. Pojutrze jestem tu

z członkami komitetu, którzy cię prosić będą o przyjęcie kandydatury.

To rzekłszy Black wyszedł poważnie i pewnym krokiem.

— Oprócz wymowy, do czego jesteś zdolny sir,—zapytał dżentlemen, gdyśmy sami zostali z ministrem.

— Do wszystkiego—odpowiada bez namysłu.

— Umiesz pisać wiersze?

— Nie, ale umiem je deklamować.

— Jakiéj roli podejmujesz się przy wyborach?

— Mieć mowy wszędzie—na ulicy, w wagonach, w omnibusach, w szynkach, na zebraniach, gdzie potrzeba—a po wypowiedzianéj mowie, rozdawać oddrukowaną jéj treść.

— Dobrze, byleby tylko nie za dużo brandy, zauważył dżentlemen.

— Nie mów tego sir amerykańskiemu ministrowi,—u nas głowy z marmuru!

— Wiesz co masz mówić, jakich zasad bronić? pyta dżentlemen.

— Nie wiem, oprócz tego co słyszałem od Dżorża.

— Jutro odbierzesz notatkę ze szczegółami, a pojutrze do pracy—dziesięć szylingów dziennie.

— Mało—wymowa wyczerpuje.

— Piętnaście—tylko przytomność i roztropność. Dżentlemen kładzie na stół funta. Minister się uśmiecha, chowa funta, kłania się poważnie i wychodzi.

— Dżorż dorożki! woła rozgorączkowany nasz kandydat. Nie można tracić chwili czasu! Mam i ja przyjaciół! A ty sir siadaj i pisz odezwę, mowę, wiersze dla czarnych, program, co chcesz.

V.

Drugiego dnia zastałem u dżentlemena walną naradę z Blakiem i dwoma jego towarzyszami jako członkami komitetu pewnéj części wyborców. Wszyscy trzéj podjęli się roli kenwasserów, z niewielką nadwyżką zwrotu kosztów dziennego zarobku i zapewnieniem gratyfikacyi po wyborach.

Na wczorajszém posiedzeniu ogłoszono kandydaturę dżentlemena, która znaczną większością głosów przyjętą została. Niektórzy mieli wołać: „My go nie znamy,“ na co odpowiadał im trybun podnosząc w górę rękę: „To go poznacie tak, jak już znacie Blecka“.

Dżentlemen ze swéj strony uwiadomił nas o wytworzeniu się drugiego komitetu z kupców i przemysłowców, a złożonego z pięciu członków, którzy również podali go za kandydata. Postanowiono zlać oba komitety w jeden i przybrać jeszcze jednego członka do kompletu, następnie rozdzielić się na trzy biura w trzech oddzielnych częściach dzielnicy i ująć w swe ręce całą agitacyą, tém energiczniéj, że już torysi postawili swego kandydata i nie żałują starań i pieniędzy, aby go przeforsować.

Na biuro naszych trzech przyjaciół Bleck wybrał dwie wielkie sale na pierwszém piętrze jednego z publikhausów, blisko poczty i stacyi telegraficznéj, trzy kęby (dorożki) i dwa powozy miały stać dzień cały na rozkazy członków komitetu.

Postanowiono za dwa dni do sali, którą wynajął dżentlemen, zawezwać kandydatów, do wypowiedzenia swych przekonań i programów.

Kandydat odczytał odezwę i program, komitet uznał pracę tę za nadto poważną i dlatego polecił odesłać ją do dzienników; radził zaś aby mowa wypowiedziana w halli miała więcéj swobody humbugu i życia. Dyskutowano czy natychmiast rozlepiać plakaty z nazwiskiem dżentelmena jako kandydata liberalnego, czy zostawić całą energią po mowach w halli, gdy wpadł Dżorż—oznajmując ze torysi już swego ogłosili.

— U wszystkich rzeźników—wołał—powiewają już kolosalne arkusze, zalecające kandydata konserwatywnego. Przytém Dżorż oznajmił, iż plakaty dla dżentlemena już się drukują i można je co dziesięć minut po parę set odbierać.

— Nie ma czasu do stracenia—zawołali z zapałem komitetowi—do pracy!

Naprzód postanowiono zteroryzować publikhauzy czyli szynki, grożąc wszystkim właścicielom, którzy zabronią w swych oknach wystawiać plakatów z nazwiskiem dżentlemena, że będą namawiać lud, aby ich omijał. Groźba ta, sądzono, powinna wywrzéć stanowczy skutek, gdyż członkowie komitetu należeli do klasy robotniczéj i sami postanowili roznosić plakaty.

Nazajutrz wszystkie siły miały być poruszone dla zajęcia odpowiednich stanowisk, gdyż już przeciwna armia rozpoczęła kroki wojenne. Gotowaliśmy się do walki zaciętéj z nieprzyjacielem zręcznym i przebiegłym.

Rzeźników miano ignorować, a podczas publicznego wystąpienia napaść na nich z całą gwałtownością. Zwołanie wyborców przyśpieszono o 24-ry godzin. Panowie komitetowi a zarazem kenwassery pojechali wprost do drukarni zabierać plakaty.

Zostaliśmy sami, gdy zapukano do drzwi i weszła nowa figura.

— Sir jestem właścicielem trzydziestu dorożek i jestem whigiem—dlatego téż odmówiłem torysom, chociaż mi dawali za każdą 20 szylingów dziennie.

Temi wyrazami zaprezentował się dobrze wypasiony, czerwonéj twarzy, wygolony Anglik.

— Trzydzieści dorożek na trzech stacyach—mówił daléj po 20 szylingów od każdéj. W wilią wyborów należy oblepić,—dwa dni stanowi dwa funty, razem 60 funtów. Moje dorożki są szczęśliwe, wszyscy kandydaci oblepiający swe ogłoszenia na nich, przeszli do parlamentu.

— Wybornie! a cóż tam ludzie mówią o mojéj kandydaturze, szanowny wyborco? pytał dżentlemen dyplomatyczno-naiwnie.

Mówią tak, że aż tu przyszedłem, gdyby było inaczéj, nie chciałbym kompromitować ani siebie, ani dorożek. Dorożki moje mają tradycyą nieomylności, kochany panie.

— Więc jestem znany—indagował ze wzrastającą radością kandydat.

Tego niewiem—ale wszyscy wzięli sobie za hasło wybierać swego—i żaden uczony chociażby to był Livingstone nie przejdzie. My nie lubimy uczonych; zresztą jeden z moich ludzi był w publikhauzie podczas wystąpienia twego, sir, pamiętasz—i utrzymuje, że nie słyszał lepszego *speakera*, opowiadał nam wszystkie przygody i zentuzyazmował wszystkich. Mięso ma wielką wartość w Anglii i chociaż rzeźnicy wysilają się, aby przeprowadzić konserwatystę, upadną.

Uszczęśliwiony dżentlemen zakupił wszystkie miejsca na dorożkach dla swych ogłoszeń.

— Sir—mówił nowo nabyty sprzymierzeniec, mam dwa wyborne, otwarte amerykańskie omnibusy każdy na 25 osób, które mogą przywozić wyborców z dalekich stron. Dziesięć razy obrócą przez dzień to już mamy 500 głosów. Cztery dzielne konie zaprzęgam do każdego, jak tego wymaga zwyczaj.

— Wybornie, biorę je lecz dwa to za mało.

— Podejmę się dostawić dziesięć, które powinny przywieść 5.000 ludzi. Jestem zdecydowany podpisać się na dostawę téj liczby wyborców.

— Zgoda zgoda—odpowiadał kandydat, radość promieniała na jego twarzy, śmiał się głośno i ręce zacierał.

— Jeszcze jedno.

— Proszę.

— Sir nie trzymasz własnych koni?

— Dotąd nie.

— Zatém piękny, otwarty powóz z wysokim kozłem, elegancka liberya i cztery siwe konie w dzień wyborów, będą ci sir potrzebne, he? To się przyda, jeśli jeszcze, jak przypuszczam, będzie się miało kogo wsadzić do powozu i pokazać go swym wyborcom, hę? Cztery siwe konie pół krwi, co?

— Dziękuję serdecznie—mówił nieśmiało dżentlemen—spuszczając oczy jak 16-letnia panienka,—jeżeli tylko rzeczywiście będą potrzebne, a tymczasem zapraszam cię sir do halli podczas naszego wystąpienia.

— Przyjdę sir z memi ludźmi.

Ledwie wyszedł właściciel fiakrów, gdy we drzwiach pojawił się dostawca żywych plakatów.

— Jeżeli chcesz mieć sir na usługi stu ludzi dziennie, to należy się o to wcześniéj postarać, torysi mogą ich mieć więcéj.

Tak mówił chudawy człowieczek o czarnych oczach, pretensyonalnie ubrany, w fantastycznym niebieskim krawacie w czarne pręgi.

— W pierwszych chwilach dosyć trzydziestu—zdecydowałem.

— A podług mnie i stu za mało—odrzekł dostawca ludzi do dźwigania tablic z ogłoszeniami. Powtarzam że i stu za mało na tak wielki okręg.

— Więc pan życzysz sobie, jednego na każdéj ulicy postawić,—zapytałem.

— Nie jest moim systemem rozdzielać i rozrzucać. Mój system skupiać i masą imponować, bić w oczy. Trzydziestu razem maszerujących po pięć kroków jeden od drugiego to 150 kroków, stu w takiéj saméj odległości, już zajmie odrazu połowę mili angielskiéj, a ja chciałbym aby nasz pochód rozciągał się na całą milę. Wtedy dopiéro będzie coś mówił, a przedewszystkiém bił w oczy, odurzał i dobrze prezentował zamożność kandydata.

Dżentlemen zgodził się na dwustu.

VI.

Nadchodzi pamiętna noc w dziejach wyborczego okręgu Middlesex i w dziejach naszego dżentlemena. W halli już zapalono gaz, ustawiono stoliki na estradzie, dla dwóch komitetów. Przed hallą zaczynają się zgromadzać wyborcy, najęci ludzie z tablicami na przodzie i plecach z oblepionemi plakatami stoją obok, rozdając przechodniom drukowane ogłoszenia.

Członkowie komitetów wyborczych zbierają się na estradzie w dwóch oddalonych grupach, wyborcy przychodzą na salę. Kilku z członków porzuca swoje stanowiska, schodzą na dół, mieszają się z tłumem, rozprawiają, śmieją się i żartują.

Godzina ósma uderza—posiedzenie otwarte.

Dżentlemen poważnie z niepokojem w oczach, z gorączką na twarzy, kroczy wspaniale naprzód. Przyjaciele, zwolennicy i znajomi zastępują mu drogę, dodając zachęty, energii i animuszu.

— I ja jestem ze swymi ludźmi — rzekł właściciel dorożek, pokazując na gromadkę kilkunastu silnie zbudowanych Anglików w kapeluszach, opiętych łosiowych pantalonach z czerwonemi kamizelkami.

— Czy słyszysz sir, co ten wygaduje na ciebie—szepnął Dżorż, pokazując na kandydata konserwatywnego, który niemiłosiernie chłostał dżentlemena. Sir ja nie wytrzymam, pójdę i wyboksuję tego nikczemnika.

Dżentlemen nic nie odpowiedział, poszedł daléj, zbliżył się do schodów prowadzących na estradę, schwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Liberalni członkowie komitetu przyjęli swego kandydata uroczystém powstaniem i ściskaniem jego ręki sadzając w pośród siebie.

Pretendent z drugiego obozu nie żałował przeciwnika.

— Nie wybierajcie ludzi—mówił — którzy oprócz robienia pieniędzy, nie mają żadnych zasług w narodzie. Jakąż dają wam gwarancyą ci biedni niewolnicy własnéj chciwości i zysków, uganiający się całe życie, aby napychać swe kieszenie złotem. Czyż kiedy oni mieli możność, lub czas przypatrzéć się potrzebom Anglii, zrozumiéć jéj stanowisko potężne i wielkie i ocenić interesa całego narodu. Mizerny klerk do 25-go roku życia swego, bez żadnéj nauki i wyższego wykształcenia; późniéj handlarz i mieszkaniec dzikich kolonij, dostawca broni dla Aszantów i amunicyi dla Karlistów, chociaż protestant, ośmiela się dziś sięgać po największą godność, chce być prawodawcą narodu angielskiego!

— Zepchnąć go ztamtąd!—wyleciał z tłumu wykrzyknik.—Na to hasło wzywające do boju, sformowały się w téj chwili dwa obozy. Rzeźnicy ze swymi przyjaciółmi, a zwolennicy konserwatysty po jednéj stronie, nasi po drugiéj, na czele komitetowi z ludu, przy nich właściciel dorożek, dostawca tragarzy i wielu innych zaangażowanych. Dorożkarze w milczeniu ściągają paltoty zostając tylko w czerwonych kamizelkach.

— Prawda was dusi i chcielibyście ją zboksować, ale my tu jesteśmy!—odezwano się ze strony rzeźników.

— Szanowni wyborcy głosujący za kandydatem liberalnym, zaklinam was w imię dobréj sprawy, uspokójcie się, bądźcie cierpliwi, aby nie powiedziano, że zwycięstwo wywalczyliśmy sobie pięściami.

Tak przemówił na estradzie z pośrodka nas jeden z członków komitetu. Uciszyło się, mówca daléj ciągnął.

— Nie jest zbyt trudno zebrać majątek, obdzierając dzikich! Czyż handel czarnymi ustał, pomimo to, że Anglia aby go zniszczyć poniosła tyle ofiar? Nie, lecz czy wiécie szanowni wyborcy, dlaczego; oto bo jest zbyt zyskownym! Można w paru latach zbogacić się, sprzedając te biedne istoty, obdarzone duszą nieśmiertelną, a których religia, prawo, ludzkość, sprawiedliwość, nakazują nam nazywać braćmi! Nie, moi panowie, po tém wszystkiém, coście słyszeli, nie podobna przypuszczać, abyście mieli obdarzać swém zaufaniem ludzi, którzy zdolni wam są tylko przyrzekać, sprowadzenie wołów z La Plata! Prędzejbym uwierzył w możność i chęci sporządzania rostbifów murzyńskich!...

Huczne oklaski, głośne *hear*, *hear!* i przeraźliwe świstania, w których nasz Dżorż jest mistrzem, były odpowiedzią na dowcipną mowę. Sam dżentlemen bił brawo i śmiał się.

— Jeżeli kłamać, to już tak, aby kłamstwo stało się humbugiem—zawołał wstając nasz kandydat. — Lubię humbug, bom prawdziwy Anglik i dlatego sam biję brawo!

Dżentlemen zaczął klaskać w ręce. Na to hasło zaczęto w naszéj partyi krzyczeć: Wybornie! doskonale! i bić brawo!

— Ale panowie—mówił daléj dżentlemen—kłamstwo jest brzydką wadą, świadczącą o braku edukacyi, dlatego téż jeżeli mnie zaszczycicie swojém zaufaniem, będę wszystkiemi siłami starał się, aby przymusowe nauczanie zastosowano z bezwzględną ścisłością. Dużo jest biednych, którzy nie mogą podołać temu wymaganiu, lecz wiele, bardzo wiele jest gmin zamożnych, które nie powinny pozwalać, aby ich członkowie nie odbierali żadnéj edukacyi. Gdy gmina będzie odpowiedzialną, przymusowe nauczanie stanie się faktem. Czy mnie rozumiecie, obywatele Anglii, czy mnie rozumiecie?

— *Hear*, *hear!* brawo, rozumiemy! — wydobywa się ze wszystkich stron, przy akompaniamencie sykań rzeźniczych.

Stronnictwo nasze zostaje wzmocnione silnym sukursem kilkuset mężów, zdaje się sprowadzonych przez ludzi naszego dzielnego członka komitetu. Ta imponująca liczba o wiele przewyższaía siłę przeciwników. Dżentlemen nabiera odwagi, zapomina o odezwie i programie, zapala się i mówi daléj:

— Tym to sposobem wykorzenimy kłamstwo, a utrwalimy moralność i zamiłowanie do pracy, która więcéj będzie szanowaną niż dzisiaj i doczekamy się nareszcie téj chwili, że nie ośmielą się maltretować jéj w oczach ludu, który egzystencyą swą zawdzięcza tylko własnéj swéj pracy. Cała potęga i wielkość naszego narodu spoczywa w rękach jego pracowników. Oni nie czekają, ani na spadki po krewnych, ani wyglądają pieniędzy od rodziców!

— Dużo jest między nimi, którzy żywią swoich starych, a nie obdzierają ich. Obdzierać rodziców i czekać w próżniactwie na spadki po krewnych, to się nazywa być szlachetnym, wysoko urodzonym i bezinteresownym!

Wielkie brawa, jak rozhukane fale oceanu zagłuszyły swym rykiem ostatni świst tonącego okrętu.

— Gdyby też tak pewnego dnia, podług téj maksymy — woła z animuszem dżentlemen—wszyscy Anglicy chcieli być szlachetnymi i bezinteresownymi—coby się stało z naszą poczciwą wyspą i dzielnymi jéj mieszkańcami? Demoralizacya, nędza — a w rezultacie śmierć i wyludnienie. Przepadłby naród, Anglii—by nie było!

Przeciągłe oklaski—minister wyrywa się naprzód z otwartemi rękami do uścisku dżentlemena, przy jego boku Trutle w kapeluszu mocno na bakier. Dżak Black zatrzymuje ich.

— Anglicy nie tamujcie mego uniesienia—woła minister—oto młodszy wasz brat Jankies, ja jestem Jankiesem, chce uściskać swego starszego brata John Bulla!

Przytrzymywany minister zwraca się, spostrzega Trutla i rzuca się w jego objęcia.

Braterski uścisk reprezentantów dwóch narodów jednego szczepu i jednego języka, wzbudził w wysokim stopniu zapał narodowy.

— Praca i wiara—rozpoczyna gromkim głosem dżentlemen.— Wiara w siebie samych i wytrwała praca, to dwa wielkie przymioty mego narodu, które nas postawiły u szczytu zamożności i cywilizacyi. Dwadzieścia lat pracowałem ciężko i mozolnie; zabierając produkta z Anglii, przywoziłem jéj w zamian złoto i kość słoniową. Zdaje się, że nie ubożyłem swego kraju.

— Brawo, brawo to nasza zasada!—wołano z tłumu.

— Nie miałem ja czasu mieszkać w Oxfordzie, aby się tam bawić, grać, szczuć szczury psami, tracić ojcowskie pieniądze i czasami słuchać teologii; ja z życia starałem się czerpać naukę, z doświadczenia rozum. Dwadzieścia lat uczciwéj pracy, to dwadzieścia lat studyów połączonych z praktyką. Nie mam wprawdzie patentów, ale, jak mówią, nie mam przy tém i długich uszów. I dumny jestem z tego, albowiem obywatele Anglii nie składają się z samych doktorów i uczonych bakałarzy.

Świst, pisk i krzyk przerwały mowę dżentlemena. Rzeźnicy i stronnicy konserwatyzmu zrobili ostatnie wysilenie, aby zgłuszyć i osłabić wzrastający zapał słuchaczy dla ich przeciwnika. Nasi odpowiedzieli na to wysilenie głośném hurra, tupaniem i oklaskami.

Siedzący obok nas członkowie komitetu powstali a ściskając po kolei rękę dżentlemena winszowali mu. To ostentacyjne wystąpienie stało się jedną pobudką więcéj do uniesień.

— Dwadzieścia lat ciężkiéj pracy — mówił spokojnie kandydat—to dosyć, powiedzieli mi moi przyjaciele; masz majątek i doświadczenie, powinieneś więc służyć swemu narodowi radą, jak służyłeś mu przez dwadzieścia lat pracą. Usłuchałem wezwania moich przyjaciół i oto jestem między wami gotów na wasze rozkazy.

— Przyjmujemy cię, przyjmujemy — wołali z naszéj strony.— Precz z nim!—odpowiedziano z drugiéj, lecz już bardzo słabo.

Dżentlemen podnosi w górę rękę. Cisza.

— Wiem ja z własnego doświadczenia, że jedyną rękojmią pomyślności jest rozsądna wolność. Otóż jéj praw będę pilnował i pracował nad jéj rozszerzeniem. Im mniéj więzów i kajdan, tém prąd życia narodu spokojniéj podnosi się, rozszerza i powiększa. Wolność, panowie, to postęp; ludzkość i narody muszą iść naprzód, inaczéj umierają. Chcąc zatrzymać postęp, trzeba kajdan; dlatego ja nie wierzę w głośne wykrzykniki konserwatystów na cześć wolności.

— Słowa i słowa! — krzyknął ktoś z przeciwnéj partyi — do szczegółów!

— Cicho!—krzyczano z naszéj strony.

— Domyślam się, o co moim przeciwnikom chodzi — rzekł z godnością dżentlemen. Kwestya mięsa dusi im gardła, a nie śmieją jéj podnieść.

— Tak, tak—wołano z jednéj i z drugiéj strony.

— Wyborcy! życie wasze, siła wasza, zdrowie, krew, która krąży w żyłach waszych, jest to wpływ mięsa, które zjadacie. Cóżby się stało z siłą naszego robotnika, dziś największą w Europie, cóżby się stało z rozumem Anglika, ze zdolnością do wytwarzania coraz nowych pomysłów, z trzeźwością rozsądku, która go nad innych wynosi z przebiegłością w handlu, gdyby przestał żywić się mięsem! A jednak panowie, iluż jest z pośród nas w Londynie, którzy go mogą kosztować zaledwo raz w tydzień. Anglia rokrocznie za samę żywność swoję musi światu całemu wypłacić 76 milionów funtów. I mamyż pozwolić, abyśmy byli obdzierani, na najdroższym i najpożywniejszym pokarmie! Dziś każą nam płacić podwójną jego wartość, jutro któż im zabroni przy zmowie podnieść go jeszcze w dwójnasób, nareszcie mięso stanie się droższém od złota i Anglicy będą żywić się kartoflami!

— Nigdy, nigdy!—zawołano z tłumu.

— Mógłby mi ktoś zarzucić, że tamuję wolność, staję na przeszkodzie wolnéj zamianie, zamykam wrota konkurencyi, która normuje sprawiedliwie ceny! Ależ wystąpić przeciw zorganizowanéj szajce (rzeźnicy pięście podnoszą do góry), która ssie krew narodu, zatrzymując jego wzrost i siłę, wystąpić przeciwko tym, którzy tylko dla siebie opanowali kanał przypływu tego produktu, nakładając dowolne ceny na jego wartość, to już nie obowiązek, ale konieczność, to już nie sprawiedliwość, ale obrona własnego bytu. Pamiętacie Anglicy dewizę pierwszego klubu towarzystwa befstekow: „Mięso i wolność.“ Niezapominajmy również słow Szekspira: „Te brytany z wyspy, byle im tylko dać potężną ilość mięsa, żelaza i stali, to będą jeść jak wilki i bić się jak dyabły.“ Brońmy się więc...

— Brońmy się!—zawołano ze wszystkich punktów naszéj strony, która się nieustannie wypełniała coraz większą masą. Brońmy się!— powtarzano naciskając na rzeźników i ich towarzyszy. Minister, Trutle, Black i jego kilku dzielnych wspólników na czele.

Członkowie komitetu konserwatywnego z przeciwnéj strony estrady wstają. Jeden z nich daje znak ręką prosząc o głos.

— Oświadczam—woła wśród gwaru — że wolność posiedzenia została pogwałconą, jesteśmy teroryzowani, i aby uniknąć walki, wychodzimy zapraszając naszych zwolenników do Alhambra-Hall.

Po tych słowach cały komitet wraz ze swym kandydatem schodzą z estrady, łączą się ze swymi wyborcami i opuszczają salę, przy oklaskach świstaniach i śmiechu naszych zwolenników. Wielu z opozycyi zostaje w sali łącząc się z nami.

Tak świetne zwycięstwo działa upajająco na wszystkich. Dżorż skacze w górę, Black ręce zaciera, Trutle podryguje zuchowato, minister klepie go protekcyonalnie po ramieniu, dorożkarze wdziewają paltoty na swe czerwone kamizelki, właściciel dorożek śmieje się głośno.

— A teraz z drugiéj strony — zaczął znowu promieniejący bohater dzisiejszego wieczora — przypatrzcie się jakby wyglądała Anglia za lat dziesięć, gdyby cena mięsa spadła, co być powinno—o połowę. O ileżby się podniosło zdrowie narodu, jego siły, jego dobrobyt, a nawet moralność, tak—nawet moralność. Taniość mięsa jest jednym z najdzielniejszych środków przeciw pijaństwu. Dajcie ludowi tanie mięso, a zmniejszycie najstraszniejszą dla niego plagę.

— Okropną plagę zabijającą Anglią i Amerykę—zawołał minister.—W tym przedmiocie piszę dzieło i z uwag naszego kandydata nie omieszkam korzystać.

Trutle podnosi parasol w górę, nie wiem, czy na znak, że podziela opinią swego towarzysza, czy ze zgrozy nad plagą, przeciw któréj postanawia walczyć.

— Zarzucono mi humbug w sprowadzaniu wołów z La-Plata— mówi daléj nasz kandydat.—Oto są akcye, które od wczoraj za sto tysięcy funtów rozebrane zostały—i z dziesięciu funtów poskoczyły już na dwanaście. Na pamiątkę dnia dzisiejszego i na dowód, że nie tylko słowem trzeba walczyć, składam dziesięć akcyi do rąk komitetu wyborców, aby za nie w pierwszą niedzielę po wyborach, zakupiono w głównéj halli mięsa dla biednych tutejszego okręgu.

Na tém skończyło się zgromadzenie. Na ulicy przed hallą witały nas okrzyki wznoszone na cześć kandydata i taniości mięsa, zmięszane z pogróżkami na rzeźników.

Siadamy wszyscy do odkrytego amerykańskiego omnibusu zaprzężonego w cztery konie, a zamówionego przez dżentlemena. Kandydat nasz stojąc w omnibusie uchyla kapelusza, tłum ciśnie się do powozu, konie z radości parskają.

— Panowie, obecnie nic mi nie pozostaje—przemawia dżentlemen—jak życzyć wam dobréj nocy. Mam nadzieję, że wszyscy staniecie w dzień wyborów, jak jeden, aby się nie dać upokorzyć rzeźnikom.

— Staniemy, ufaj! Wszyscy staniemy! — odpowiadają głosy z tłumu.

— A teraz pozdrówcie w imieniu mojém wasze żony i siostry! Kochajcie je i miejcie o nich staranie, zasługują na to — szlachetne Angielki.

Mistresy i misy powiewają chusteczkami i śmieją się.

— W wasze ręce, *ladies*, składam moje losy—woła wesoło kandydat.—Dobra noc!

Konie ruszają powoli robiąc sobie miejsce w otoczeniu. Pożegnania z dwóch stron, liczne i serdeczne, konie przyspieszają kroku, wyciągają kłusa — i jesteśmy sami na ulicy — wśród gwaru obojętnych i przejazdu obcych.

(d. n.) *Sewer.*

LISTY CZESKIE.

VIII.

Pożar teatru narodowego.—Szczęście w nieszczęściu: idea pojednania Niemców z Czechami.—Precz z hegemonią pojedyńczéj narodowości.—Różnica między niemieckiém stronnictwem konstytucyjném w Radzie Państwa a Niemcami mieszkającymi w Czechach.—Niegodne zachowywanie się dziennikarstwa wiedeńskiego.—Losy wniosków Herbsta i Wurmbrandta. Dyskusya dotycząca „języka państwowego."—Hasła partyi konstytucyjnéj: *Deutsche Hegemonie und deutsche Staatsprache*, *Nieder mit Taafe*, *Nieder mit den Czechen.*—Kwestya uniwersytetu czeskiego w Pradze. „Burdy prazkie."—Karlsbad.—Zmiana namiestnika Czech. Kraus.

List niniejszy zamierzałem zakończyć opisem owéj uroczystości która miała się odbyć w dniu 11 Września r. 1881 z powodu otwarcia naszego teatru narodowego. Tymczasem rozpoczynam to pismo pod trwającém dotąd wrażeniem, które długo jeszcze wywierać na nas będą zgliszcza nowego gmachu teatralnego spalonego w dniu 12 Sierpnia r. 1881.

Składki na budowę teatru narodowego, rozpoczęliśmy już w r. 1849 wśród bardzo niepomyślnych politycznych stosunków. Czasy reakcyi zgotowały temu przedsięwzięciu przeszkody nie do zwalczenia; dopiéro po roku 1861 można znów było o tém na seryo pomyśléć. W r. 1868 założono kamień węgielny pod tę pomnikową budowę; obecnie, po 13 latach teatr był już blizki ukończenia; tymczasowe otwarcie, na uczenie zaślubin jego cesarskiéj wysokości księcia Rudolfa Następcy tronu odbyło się 23 Maja r. 1881, dano w nowym teatrze 12 przedstawień, a ludność Pragi miała sposobność widzieć co zniszczył pożar 12 Sierpnia r. 1881.

Prawdziwéj przyczyny pożaru podać nie jestem w możności, bo nastręczają się w téj sprawie różne wprost przeciwne przypuszczenia, a dochodzenie sądowe nie jest jeszcze skończone (25 Sierpnia).

Jednéj wszakże wersyi poświęcę słów kilka. W niższéj szczególnie warstwie ludności prazkiéj, rozpowszechnione jest mniemanie, że ogień podłożony był przez Niemców, w celu zniszczenia dzieła, którém naród czeski mógł się szczycić z zupełną słusznością. Gdyby nawet można było myśl zatrzymać na tém mniemaniu, trzeba przypuścić dwa wypadki: albo jakiś robotnik niemieckiéj narodowości (Niemcy byli zatrudnieni przy budowie), podłożył ogień z własnego popędu, tj. z fanatycznéj nienawiści do Czechów, albo wciągnięty był do tego przekupstwem przez kogo innego. Według mojego zdania należy po dojrzałéj rozwadze, uznać tak pierwszy jak drugi wypadek za niemożliwy, z téj prostéj przyczyny, że tu w Czechach nienawiść między Niemcami i Czechami nie doszła jeszcze dzięki Bogu, do fanatyzmu zniszczenia, jak np. między Irlandczykami i Anglikami, i że spór narodowości w Czechach, jak to już niejednokrotnie w moich listach wykazywałem, prowadzi się w granicach kwestyi politycznych, niedotykając zgoła społecznych, tak że między robotnikami niemieckiéj narodowości bardzo trudno byłoby znaleść takiego patryotycznego fanatyka. Wypadku przekupstwa również dopuścić nie mogę, bo niebezpieczeństwo wykrycia sprawcy było by tak wielkie, ze musiałoby powstrzymać od podobnego czynu, tych nawet którzyby do samego pomysłu zdolni byli.

Sądzę więc, że w dobrze zrozumianym interesie, tak przez wszystkie rozważne umysły upragnionego pokoju między narodowościami, mamy dostateczny powód do odsunięcia od siebie myśli złośliwego, rozmyślnego zamachu. Jaki rodzaj bądź co bądź karygodnéj nieostrożności spowodował pożar, okaże się zapewne z zupełną stanowczością, ze śledztwa sądowego.

Faktem jest że 12 Sierpnia, między 5—6 wieczorem przechodnie spostrzegli na dachu nowego gmachu teatralnego dym i płomienie, że jednak spokojnie poszli daléj w przekonaniu że ogień będzie zapewne ugaszony i że gmachowi żadne nie grozi niebezpieczeństwo, faktem jest również że gaszenie pożaru rozpoczęto dopiéro około siódméj wieczorem, to jest wtedy kiedy ognia niepodobna już było opanować. Całe wnętrze gmachu spaliło się w zupełności; scena ze wszystkiemi dekoracyami zgorzała do szczętu; spłonęła też widownia, z któréj całego urządzenia nie wiele uratować się dało. Żelazne wiązanie dachu, żelazne masyw podciągi sufitowe nad widownią, leżą rozmaicie żarem powykręcane na podłodze, lub zwieszają się tu i ówdzie z oczernionych murów; pod tą plątaniną pogiętych części żelaznych, leżą szczątki pięknego pająka, który kosztował 15.000 flor. Wrażenie, jakie na każdym wywiera ten obraz straszliwego zniszczenia, działa na nas tém silniéj, że widzieliśmy tę pełną smaku

okazałość po któréj nam teraz tylko wspomnienie zostało. Wspaniała loża królewska bardzo jest spustoszona, tylko *foyer* na pierwszém piętrze i Loggia ze swemi 10 posągami ocalała zupełnie. Zewnętrzne mury gmachu pozostały nietknięte; z wnętrza trzeba będzie usunąć mnóstwo gruzów. W poniedziałek 22 Sierpnia rozpoczęły się roboty restauracyjne i jest nadzieja że za dwa lata będzie można obchodzić uroczystość otwarcia nowoodbudowanego teatru.

Kiedy dziś, w dwa tygodnie po nieszczęśliwym 12 Sierpnia, rozważam następstwa jakie miał dla nas ten nieszczęśliwy wypadek, z trudnością mogę się obronić od uczucia jakiegoś uspakajającego zadowolenia. Od katastrofy upłynęło zaledwie dwa tygodnie, a już suma składek na odbudowanie teatru, z prowincyj tylko do korony czeskiéj należących, przewyższa pół miliona, co niewątpliwie jest świetnym dowodem ofiarności narodu czeskiego. Ale inna jeszcze okoliczność niemniéj tu na uwagę zasługuje.

Pokojowy nastrój między Niemcami i Czechami (jak to późniéj będę miał sposobność wykazać) pozostawiał w ostatnich czasach bardzo wiele do życzenia, a wielki „pochód tryumfalny", którym Czechy uświęcić chcieli 11 Września 1881 rzeczywiste otwarcie swego pysznego teatru, i do którego poczynione już były najwspanialsze przygotowania między czeską ludnością całego kraju, nie mógł przyczynić się do polepszenia pod tym względem stosunków między obiema narodowościami. Niemieckie stronnictwo konstytucyjne, które usiłuje wszelkiemi środkami przekonać Niemców w Czechach, że pod ministeryum Taafego odgrywają rolę „odsuniętych" i tylko z potrzeby tolerowanych w Austryi i że w końcu strąceni zostaną do znaczenia jedynie ofiar Czeskiéj przemocy, ta partya nigdy w wyborze środków agitacyi nie przebierająca, byłaby nie na co innego spożytkowała wspaniałą uroczystość narodową 11 Września, jak na podniecenie niechęcią i zawiścią narodowéj rozterki do większéj jeszcze potęgi, jedynie tylko dla tego, ażeby z większém prawem twierdzić że to są właściwe owoce tyle im nienawistnego programatu pojednania ministeryum Taafego. Tymczasem 11 Września r. 1881 nie odbędzie się żaden pochód tryumfalny, Czechy stoją posępni przed czarnemi zgliszczami swego wspaniałego teatru, który dźwignęli kosztem tylu czeskich ofiar, a w ich niemieckich ziomkach obudziło się tak silne uczucie litości, że wielu z nich pośpiesza wyrazić swoje czysto ludzkie współczucie, udziałem w składkach na odbudowanie czeskiéj muz świątyni. Idea stanowczego pojednania narodowości wystąpiła tak dalece na pierwszy plan życia bieżącego, że my wszyscy którzy niczego z większém utęsknieniem nie wyglądamy jak takiego poro-

zumienia, prawie zmuszeni jesteśmy uważać katastrofę 12 Sierpnia jako wypadek zwiastujący szczęście naszemu narodowi.

Do słów powyższych dodać muszę uwagę, że pisząc to nie oddaje się żadnym chimerycznym złudzeniom i zdaję sobie sprawę jasno, wyraźnie z trudności takiego stanowczego pojednania; jednocześnie jednak widzę możliwość téj zgody, i mogę twierdzić, z zupełną znajomością stanu sprawy i panujących stosunków, że porozumienie z Niemcami w Czechach jest gorącém życzeniem całego narodu czeskiego.

Nie taimy tego bynajmniéj, że dla nas Czechów, harmonia narodowa w Czechach, to jest takie uregulowanie wszystkich stosunków publicznych między dwiema narodowościami zamieszkującemi kraj czeski. które uniemożebniłyby na przyszłość wszelkie spory w kwestyach narodowych, jest dla nas stanowczo sprawą najbardziéj palącą, do któréj rozstrzygnięcia przedewszystkiém dążymy, bo uważamy ją za kwestyą zasadniczą, od któréj zależy ostateczne ukształtowanie się państwa austryackiego, zupełnie oddzielonego od cesarstwa niemieckiego, ale równie jak to imperyum samodzielnego i do życia uprawnionego.

To czego my chcemy da się krótko wypowiedziéć. Chcemy zupełnego politycznego równouprawnienia Czechów w Czechach, na Morawach i na Szląsku, to jest pragniemy aby naród czeski stał w Czechach w Morawii i na Szląsku na jednakowém stanowisku politycznem i na jednakich prawach politycznych z narodem niemieckim zamieszkującym te kraje. Słowem chcemy aby język czeski w Czechach, Morawii i na Szląsku był równouprawniony z niemieckim w szkole w urzędzie i w sądach, to jest w całkowitém życiu publicznem. Żądamy zaś tego tylko dla Czech, dla Morawii i dla Szląska, to jest dla krajów korony czeskiéj nie dla całéj monarchii austryackiéj. W wiedeńskiéj Radzie Państwa mówimy po niemiecku, z ministrami i z ministeryami niemieckiemi komunikujemy się po niemiecku, i nie przychodzi nam do głowy domagać się w armii austryackiéj innéj komendy jak niemiecka. Jesteśmy jednak tego zdania, że monarchia austryacka szczególniéj pod względem narodowym, nie jest jednolitą całością, lecz że składa się z bardzo różnorodnych części, z których każda ma swoje odrębne życie i jest do tego życia uprawnioną, a nawet twierdzimy, że całość wtedy tylko w pełni siły egzystować może, jeżeli odrębne życie pojedyńczych części wszędzie silnie rozwijać się będzie.

Zaliczamy się więc z najgłębszego przekonania, i jak sądzimy w dobrze zrozumianym interesie państwa, do autonomistów, federalistów, czy téż decentralistów,—mniejsza oto jak nas ktoś nazwać ze-

chce, a jesteśmy przeciwnikami ujednostajniającego centralizmu, w którym nie możemy dopatrzeć się ani zbawienia Austryi, ani jéj pomyślnego odrodzenia. Jesteśmy przeciwnikami centralizacyi państwowéj, nie z narodowéj żądzy przewodzenia, jak nam to adwersarze nasi niejednokrotnie przypisywali, bo przeciwnie, należymy właśnie do tych, którzy w kwestyi nowego ukształtowania się Austryi stawiają zasadę: niepotrzeba żadnéj narodowéj hegemonii, a nie jesteśmy znowu tak dziecinnie niedoświadczeni; abyśmy mieli dążyć do czegoś co musimy uznać za niemożliwe do osiągnięcia, gdyby nawet nie sprzeciwiało się wprost tylko co sformułowanéj zasadzie. Jeżeli nasi przeciwnicy w publicystycznych swoich organach, albo ściśléj mówiąc, jeżeli jakiś zbyt gorliwy gazeciarz—centralista, przypisuje nam Czechom zamiar *zczeszczenia* Austryi, to można prawie z pewnością twierdzić, że sam w to niewierzy ale uważa za dobry środek do rozdrażnienia przeciw nam Niemców mieszkających w Czechach. Nie jesteśmy téż bynajmniéj przeciwnikami centralizacyi w Austryi z zachcianek separatystycznych, ażeby—jak nam to również bywa przypisywane, korzystając z rozluźnionych umyślnie węzłów spójności politycznéj, tém łatwiéj się z nich wyśliznąć.

Przeciwko nam występują dotychczas Niemcy, naturalnie jako zawzięci centraliści. Używając tu dla krótkości nazwy „Niemcy“ muszę jednocześnie dodać uwagę dla wyświetlenia rzeczywistego stanu rzeczy. Wypowiedziałem to już na ostatniem posiedzeniu sejmowém, i sądzę że pogląd mój nigdy dość często powtarzanym nie będzie,—że my Czechowie, mówiąc o naszych politycznych przeciwnikach, musimy zawsze robić różnicę między niemieckiém stronnictwem konstytucyjném, a niemieckimi naszymi ziomkami w Czechach. Różnica ta jest rzeczywiście bardzo wielką i ma dla nas nader ważne znaczenie.

Niemieckie stronnictwo konstytucyjne występuje przeciwko wszelkim narodowym dążeniom ludu czeskiego z całą ostrością namiętności stronniczéj i posługuje się téż względem Czechów wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi środkami aby tylko te dążenia w niwecz obrócić. To stronnictwo, mające w swoich szeregach Niemców ze wszystkich prowincyj austryackich, stoi dziś jeszcze na tem stanowisku, na którém oparłszy się Schmerling chciał 1861 odbudowywać państwo austryackie.

Ponieważ Czechy stanowią najważniejszą przeszkodę do urzeczywistnienia takich upragnionych planów, niemieckie przeto stronnictwo konstytucyjne jest ich zaprzysięgłym wrogiem i przeciwnikiem, a ponieważ hegemonia niemiecka, najbardziéj jest zagrożoną w krajach czeskiéj korony (w Czechach zaledwie $^{1}/_{3}$ ludności jest

niemiecką w Morawii tylko $^1/_4$), więc też chciwa panowania partya konstytucyjna dąży ku temu wszystkiemi siłami ażeby swoje własne pragnienia narzucić ludności niemieckiéj w tych obu krajach, albo przynajmniéj rozniecić w niéj jak najsilniejszą dla Czechów nienawiść.

Takie zidentyfikowanie zapatrywań naszych niemieckich ziomków z poglądami i dążeniami stronnictwa konstytucyjnego nie powiodło się dotychczas i zapewne się nie powiedzie; na tém właściwie opierają się nasze nadzieje porozumienia się i pojednania z niemcami w Czechach i ostatecznego *fiasca* niemieckiéj hegemonii w Austryi. Ażeby tę możliwość lepiéj pojąć, trzeba przypomniéć sobie, że tak zwana partya konstytucyjna wyzyskiwała w sposób nader samolubny wytworzoną przez Schmerlinga, uprzywiliowaną swoję pozycyą w państwie, że z małemi wyjątkami rządziła na benefis własnéj kieszeni, i że członkowie jéj, dla tego właśnie w tak gwałtownéj stoją opozycyi przeciw gabinetowi Taafego, że są przez to ministeryum dawnych pieniężnych korzyści pozbawieni. Uprzywiliowane stanowisko i związane z niém korzyści pieniężne, dały się korzystnie uczuć tylko tak zwanym przedstawicielom narodu, ale bynajmniéj nie reprezentowanemu niemieckiemu ludowi, który tak samo musiał płacić nowe podatki jak ludność czeska, i dla tego reprezentowani Niemcy nie mieli tak ważnego interesu w utrzymaniu uprzywiliowanego stanowiska swoich parlamentarnych przedstawicieli, jak sami reprezentanci. Z tego powodu, lud niemiecki w Czechach i Morawii niema tego zmysłu politycznego antagonizmu w stosunku do Czechów, jaki by w nim przywódcy wyrobić chcieli; przeciwnie ten lud niemiecki ma nierównie więcéj zmysłu sprawiedliwości i słuszności, aniżeliby życzyli sobie panowie ze stronnictwa konstytucyjnego; to téż żywimy uzasadnioną nadzieję stanowczego pojednania się z tym ludem, a takie pojednanie musi w końcu nastąpić pod rządem, który niemieckiéj hegemonii nie wypisał na swoim sztandarze.

Niemiecka hegemonia miała w Austryi znaczenie i bardzo ważną polityczną doniosłość, dopóki chodziło o zapewnienie w Niemczech przewagi Austryi; dziś kiedy ta kwestya została rozstrzygniętą stanowczo przeciw Austryi, chociaż, jak sądzę nie na jéj szkodę, niemiecka hegemonia w dawnych związkowych krajach Austryi, nie może już być ideą podtrzymującą państwo, w austryackiém rozumieniu rzeczy, i wtedy może tylko mieć właściwe znaczenie, jeżeli się te niemieckie prowincye uważa za przyszłe części składowe niemieckiego imperyum. Niemcy w Czechach muszą mieć o tém zupełnie jasne pojęcie; zapewniają nas dość często że są Austryakami i że niemi chcą zostać: wierzemy temu chętnie, ale w takim razie nie

możemy tego dobrze zrozumieć, dla czego polityczne równouprawnienie Czechów nie znajduje aprobaty i budzi opozycyą i musimy przypuszczać że i w tym punkcie czysto austryackiego rozumienia rzeczy, członkowie stronnictwa konstytucyjnego muszą mieć jakieś ukryte myśli, których niema niemiecka ludność ani Czech ani Morawii.

Nawet pod względem prawdziwie austryackiego nastroju, Czechy stoją bliżéj swoich niemieckich ziomków aniżeli tak zwana partya konstytucyjna, a nadzieja ostatecznego porozumienia się obu narodowości, opiéra się głównie na tém, że niemiecka ludność wyłamie się nareszcie z pod terroryzmu, który ją dotychczas czyni bezwłasnowolném narzędziem chciwéj panowania partyi konstytucyjnéj. Że taki obrót rzeczy nie należy do bezzasadnych złudzeń, wskazują bardzo wyraźnie pojedyńcze objawy rozdwojenia w łonie samego stronnictwa, które już w dwóch wypadkach doprowadziło do jawnego odszczepieństwa. Znajduje się w szeregach stronnictwa konstytucyjnego dość ludzi, którzy nie są wstanie poświęcić wszystkich swoich zasad dla żądzy panowania téj partyi i którzy nie mogą zgadzać się na wszystko co stronnictwo przedsiębiercze dla utrzymania czy téż dla odzyskania swéj przewagi.

Kiedy na ostatniem posiedzeniu sejmu czeskiego (w Lipcu r. 1880), chodziło o to aby wiernokonstytucyjna większość potwierdziła swojém wotum jako rzeczywiście istniejące, rzekome „nadzwyczajne zaniepokojenie“ wywołane jakoby między ludnością niemiecką rozporządzeniem o języku z 19-go Kwietnia r. 1880, oddzielił się jeden z członków stronnictwa konstytucyjnego od swojéj partyi i głosował z Czechami w tym sensie: że rozporządzenie z d. 19 Kwietnia r. 1880 o języku, nie dało zgoła powodu do jakiegobądź zaniepokojenia między niemiecką ludnością w Czechach.

Kiedy w wiedeńskiéj Radzie Państwa (w Maju r. 1881), odbywało się głosowanie nad przedstawioném przez rząd prawém o utworzeniu uniwersytetu czeskiego w Pradze, i kiedy stronnictwo konstytucyjne, mimo pojednawczych przyrzeczeń, postanowiło *per majore* głosować przeciw projektowi, odzieliło się trzech wiernokonstytucyjnych od swego stronnictwa i głosowało z prawicą za utworzeniem uniwersytetu czeskiego, bo nie mogli uczucia sprawiedliwości poświęcić dla interesu partyi.

Takich ludzi znajduje się jeszcze dosyć, i to właśnie między wykształconemi Niemcami, dla których zasady prawdziwego liberalizmu, nie są tylko pustémi słowami i którzy nie poprzestają na wypowiadaniu tych zasad w pięknie brzmiących frazesach, lecz są tego zdania, że je odpowiedniemi czynami stwierdzać należy.

Stronnictwo konstytucyjne ma wprawdzie pretensyą reprezentować prawdziwy liberalizm i prawdziwy humanitaryzm, ale w stosunku do narodu czeskiego musi się zawsze wyprzéć zasad liberalizmu, jeżeli chce osiągnąć swój właściwy cel—zabezpieczenie wyłącznego panowania w Austryi.

Jak dalece stronnictwo konstytucyjne może, w samolubnym interesie żądzy panowania, oddalić się od zasad swego rzekomego liberalizmu, dowodzą prawie codziennie wiedeńskie téj partyi organa, mianowicie „Neue freie Presse", „Deutsche Zeitung" i „Wiener algemeine Zeitung", które prześcigają się w lżeniu narodu czeskiego i w tym kierunku dochodzą do rzeczy nieprawdopodobnych. Gdybyśmy rzeczywiście tacy byli jakimi nas te dzienniki przedstawiają, nie byłoby przewrotniejszego i nędzniejszego od nas narodu na całéj kuli ziemskiéj. Że takie systematyczne znieważanie narodu należącego do monarchii austryackiéj możliwe jest właśnie w stolicy, w głównéj rezydencyi tego państwa i że jest przez rząd milcząco tolerowane, jestto niewątpliwie objaw osobliwszy, nad którym powinniby zastanowić się statyści austryaccy i o którym to i owo dałoby się powiedziéć. My patrzymy na to zachowanie się prasy wiedeńskiéj dość obojętnie, bo wiemy po pierwsze, że mimo to zostaniemy zawsze tém czém jesteśmy, i ponieważ w ogóle mamy to przekonanie, że gminne wymyślanie, musi dowodzić nie gminności wymysłów, lecz gminności wymyślającego. Nadto, jedna jeszcze okoliczność pomaga nam do znoszenia nawałnicy olbrzymich napaści prasy wiedeńskiéj, mianowicie rozważanie znanego: *Omne nimium nocet*, a tu szkoda nie jest po naszéj stronie: brutalstwa bowiem wiedeńskich dziennikarzy nie znajdują upragnionego oddźwięku w sercach naszych niemieckich ziomków, w których naturalnie przeważa uczucie, że jesteśmy takimi ludźmi jak oni, i że mamy to samo narodowe i polityczne prawo do bytu jak oni. Przetrwaliśmy już niejedno, przetrwamy jeszcze i to osobliwsze wiedeńsko-austryackie dziennikarstwo.

Są w dziejach ludzkości pewne prądy, które nie dadzą się powstrzymać samolubnemi interesami koteryi, ani politycznemi intrygami stronnictw, a do takich należy niewątpliwie prąd naszych czasów, pod działaniem którego muszą się urzeczywistnić i praktycznie ziścić zasady prawdziwego liberalizmu, te zaś zasady są w rezultacie niczém inném jak zastosowaniem prawdziwego chrześciańśtwa i są proste i łatwe do zrozumienia.

W zasadzie „Nie czyń drugiemu co tobie nie miło" zawiera się jedyne liberalne, humanitarne rozwiązanie wszelkich pozornie zawikłanych spraw politycznych, narodowych, społecznych i międzynarodowych. Egoizm osobisty i samolubstwo stronnicze, *które w właściwém*

świetle rozważane jest zawsze egoizmem osobistym, jako jedyna przeszkoda, musi być naturalnie usunięty i stłumiony.

Od tego ostatecznego celu ludzkich dążeń, o którym ten i ów słucha pokręcając z powątpiewaniem głową, jak o ideale, i my tu w Czechach jesteśmy jeszcze bardzo oddaleni. Szczegółowe przedstawienie naszych walk politycznych najlepiéj by to wykazało; ale właśnie ta niezaprzeczona nędza teraźniejszości, wytwarza dla każdego myślącego człowieka konieczną potrzebę ideału na przyszłość, jeżeli tylko nie chce duchowo zatonąć w materyalistycznym pesymizmie.

W ostatnim moim liście opisałem przebieg naszéj walki o narodowe i polityczne odrodzenie aż do początku posiedzenia sejmowego 1880—1881 r. t. j. do listopada 1880 r. Rozpoczynam więc od ostatniego posiedzenia sejmu wiedeńskiego, z którego, naturalnie, to tylko przytoczę, co się do tych walk naszych odnosi.

Znany już jest czytelnikom *Ateneum* wniosek Wurmbranda dotyczący mowy urzędowéj w Austryi i wniosek Herbsta co do języka czeskiego w urzędach.

Oba wnioski odesłane zostały 4 grudnia 1881 r. komisyi złożonéj z 24 członków, która wprawdzie ukonstytuowała się jeszcze w grudniu 1880 r., ale dopiéro w lutym 1881 r. odbyła pierwsze swoje posiedzenie, a nieprędzéj jak 6-go kwietnia załatwiła się z jednym z wniosków a mianowicie z wnioskiem doktora Herbsta.

Sprawozdanie tak zwanéj „komisyi językowéj“ o wniosku Herbsta, jest już wydrukowane i znajduje się w rękach posłów sejmowych. Zredagował je z wielką jasnością i znajomością rzeczy sprawozdawca kawaler v. Havelka c. k. radca trybunału krajowego w Pradze.

Przedstawiwszy losy języka czeskiego w urzędzie, od XV wieku, mniéj więcéj tak jak je w VI liście podałem, sprawozdawca mówi:

„Ze wszystkich przytoczonych dotąd przepisów prawnych okazuje się jasno i niezbicie, że tak w ogólnéj organizacyi sądowéj jak w rozporządzeniach późniéj wydanych i mających moc prawa, wyrażenia: *język w kraju używany i język krajowy* używane były w prawodawstwie w jednakowém znaczeniu, że zatém użyte w § 13 ogólnéj organizacyi sądowéj wyrazy: *„język używany w kraju“* w prowincyach korony czeskiéj, obejmuje oba języki, czeski i niemiecki.

„To zastosowanie wyrazów *„język krajowy“* i *„język w kraju używany“* w jednakowém znaczeniu utrzymane jest także w nowszych czasach w patencie z 27 grudnia 1852 r., Nr. 260 Dziennika Praw i z 1-go stycznia 1860 r., Nr. 3 Dziennika Praw, według pierwszego ogłaszanie praw państwowych i rozporządzeń władz krajowych ma

się odbywać *w językach krajowych*, według drugiego, *w językach w kraju używanych*.

„Wprowadzone dopiéro w ostatnich czasach, przez przeciwników zrównania języka czeskiego z niemieckim w rządzie i w urzędzie, tłómaczenie § 13 ogólnéj organizacyi sądowéj, według którego wyrażenie *„używany w kraju“* ma znaczyć *używany w okręgu* czyli, że pod wyrazami *„język używany w kraju“* należy rozumiéć mowę używaną nie w granicach kraju lecz w granicach *okręgu* utworzonego przy podziale kraju w celach administracyjnych, ale nie zachowanego w chwili dekretowania ogólnéj organizacyi sądowéj,—jest pod względem językowym niemożliwe do utrzymania, z uwagi zaś na § 437 ogólnéj organizacyi sądowéj, wzbronione i przeciwne przepisanym paragrafami 6 i 7 ogólnego kodeksu cywilnego prawidłom tłómaczenia praw.

„Lojalne przeprowadzenie przepisów prawnych o równouprawnieniu języków: czeskiego i niemieckiego w sądach i w urzędzie w krajach korony czeskiéj, wymagało naturalnie znajomości obu języków u wszystkich urzędników.

„W tym celu rząd oddawna nalegał, ażeby urzędnicy w Czechach i Morawii władali obydwoma *„językami krajowemi*,“ a zatém i czeskim.

Odpowiednie prawa przytoczone są w sprawozdaniu, które kończy się temi słowy:

„Równouprawnienie języków: czeskiego i niemieckiego w sądach i w urzędzie, w Czechach i w Morawii przebiegiem wieków rozwinięte i wyrażonemi prawami stwierdzone, nietylko nie było cofnięte zasadniczém prawem państwa z 21 grudnia 1867 r. ale zostało raczéj w artykule XIX dobitnie uznane i zagwarantowane.

„Jeżeli teraz porównamy literę i ducha kwestyonowanego rozporządzenia ministra z 19 kwietnia 1880 r. z przedstawionemi tu i od wieków aż do dziś trwającemi normami prawnemi co do równouprawnionego użycia języków: czeskiego i niemieckiego we wszystkich sądach i urzędach w Czechach i w Morawii, będziemy musieli uznać, *że rozporządzenie pod względem prawnym nie zawiera nic nowego i że nie sprzeciwia się żadnemu z praw obowiązujących.*

„A ponieważ rząd w celu zapewnienia prawidłowego wykonywania praw, oraz w widokach powstrzymania wdzierających się nadużyć i bezprawiów, ma z mocy swego powołania nietylko prawo ale i obowiązek, wydawać rozporządzenia *w granicach praw obowiązujących*, więc wydanie rozporządzenia o języku bynajmniéj nie przekroczyło tych przysługujących rządowi attrybucyj.“

Komisya stawia zatém wniosek, ażeby Izba deputowanych uchwaliła przejście do porządku dziennego co do wniosku d-ra Herbsta.

W kwestyi wniosku hr. Wurmbranda o wyniesieniu języka niemieckiego do godności *austryackiego języka państwowego*, „komisya językowa“ nie wydała dotąd żadnéj uchwały i nie wyznaczyła żadnego sprawozdawcy.

Przedewszystkiém wypadałoby tu rozważyć, dla których krajów austryackich projektowane prawo miałoby być obowiązującém, w takim razie sam wnioskodawca przyszedł by do przekonania, że nie dla królestwa węgierskiego, nie dla Galicyi ani dla Dalmacyi.

Na jakie trudności natrafi takie prawo, można już łatwo wnosić z rozpraw Komisyi nad wnioskiem, szczególniéj z posiedzenia jéj z 2 kwietnta 1881 r., które tu, ze względu na szczególnie zajmujący charakter téj sesyi, według korespondencyi Rady Państwa, *in extenso* przytaczam:

„Na dzisiejszém posiedzeniu komisyi językowéj, na którém obecni byli: prezes Ministrów hr. Taaffe i minister sprawiedliwości dr. Prażak, odbywały się w dalszym ciągu rozprawy nad wnioskiem deputowanego hr. Wurmbranda.

„Deputowany hr. Wurmbrand powtarza swoję interpelacyą do rządu: jaką rząd zajmie pozycyą względem jego wniosku, tyczącego języka państwowego?

„Deputowany dr. Trojan (Czech) zastrzega się z góry przeciwko uznaniu jakiegoś języka za język państwowy, ponieważ według art. XIX zasadniczego prawa, wszystkie używane w prowincyach austryackich języki używają zupełnego równouprawnienia.

„Prezes ministrów, hr. Taaffe: Najprzód nastręcza się wogole do rozważenia pytanie, czy w obecnéj chwili można uważać za rzecz na czasie wniesienie takiego projektu do prawa. Rząd wychodzi z tego stanowiska, że w takim tylko razie można by taki krok uważać jako na czasie będący, gdyby przedtém nastąpiło porozumienie między różnemi narodowościami i politycznémi stronnictwami. Projekta któreby przeszły poprostu z poprawkami większością parlamentarną, nie mogłyby być uważane za zbawienne dla interesów ogółu. Czy zaś teraz nadeszła już chwila, w któréj możnaby mówić o porozumieniu między stronnictwami i narodowościami, to muszę zdać na sąd wysokiéj komisyi; z tego téż powodu inicyatywa nie może wyjść od rządu.

„Minister rozbiera następnie wniosek przedstawiony przez hr. Wurmbranda i robi uwagę, że należałoby przedewszystkiém zbadać: czy wniosek dałby się wyprowadzić z brzmienia art. XIX prawa za-

sadniczego, a wtedy nastręczy się najprzód pytanie: co dep. hr. Wurmbrand rozumie pod wyrażeniem „język państwowy.“ Są w téj kwestyi różne zapatrywania; możnaby naprzykład mieć na myśli język władz; ale jest-to język urzędowy albo raczéj język służbowy. Ustanowienie języka urzędowego jest atrybucyą władzy wykonawczéj i należy do sfery rozporządzeń. Rzeczą jest rządu regulować język służbowy według zasad upraszczania interesów, taniości i t. p. stosownie do potrzeb prowincyj i ludności. Istnieją téż w téj materyi różne rozporządzenia dla rozmaitych krajów.

„W intencyi zarówno obecnego jak dawniejszych rządów, leżało zawsze uwzględnienie tych rozmaitych potrzeb i tym sposobem w pojedyńczych prowincyach rozwinęły się różne języki służbowe np. w Tyrolu, w Istryi i w Galicyi. Ale w tym razie pod wyrażeniem języka państwowego, nie może być rozumiany język służbowy.

„Nastręcza się więc pytanie, czy język państwowy ma to samo znaczyć co język rady państwa, ale w takim razie nie ma potrzeby wydawać oddzielnych przepisów, bo w Radzie Państwa rozprawy prawie bez wyjątku prowadzą się po niemiecku; język niemiecki służy ogólnie do parlamentarnego porozumiewania się, jakkolwiek dozwoloném jest w Radzie Państwa używać innego języka. Manipulacya w niemieckim języku w Radzie Państwa nie zostaje téż w związku z art. XIX zasadniczego prawa państwowego. Kwestya językowa nie powinna tu być wynikiem sporu między narodowościami, ale przeciwnie tworzyć ma węzeł łączący do porozumienia się między niemi. Trudno byłoby mocą prawa ustanowić jeden język jako urzędowy, bo nie możnaby tego pogodzić z brzmieniem artykułu XIX. Faktycznie potrzeba jest prowadzić w jednym języku rozprawy w parlamencie; ale zdaje się, że fakt nie potrzebuje już być ustanowiony prawem.

„Daléj trzebaby koniecznie zapytać, czy pod językiem państwowym nie ma być rozumiany język używany na sejmach? czy język niemiecki ma uchodzić za taki język państwowy dla sejmów? Minister musi to zostawić do osądzenia panom członkom komisyi, czy taki przepis prawny tyczący niemieckiego języka, jako języka pojedyńczych sejmów byłby możliwym do przeprowadzenia. Prezes ministrów stawia więc przedewszystkiém pytanie deputowanemu hr. Wurmbrand: *jak zamyśla określić pojęcie języka państwowego, w jaki sposób zamierza to pojęcie urzeczywistnić i przeprowadzając takowe w praktyce, do jakich korporacyj zastosuje?*

„Deputowany dr. Sturm (Niemiec z Morawii) uważa za stosowne na zapytanie prezesa ministrów odpowiedzieć innémi pytaniem: „co p. prezes ministrów rozumie pod językiem służbowym?“

„Prezes ministrów, hr. Taaffe oświadcza, że pod językiem służbowym rozumie język, którym posługują się c. kr. urzędy i władze, ale nie ten, w którym mają być redagowane podania stron lub załatwiane przez władze sprawy między stronami; słowem prezes ministrów ma na myśli wewnętrzny język urzędowy.

„Dep. hr. Wurmbrand (ze Styryi) podnosi ważność języka, w którym rozwija się narodowość, dążąc coraz bardziéj do samodzielności. Z narzeczy powstają języki, na których następnie opiera się poczucie narodowéj samoistności. Nic nie mogłoby być dla Austryi szkodliwszego jak takie dążenie objawiające się we wszystkich kierunkach. Równouprawnienie może być rozumiane jedynie między jednakowemi siłami i dla tego, prawo winno regulować według potrzeby obieg języków stojących na różnych stopniach rozwoju. Mówca wyprowadza z samego prawa, że każdy z trzech ustępów art. XIX (1) zasadniczego prawa z 21 grudnia 1867 r. charakteryzuje rozmaite stadya językowe i zakres praw różnie rozszerza, stosownie do tego, czy ma do czynienia z językiem ludowym, z językiem w kraju używanym, czy też z językiem historycznym. Te języki nie mają bynajmniéj jednakowych do państwa pretensyj i mieć ich nie mogą. Gdyby nawet każdemu z tych języków, w granicach jego cywilizacyjnego rozwoju, miało być nadane zupełne uprawnienie, to jeszcze pozostaje szerokie pole na właściwy państwowy moment, na język państwowy, który jako wyobrażający ogólne ramy daléj sięgać musi aniżeli język krajowy w granicach prowincyi. Najważniejszémi czynnikami języka państwowego są języki: armii, najwyższych władz i służby wewnętrznéj. Ostatni wzgląd pociąga za sobą konieczność dla rządu działania nie na drodze rozporządzeń, lecz na drodze prawodawczéj.

„Co się tyczy pretensyi języka państwowego do stania się wyłącznym w monarchii, to o niéj nie może być mowy choćby dla tego,

---

(1) Uważałem za nieodzowne przytoczyć tu raz jeszcze tekst art. XIX jako ilustracyą osobliwszego dowodzenia hr. Wurmbranda.

Art. XIX. 1. Wszystkie ludy w państwie są równouprawnione i każdy lud ma nietykalne prawo do strzeżenia i pielęgnowania swéj narodowości i swego języka.

2. Równo-uprawnienie wszystkich krajowych języków w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném jest przez państwo uznane.

3. W krajach gdzie mieszka kilka ludów, zakłady naukowe publiczne mają być tak urządzone, ażeby bez zastosowania przymusu do uczenia się drugiego języka krajowego, każdy z tych ludów znalazł odpowiednie środki do kształcenia się we własnym języku.

że prawo zasadnicze pozwala każdemu obywatelowi posługiwać się własnym jego językiem. Rząd myli się sądząc, że drogą rozporządzeń dojdzie do uspokojenia, do pojednania, bo rządy zmieniają się a z niemi zmieniają się rozporządzenia, które zawsze dadzą powód do skarg, albo do daleko sięgających pragnień narodowych.

„Dep. hr. Henryk Clam (Czechy) nie zaprzecza językowi niemieckiemu znaczenia środka jednoczącego ludność. W reprezentacyi zewnętrznéj, w armii, w organach reprezentacyjnych rady państwa, niemniéj jako wewnętrzny język urzędowy, ma swoje prawa, którym nikt nie chce zaprzeczać. Regulowanie zaś kwestyi języków sejmowych nie leży w kompetencyi rady państwa, a niemożliwym wydaje się deputowanemu projekt, posunięcia się jeszcze daléj i ogłoszenia języka niemieckiego za państwowy w stosunkach urzędów i władz ze stronami, obecna zaś chwila, jest, zdaniem jego najmniéj do tego stosowną.

„Dep. Dr. Tonkli (Słowak) uważa za bardzo pożądane wydanie rozporządzenia o języku dla trybunałów w okręgu Graz i Triest i spodziewa się, że rząd nakłoni najwyższy trybunał do wyrzeczenia się oporu przeciwko użyciu w sądach języka słowackiego.

„Dep. Prof. Czerkawski (Galicya). Wniosek Wurmbranda ma nie co innego na celu, jak przywrócenie na drodze prawnéj dawniejszego ujarzmienia narodowości a takiéj tyranii, mówca popierać nie może.

„Dep. hr. Hohenvarth (Kraina) pragnie tylko faktycznie stwierdzić znaczenie języka słowackiego, którego przed stu laty używano w sądach w Krainie, jako prawnie uznanego języka krajowego.

„Dep. Hausner (Galicya). Deputowany Wurmbrand sam wyrzekł, że język—to narodowość. Jeżeli więc pewien język ma być ogłoszony za państwowy, to będzie znaczyć nie co innego tylko, że narodowość, która się nim posługuje, wyniesiona będzie ponad inne, prawnie zupełnie zrównane narody. Byłoby to w zupełnéj sprzeczności z duchem i literą art XIX praw zasadniczych państwa.

„Na tem posiedzenie się kończy.“

Tyle sprawozdania korespondencyi Rady państwa. Pozostawiam czytelnikom sąd o tem, czy hr. Wurmbrand dał istotnie jasną i wyraźną odpowiedź na pytania zadane mu przez prezesa ministrów hr. Taaffe; ze sprawozdania jednak można już dość pewny wyprowadzić wniosek co do przyszłych losów całego wniosku, przypuszczając, że jeszcze zjawi się na porządku dziennym. Jakkolwiek już na ostatnich posiedzeniach Rady Państwa była o tém mowa w kołach parlamentarnych, że wniosek Wurmbranda nie będzie poddany pod dyskusyą w Izbie deputowanych, ponieważ, nawet lewica widziała

całą jego niewczesność, niemniéj przeto, obecnie (sierpień 1881 r.) wprowadzenie niemieckiego języka państwowego jest znowu głównym przedmiotem rozpraw dziennikarskich i zdawałoby się prawie jak gdyby całe stronnictwo konstytucyjne grupowało się dziś około wspólnego hasła: *Niemiecki język państwowy!*

W ostatnich czasach stawiano już stronnictwu konstytucyjnemu zarzut, że nie ma żadnego pozytywnego programu, że jest tylko stronnictwem przeczenia, partyą, dla któréj opozycya przeciw gabinetowi Taaffego jest sama przez się celem, wyłączającym wszelki inny program. Ten zarzut ma być prawdopodobnie teraz odpartym, słyszymy dziś bowiem i czytamy obecny program stronnictwa konstytucyjnego, wypowiedziany i wypisany jasno i wyraźnie w słowach: *niemiecka hegemonia a zatem i niemiecki język państwowy.*

Stronnictwo konstytucyjne, które już było bliskiem spadnięcia do znaczenia prostéj koteryi ludzi chciwych, a zatém i żądnych panowania, ma się teraz odrodzić jako stronnictwo *narodowo-liberalne.* Na podstawie silnie jakoby rozbudzonego poczucia narodowego, cała niemiecka ludność Austryi, ma zostać przykutą do stronnictwa i tym to sposobem koterya spodziewa się cele swoje osiągnąć.

Ażeby jednak ludność niemiecką usposobić odpowiednio do tego celu, trzeba jéj dowieść:

1-o że Niemcy są właściwemi założycielami monarchii austryackiéj, że Niemcy jedynie są filarami jedności państwa austryackiego, a zatém właściwemi wyobrazicielami idei politycznéj Austryi. Do Niemców więc należy niezaprzeczone prawo do politycznego kierownictwa w tém państwie i dla tego język niemiecki musi być językiem państwowym w Austryi.

2-o Ale przy ministeryum Taaffego, który ze swoim programatem pojednawczym, chce tylko zwieść łatwowiernych, Niemcy są faktycznie na drugi plan odsunięci, uciśnieni i przeznaczeni, szczególniéj w Czechach i Morawii, na ofiary *bohemizacyi.* Więc precz z gabinetem Taaffego i precz z Czechami!

Te myśli wypowiedziane tutaj krótko i węzłowato, powtarzają się z wszelkiemi możliwemi waryantami w przemowach różnych przywódców stronnictwa konstytucyjnego i w artykułach wstępnych dzienników téj partyi, która stara się wszelkiemi siłami wznieść na téj podstawie ogólne polityczne wyznanie wiary dla całéj niemieckiéj ludności w Austryi. Jeżeli mimo to wyraziłem nadzieję, że tu właśnie w Czechach zbliżyliśmy się do stanowczego porozumienia i pojednania z Niemcami, to nie sądzę, abym się uwikłał w sprzeczność, bo spodziewam się przekonać czytelnika, że przywódcy stronnictwa konstytucyjnego nie osiągną celu, który sobie założyli.

Weźmy najprzód *niemiecki język państwowy*. Nie mam zamiaru dowodzić tu powtórnie, że nie Niemcy założyli monarchią austryacką, ale to muszę stanowczo wypowiedziéć, że nie jedni tylko Niemcy mogą przypisywać sobie zasługę podtrzymywania téj monarchii w całości. Gdyby przyszło do tego, żeby Madiarowie, Polacy, południowi Słowianie i Rumuny nie chcieli myśléć o utrzymaniu w całości monarchii austryackiéj, to niewątpliwie Niemcy nie utrzymaliby téj monarchii, wbrew otwarcie wyrażonéj woli tych narodów. Nie należy więc robić z siebie coś ważniejszego, potężniejszego aniżeli jest w istocie, a przedewszystkiém nie trzeba stawiać aksiomatów, którym fałsz zadają dzieje i faktyczne stosunki.

Że obecnie niemiecki język jako język państwowy nie da się już wprowadzić, ani w królestwie węgierskiem, ani w Królestwie Galicyi, ani nawet w Dalmacyi, zauważyłem już przedtem; że go nie potrzeba wprowadzać w arcyksięztwie austryackiém, w Salzburgu i w Tyrolu—to wiadomo każdemu kto wie, że te prowincye, oprócz tyrolskiego Trentino, są krajami zupełnie niemieckiemi. W Styryi, Krainie i Karyntyi niebezpieczeństwo zagrażające żywiołowi niemieckiemu nie jest znowu tak wielkie. Pozostają więc Czechy i Morawia jako terytoryum, dla którego właściwie ma być potrzebne prawne ustanowienie języka niemieckiego jako państwowego, w celu zabezpieczenia w tych krajach na podstawie prawnéj uprzywiliowanego stanowiska Niemców.

Według planu stronnictwa konstytucyjnego, nadanie niemieckiemu językowi charakteru państwowego, ma podnieść Niemca w Czechach i w Morawii do godności prawdziwego, właściwego obywatela austryackiego, przy którym Czech będzie tylko tolerowany, jako tubylec faktycznie tam osiedlony. Niemiec byłby w takim razie uważany dla swego niemieckiego języka, który miałby wyłączny przywilej języka państwowego, za wyłącznie do służby państwowéj uzdolnionego, nie z tytułu posiadania potrzebnych wiadomości lub umysłowego uzdolnienia, ale na zasadzie języka którym mówi. Niemiec byłby w takim razie zupełnie jak dawniéj *Civis romanus*—właściwym *civis austriacus*; jego tylko język byłby w użyciu w urzędzie, w jego języku załatwianoby sprawy w sądach, jego język byłoby wyłącznie słychać w życiu publiczném a w końcu naturalnie, w jego języku udzielanoby publiczną oświatę, bo Niemiec nie miałby potrzeby uczyć się jakiegobądź innego języka, mogąc żądać, aby każdy nie niemiec, którýby chciał głos podnieść w publiczném życiu, przyswoił sobie język niemiecki. Wszelki handel prowadziłby się wkrótce tylko w niemieckim języku, jako ściśle związanym z urzędem i z sądem i wkrótce doszłoby do tego, że Czech nie mógłby ze swoim językiem

pokazać się w żadnym sklepie. Wtedy byłby osiągnięty właściwy cel niemieckiego stronnictwa konstytucyjnego, uprzywiliowane stanowisko Niemców w Czechach i w Morawii byłoby uratowane i możnaby radykalnie zaradzić zczeszczeniu Austryi."

Ale czy taki cel jest rzeczywiście do osiągnięcia, dziś, w drugiéj połowie XIX stulecia? Chciéć być jednocześnie liberalnym i ujarzmiać całe narody, reprezentować humanitaryzm i jednocześnie eskamotować całym narodom naturalne prawa człowieka—jest-to zadanie, oczewiście nad siły austryackiego stronnictwa konstytucyjnego. Chciéć tak tłómaczyć art. XIX zasadniczych praw państwa, że polityczne równouprawnienie wszystkich austryackich ludów, to znaczy właściwie: podnieść język niemiecki na podstawie prawnéj do znaczenia języka państwowego, jest-to arcydzieło interpretacyi, na które nie zdobędą się panowie z partyi konstytucyjnéj. Mówią oni wprawdzie, że to wszystko nieodzownie jest potrzebne do utrzymania monarchii austryackiéj; ale niestety, najgorliwsi z tych panów już się wygadali, że to jest nieodzownie potrzebném dla utrzymania uprzywiliowanego stanowiska Niemców w Czechach i w Morawii, a na to musi im odpowiedziéć każdy uczciwy Niemiec w Czechach i Morawii, że jest wielka różnica między temi dwoma nieodzownemi koniecznościami i że on sam, nie czuje się zgoła ani uprawnionym ani powołanym, do przerobienia swego słowiańskiego ziomka na obywatela drugiéj klasy. Stronnictwo konstytucyjne zapisuje jako artykuł swego nowego politycznego programatu, coś, czego, po pierwsze, nie zdoła przeprowadzić i za co, powtóre, nie zjedna sobie ani niepodzielnych sympatyj, ani ogólniejszego współdziałania Niemców w Czechach i w Morawii, a tém mniéj w całéj Austryi.

Drugi punkt programu: *precz z Taaffem*, nie jest właściwie żadném nowém hasłem bojowém partyi, która się sama zwie jedynie uzdolnioną do rządzenia, choć temu jéj twierdzeniu sam sposób prowadzenia opozycyi przeciwko Taaffemu wyraźny kłam zadaje. Opozycya, która nie tylko uważa się za zdolną do rządzenia, ale nawet jak właśnie partya konstytucyjna, śmielsze głosi twierdzenie, że jest w Austryi *jedynie* do rządów uzdolnioną, powinnaby mieć zawsze przed oczyma złote prawidło: *Est modus in rebus*; tymczasem *modus*, którym nasza partya konstytucyjna już od dwóch lat prowadzi opozycyą przeciwko gabinetowi, jest dla każdego myślącego człowieka wymownym dowodem, że ta partya jest właśnie niezdolną do rządzenia, niezależnie od faktu, że właśnie przed dwoma laty, po dwunastoletnich rządach, dostatecznie przed całym światem dowiodła swéj nieudolności do dalszego prowadzenia spraw państwa. Systematyczném występowaniem przeciw wszelkiéj jakiejbądź

czynności rządu, odmawianiem budżetu, dziecinném lżeniem pojedyńczych ministrów, konspiracyami z galeryową publicznością przeciwko Izbie deputowanych, wiązaniem się z warcholskiemi żywiołami ulicy, przeciwko własnym kolegom, nie dowodzi żadna partya swego uzdolnienia do rządów, bo tu właśnie da się zastosować złota zasada: *Est modus in rebus*!

Hr. Taafe postawił sobie za zadanie pojednać zwaśnione narodowości w Austryi i każdéj z nich zapewnić te prawa i swobody, których może się domagać na gruncie konstytucyi. Tak zwane stronnictwo konstytucyjne, które samo sobie powinno było postawić za zadanie, nietylko przeprowadzić istniejącą konstytucyą a zatem i art. XIX zasadniczych praw państwa, ale przeprowadzić to wszystko w sposób najliberalniejszy, bo przecie chce wyłącznie reprezentować nowoczesny liberalizm, ta partya ma teraz dla *polityki pojednawczéj* dla *programatu pojednawczego* hr. Taafego, tylko żarty i szyderstwo; a kiedy już, agitacyami i podżeganiami dokazała tego (jak to daléj zobaczymy) że Czechy i Niemcy za łby się wzięli, wtedy nie wstydzi się tryumfująco całemu światu głosić: „oto macie owoce pojednawczéj polityki hr. Taafego.“

Ale dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie, a ten dzban którym niemiecka partya konstytucyjna chce czerpać z mętów niższych namiętności tłumów, rozbije się niewątpliwie, mógłbym nawet twierdzić że już jest pęknięty. Stronnictwo konstytucyjne postawiło obecnie wszystko na jednę kratę i na tę kartę nie wygra. Jéj hasło bojowe: „hr. Taafe jest przeciw Niemcom, więc do szeregów wszyscy Niemcy w Austryi i pomóżcie nam obalić Taafego,“ zawiera w pierwszéj części oczywistą nieprawdę, a z oczywistemi fałszami nie można przypisywać sobie zdolności rządzenia. Hr. Taafe nie jest wrogiem Niemców, bo sam jest Niemcem; ale hr. Taafe jako minister Jego c. k. mości cesarza austryackiego, jest przedewszystkiém austryakiem, i ma silne przekonanie, że w monarchii austryackiéj niemiecka hegemonia nie jest potrzebną, a panowanie samolubnéj koteryi wiernokonstytucyjnych, zupełnie jest zbytecznem, a nawet szkodliwém.

Ponieważ więc wielu Niemców w Czechach rozumie, że gabinet Taafego nie jest bynajmniéj nieprzyjaźnie dla Niemców usposobiony, a Austrya musi mieć rząd, któryby umiał być sprawiedliwym dla wszystkich jéj ludów, więc też nie uda się tak zwanej partyi konstytucyjnéj wezwać Niemców w Austryi do pospolitego ruszenia przeciwko gabinetowi Taafego, nie zdoła zatém przeprowadzić i tego punktu swego programu i musi coraz bardziéj tracić na wpływie i znaczeniu.

Trzeciego punktu: *Precz z Czechami* nie wypowiada wprawdzie urzędownie stronnictwo konstytucyjne, ale za to organa partyi, tak wyraźnie w praktyce go stosują, że można go bezpiecznie za organiczną część programu uważać. Naród czeski jest widocznie główną przeszkodą wchodzącą w drogę partyi konstytucyjnéj. Gdyby Czechów nie było, możnaby się ze Słowakami załatwić krótko węzłowato; gdyby Czechów nie było, prowincya czeska i Morawia byłyby już zupełnie niemieckie, i nie trzebaby już stawiać kwestyi, czy Niemcy mają być w tych krajach panami czy nie. Gdyby Czechy znajdowali się w tych krajach w mniejszości, wszystko mogłoby być wkrótce w porządku, bo mniejszość musiałaby się poddać większości. Otóż rzecz się ma odwrotnie, Czechy stanowią w Czechach $^3/_5$ ludności, w Morawii $^3/_4$; a pomimo to, według programu partyi konstytucyjnéj panowanie Niemców w Czechach i w Morawii ma być prawnie ustanowione i konstytucyjnie zabezpieczone. Niema więc innego środka tylko *precz z Czechami.*

Nie propaguje się wprawdzie wytępienia Czechów, na to nie pozwala humanitaryzm; ale skąpi im się tak równouprawnienia, obrzydza im się do tego stopnia dążności narodowe, poniżaniem wszystkiego co słowiańskie a wysławieniem tego co jako niemieckie ma mieć jedynie trwałą wartość, ażeby Czesi wiecznie zmuszeni byli jedynie w germanizacyi widzieć ratunek i upragnione odrodzenie. W tym celu Niemcy w Czechach i w Morawii muszą przedewszystkiém być przyuczeni do pogardzania i poniewierania Czechami; każdy Niemiec powinien być do tego doprowadzony ażeby jak ten Faryzeusz w Biblii, wyrażał swoje względem Czechów uczucie w słowach. Panie dziękuję ci że nie jestem jak tamten oto...

Pod tym względem partya konstytucyjna, jéj agitatorowie i wiedeńscy w prasie stronnicy, którzy i w niemieckich miastach w Czechach godnych znaleźli naśladowców, mogą sobie przypisać zasługę, że wytworzyli takie usposobienie w wielu kołach niemieckiéj ludności w Czechach; i co do tego nie trzeba uwodzić się złudzeniami, bo istotnie pierwszym objawem tak zwanego niemiecko-liberalnego nastroju jest wyraźna niechęć dla Czechów (1).

---

(1) Kąpielowa gazeta „Karlsbader Badeblatt“ N. 102 z 27 Sierpnia r. 1881 zawiera następujący artykuł:

„*Czesi w Karlsbadzie.* Pewien tutejszy nieskazitelny obywatel, który dotychczas z zasady nie prenumerował „Politika“ (niemiecki dziennik Czechów wychodzący w Pradze) ani nie gryzmolił nic na nowych dziesięcio-guldenowych banknotach (na tych banknotach z tekstem niemieckim po jednéj a madziarskim po drugiéj stronie dopisywano lub dodrukowywano w Czechach *plati deset zlatych*), ani téż nie bił niemieckich studen-

Ale właśnie w tém znalazło się lekarstwo na złe już wyrządzone przez agitatorów partyi konstytucyjnéj w Czechach i w Morawii. Nie każdy Niemiec w tych krajach zdolny jest obudzić w sobie takie niemiecko-narodowe usposobienie, którego pierwszym, zasadniczym warunkiem jest nienawiść i pogarda dla Czechów. Zobopólne węzły pokrewieństwa i przyjaźni zbyt są różnorodne, zetknięcie w publicznėm obcowaniu zbyt wielostronne, a umysłowe wykształcenie Niemców stoi na zbyt wysokim stopniu, ażeby mogli ze ślepą powolnością i niewolniczém posłuszeństwem przyjmować wszystko i czynić wszystko co im partya konstytucyjna narzucić chce jako sprawę stronnictwa, lub do czego ich wezwie w interesie stronnictwa. Kiedy spalił się narodowy teatr czeski w Pradze, wielu Niemców przysłało nam składki na odbudowanie, a wiedeńska „Neue freie Presse“ spóźniła się z dowodzeniem, że właściwie porządny Niemiec nie powinien tego robić.

Stronnictwo konstytucyjne widzi w Czechach jedynie przeszkodę, i najchętniejby ją pragnęła usunąć, ale bardzo wielu Niemców w Czechach i w Morawii, mimo karność stronniczą, któréj się poddali, widzą tylko bratni naród, który z nimi pracuje, z nimi płaci podatki i który, ponosząc z nimi razem wszelkie ciężary nakładane przez państwo, może też niewątpliwie mieć pretensyą do używania wszelkich praw zapewnionych obywatelowi każdego dobrze urządzonego państwa.

---

tów (alluzya do sprawy w Kuchelbad z 28 Czerwca r. 1881, o któréj późniéj szczegółowo mówić będę) otrzymał przed kilku dniami drukowaną odezwę która w skutku gruntownéj narady z gospodarzem domu i z kucharką okazała się czeskiem zaproszeniem na zebranie odbyte w dniu 20 Sierpnia r. b. w Hotelu „Friedrich Wilchelmsthal“ przez przyjezdnych na kuracyą do Karlsbadu i mieszkających tu stale Czechów i mające niby na celu założenie czeskiéj biblioteki w Karlsbadzie. Myśl jest tak naiwna że pod nią musimy domyślać się zupełnie czego innego i nie omylimy się twierdząc że to jest początek założenia „Besedy“ w mieście w którém przed rokiem odbył się wiec niemieckiego stronnictwa. Pozostawiamy chętnie krawcowi i rękawicznikowi reprezentującym tu żywioł czeski, swobodę wypłakania się pospołu z ziomkami, z wielkiego bolu nad bezustannemi wyzywaniami Niemców, ale nie przypuszczamy aby uważano miasto nasze za najwłaściwszą arenę do czeskiéj propagandy; nieco ostrożności nie zaszkodzi, jeżeli niemiecki Karlsbad, chce pod każdym względem zachować swój prawdziwie niemiecki charakter.“ Tyle dziennikarz karlsbadzki. Co do saméj rzeczy uczynię tu tylko uwagę ze chodzi tu nie o „czeską“ ale o „słowiańską“ bibliotekę, w któréj mogą być reprezentowane wszystkie słowiańskie literatury ponieważ właśnie „niemiecki“ Karlsbad, nic pod tym względem nie robi dla swoich słowiańskich gości kąpielowych. Sąd o takiém dziennikarstwie w miejscu, które chce mieć sławę europejskich kąpieli, pozostawiam każdemu myślącemu czytelnikowi.

Dla tego to stronnictwo konstytucyjne nie zdoła praktycznie przeprowadzić ani trzeciego punktu swego programatu działania. Partya zaś polityczna stawiająca programata nie do przeprowadzenia nie jest znowu takim strasznym przeciwnikiem, jakkolwiek zostanie niewątpliwie na długo jeszcze przeciwnikiem, niewygodnym tak dla nas, jak dla gabinetu Taafego, bo osobliwszych używa środków i dróg do osiągnięcia swego celu, lub przynajmniéj do pomięszania szyków swemu przeciwnikowi. Można to było widzieć przy załatwianiu kwestyi uniwersytetu czeskiego i przy wyzyskiwaniu słynnych „excesów prazkich“ na cele stronnictwa.

Do rzędu narodowych pragnień Czechów należy także utworzenie czeskiego uniwersytetu w Pradze. Ministeryum Taafe okazało się skłonném, do uwzględnienia tego słusznego życzenia i chodziło tylko o praktyczny *modus.*

Taki modus praktycznego przeprowadzenia tego co naród czeski, w stosunku do kwestyi uniwersytetu uważa również za postulat poręczonego w art. XIX równouprawnienia narodowego, był naturalnie od dawnego czasu przedmiotem gorących rozpraw w czeskich kołach, a szczególniéj między czeskimi profesorami uniwersytetu prazkiego. Po nowém wejściu czeskich deputowanych do rady państwa (w Październiku r. 1879), a mianowicie po wręczeniu znanego memoryału czeskich deputowanych do Rady państwa, prezesowi ministrów hr. Taafe (na początku r. 1880), rozprawy te nabrały praktycznego znaczenia i skierowały się ku dotykalnemu celowi, przez odpowiednie rokowania posłów czeskich z gabinetem, których ostatecznym wynikiem było odręczne pismo cesarza z d. 11 Kwietnia r. 1881 a następnie dwa projekta rządowe w sprawie Uniwersytetu Karola Ferdynanda przedstawione Radzie państwa w Maju r. 1881.

Listem odręcznym do ministra oświaty rozkazuje cesarz ażeby uniwersytet prazki składał się odtąd z dwóch uniwersytetów z językami wykładowemi niemieckim i czeskim i żeby oba uniwersytety nosiły wspólną nazwę Carolo-Ferdinandea. W uniwersytecie z czeskim wykładem mają być otwarte od 1 Października r. 1881 dwa fakultety: filozoficzny i prawny.

Co do egzaminów urzędowych, Jego cesarska mość poleca ministrowi oświaty zaproponować takie normy, któreby dawały rękojmię, że nikt z uczących się w uniwersytecie z czeskim wykładem nie będzie mógł wstąpić do służby publicznéj, nie wykazawszy doskonałéj znajomości języka niemieckiego, jak również wprawy we władaniu nim. Nadto poleca się ministrowi poczynić stosowne kroki do przepro-

wadzenia powyższych środków jak również do nadania téj sprawie biegu zgodnego z konstytucyą i do przedstawienia odpowiednich wniosków.

Oba projekta rządowe (prawo tyczące uregulowania stosunków prawnych i porządku studyów na c. k. Uniwersytecie w Pradze i prawo tyczące dodatkowego kredytu 23.000 fl.) muszą być uważane jako wynik porozumienia się rządu z Czechami. Pierwotnie zgodzono się na to, że utworzenie uniwersytetu czeskiego w Pradze dokonaném będzie drogą prostego rozporządzenia; ale ponieważ stronnictwo konstytucyjne oświadczyło w ostatniéj chwili, że będzie głosować za odpowiedniém prawem, więc wybrano drogę prawodawczą dlatego, że szczególniéj sfery rządowe łudziły się nadzieją, iż tym sposobem można będzie przyczynić się do załagodzenia narodowych waśni w Czechach. Nikt wtedy nie przypuszczał, ażeby ta gotowość stronnictwa konstytucyjnego mogła być tylko fortelem wojennym i wyłącznym celem przeszkodzenia projektowi czeskiego uniwersytetu.

Oba projekty rządowe wniesione były do Rady Państwa 16 maja 1881 r., 17-go maja wydrukowano je i rozdano, a 19 maja odbyło się pierwsze czytanie, po którém pierwszy projekt odesłany był do komisyi oświecenia, drugi do komisyi budżetowéj do przygotowawczego przedyskutowania i sprawozdania.

Poniżéj zestawiam pierwotny projekt rządowy i poprawione prawo, takie jakie wyszło z przygotowawczych obrad komisyi oświecenia, następnie zaś wyłuszczę odpowiednie uwagi:

Projekt rządowy.	*Wniosek komisyi oświecenia.*
Prawo z... tyczące uregulowania stosunków prawnych i porządku studyów w Uniwersytecie Karola Ferdynanda w Pradze.	Prawo z... tyczące c. k. Uniwersytetu Karola Ferdynanda w Pradze.
Za zgodą obu Izb Rady państwa, uważam za stosowne rozkazać co następuje:	Za zgodą obu Izb Rady Państwa, uważam za stosowne rozkazać co następuje:
§ 1.	§ 1.
Fundusz korporacyjny należący do prazkiego Uniwersytetu Karola Ferdynanda lub do pojedyńczych fakultetów, stanowić ma, od chwili kiedy utworzone	Od początku zimowego semestru 1881—1882 r. istnieć będą w Pradze dwa uniwersytety, mianowicie: „c. k. niemiecki uniwersytet Karola Ferdynanda“

będą pod jedną nazwą *Carolo-Ferdinandea* dwa uniwersytety: jeden z niemieckim, drugi z czeskim wykładem, wspólne mienie obu uniwersytetów czy też odpowiednich fakultetów.

i „c. k. czeski uniwersytet Karola Ferdynanda.“

Na niemieckim uniwersytecie, wyłącznie wykładowym językiem jest niemiecki, na czeskim — czeski. Używanie łacińskiego języka pozostaje w dotychczasowéj rozciągłości.

Oba uniwersytety są pod względem pomieszczenia oddzielone i mają odrębną organizacyą i oddzielny zarząd.

§ 2.

Od tego samego czasu, oba uniwersytety mają być uważane za równouprawnione pod względem fundacyj, w myśl których zarząd, rozdawnictwo lub prawo prezenty, przysługuje senatowi akademickiemu lub oddzielnym kolegiom profesorskim, wszakże o tyle o ile akty fundacyjne nie zawierają przeciwnych rozporządzeń.

Przepisy szczegółowe co do sposobów korzystania ze wspólnych praw przysługujących obu uniwersytetom co do zarządu, rozdawnictwa i prezenty w takich fundacyach, wydane będą przez ministra oświecenia po uprzedniém porozumieniu się z obu uniwersytetami.

§ 2.

Profesor lub prywat docent może należyć tylko do jednego z dwóch uniwersytetów.

Student może być zapisany tylko do jednego z dwóch uniwersytetów, ale może także w drugim uniwersytecie uczęszczać na prelekcye w charakterze nadzwyczajnego słuchacza, jeżeli słucha przynajmniej połowy godzin w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany. Prelekcye słuchane w innym uniwersytecie, mogą mu być tak liczone, jak gdyby na nie uczęszczał w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany.

§ 3.

Studyujący nie może być jednocześnie w obu uniwersytetach zapisany, pozwala się jednak każdemu zapisanemu w jednym uniwersytecie uczęszczać na pre-

§ 3.

Majątek należący do uniwersytetu prazkiego Karola Ferdynanda, ma być odtąd uważany za wspólne mienie obu uniwersytetów czy też fakultetów.

lekcye w drugim, a te prelekcye będą mu tak liczone, jak gdyby na nie uczęszczał w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany.

Co się tyczy fundacyj, których administrowanie, rozdawnictwo lub prezentacya przysługuje senatowi akademickiemu, rektorowi lub pojedyńczym profesorskim kolegiom, oba uniwersytety są równouprawnione, o ile akta tych fundacyj nie zawierają ograniczających rozporządzeń.

Bliższe określenie sposobów korzystania ze wspólnych praw przysługujących obu uniwersytetom, co do administrowania rozdawnictwa i prezentacyi takich fundacyj ustanowione będą przez ministra oświaty po porozumieniu się z obu uniwersytetami.

§ 4.

Ministrowi wyznań i oświaty poleca się wykonanie tego prawa.

§ 4.

Powyższe przepisy prawa mają być wprowadzane w miarę funkcyonowania fakultetów uniwersytetu czeskiego.

§ 5.

Ministrowi wyznań i oświaty poleca się wykonanie tego prawa.

Do projektu do prawa dodane były dwie następujące rezolucye:

1). Wzywa się rząd c. k. ażeby istniejące przy c. k. uniwersytecie urządzenia, zbiory i Instytuta zostawił przy tych katedrach, do których były dotąd przywiązane, z wyjątkiem ogrodu botanicznego i tych klinik, które niepotrzebne są niemieckiemu fakultetowi medycznemu, a mogą być pożyteczne przy funkcyonowaniu fakultetu medycznego czeskiego uniwersytetu.

2). Wzywa się rząd c. k. aby na uniwersytecie czeskim Karola Ferdynanda w Pradze, w którym fakultety prawny i filozoficzny mają

wejść w życie od zimowego semestru 1881—1882, zarządził otwarcie fakultetu medycznego z początkiem zimowego semestru 1882—1883.

Wspomniałem już wyżéj, że stronnictwo konstytucyjne oświadczyło ogólnikowo, że jest skłonném i gotowém głosować za prawem tyczącém utworzenia uniwersytetu czeskiego w Pradze. Członkowie lewicy (czyli partyi konstytucyjnéj) powtórzyli w komisyi oświecenia tę samę deklaracyą w imieniu swego stronnictwa, ale z dodatkiem, że prawo musi w niektórych punktach uledz poprawkom, jeżeli partya ma za nim głosować.

Pierwsza poprawka, którą przedstawili członkowie stronnictwa konstytucyjnego w komisyi oświecenia, ściągała się do rozstrzygnięcia kwestyi zasadniczéj rzeczywistego znaczenia. Niemcy złożyli już dawniéj w sprawie uniwersytetu deklaracyą, że nie mieliby nic do nadmienienia przeciw utworzeniu czeskiego Uniwersytetu w Pradze, jeżeli ten uniwersytet będzie uważany za nową mającą się dopiéro utworzyć instytucyą. Według twierdzenia partyi, uniwersytet Prazki był „pierwszym uniwersytetem w Niemczech" a tém samém należy wyłącznie do Niemców. Uniwersytet zatém dla Czechów musi być utworzony przy tamtym ale bez żadnéj z nim łączności.

Czesi twierdzili przeciwnie, że uniwersytet prazki założony był przez Karola I (jako cesarza niemieckiego Karola IV) głównie dla kraju czeskiego, Czesi więc mają w tym kraju równe do uniwersytetu prawo jak Niemcy w Czechach; myśl więc utworzenia nowego czeskiego uniwersytetu przy istniejącym już niemieckim, odrzucali Czesi, wyrażając natomiast życzenie, ażeby w uniwersytecie prazkim założonym w 1348 r., przeprowadzona była zasada równouprawnienia obu mieszkających w Czechach narodowości, t. j. żeby i w tym zakładzie naukowym pierwszeństwo, albo ściśléj mówiąc uprzywiliowana pozycya niemieckiego żywiołu, ustąpiła miejsca zupełnemu zrównaniu w prawach obu narodowości. Praktyczne urzeczywistnienie tego narodowego życzenia widzieli Czesi w podwójnych kolegiach profesorskich czeskich i niemieckich, przy każdym fakultecie, z których każde miałoby całkowite prawa kolegium profesorskiego, przyczém jednak mowy nie było o rozdziale uniwersytetu, bo miał być wybierany tylko jeden rektor, w jednym roku Niemiec, w następnym Czech, a następujący rektor miał *eo ipso* pełnić w następnym roku obowiązki prorektora.

Według tego planu uniwersytet prazki stałby się szkołą wyższą odrębnego rodzaju, ale wszyscy nieuprzedzeni w téj sprawie, nawet uznane powagi między niemieckimi profesorami uniwersytetu prazkiego, wyrazili przekonanie, że urządzony w ten sposób uniwersytet prazki, w którym żywioły niemiecki i słowiański w pokojowém

współubieganiu się uprawiałyby naukę, wywierałby potężną siłę przyciągającą na całą słowiańską wschodnią Europę, na czém nawet niemieccy profesorowie, zaniepokojeni z powodu kwestyi o pieniądze za kolegia, dobrzeby wyszli.

Z § 1 projektu rządowego okazuje się widocznie, że ten plan Czechów wobec stanowczego oporu Niemców, nie mógł być w praktyce przeprowadzony i że ze względu na panujące okoliczności, starano się przez utrzymanie wspólnéj nazwy Karolo-Ferdinandea i przez legalnie stwierdzoną wspólność majątku uniwersyteckiego i fundacyj, obwarować stanowisko ciągłości prawa.

Niemieckie stronnictwo konstytucyjne, wymagało jednak jak się pokazuje z poprawionego § 1 prawa, wyraźnego wypowiedzenia rozdziału obu uniwersytetów, a szczególniéj nalegało na wprowadzenie zamiast wspólnéj nazwy, dwóch nazw c. k. *niemieckiego* uniwersytetu Karola-Ferdynanda i c. k. *czeskiego* uniwersytetu Karola Ferdynanda.

Jakkolwiek chodziło tu o zasadniczą kwestyą, w któréj Czesi zrobili już i tak daleko sięgające ustępstwa, głosowali przecież za tą zmianą, szczególniéj dla tego, że członkowie stronnictwa konstytucyjnego, oświadczyli powtórnie w imieniu swéj partyi w Komisyi oświecenia, że stronnictwo tylko w takim razie za całém prawem głosować będzie.

Gdy tak zrobiony już został pierwszy krok na drodze przyjmowania żądanych poprawek w projekcie rządowym, nie pozostało nic innego jak pójść do końca, zawsze w nadziei jednogłośnego zawotowania prawa w Izbie zebranéj w pełnym komplecie.

Zgodzono się więc ze strony Czechów na wszystkie te punkta, według których wszelki tak zwany *utrakwizm* na obu uniwersytetach miał być prawnie wykluczony i na niemieckim niemiecki język, na czeskim czeski jako język wyłącznie wykładowy, postanowiony, a żaden profesor nie miał jednocześnie należyć do obu uniwersytetów.

Przyjęto również zmianę, że każdy student słuchać ma przynajmniéj połowę godzin w tym uniwersytecie, w którym jest zapisany, w którym to wniosku Niemcy powodowali się widocznie zamiarem, zmniejszenia liczby studentów zapisujących się do uniwersytetu czeskiego.

Nie sprzeciwiali się wreszcie czesi dodaniu § 4, jakkolwiek i w téj poprawce wyraźnie na jaw wychodzi intencya niesprzyjająca przeprowadzeniu całego prawa. Słowem w komisyi oświecenia Izby deputowanych, zrobiono ze strony Czechów wszystko, co można było zrobić, ażeby pozyskać dla prawa głosy całéj Izby przyrzeczone wy-

rażnie przez członków partyi konstytucyjnéj, jeszcze przy zamknięciu obrad w téj komisyi.

Poprawiony w ten sposób projekt rządowy przyszedł w dniach 30 i 31 maja 1881 r. pod dyskusyą i uchwałę.

Odczytałem właśnie uważnie w stenografowanym protokóle mowy w tych dniach wypowiedziane. Zaraz pierwszy mówca stronnictwa konstytucyjnego, baron von Scharschmid odsłonił w zupełności karty swojéj partyi i doniósł nam, że wszyscy którzy spodziewali się pojednawczego załatwienia téj sprawy, byli w grubym błędzie. Postawił i motywował następujący wniosek odroczenia.

„Projekt do prawa tyczący stosunków prawnych i porządku studyów w uniwersytecie Karola Ferdynanda w Pradze zwraca się komisyi z poleceniem przerobienia go na zasadzie rozdziału majątku, urządzeń, zbiorów i instytutów i równych praw między uniwersytetami i fakultetami, któreby w prawie szczegółowo wyłuszczone były. Jednocześnie wzywa się rząd, aby zakomunikował Izbie deputowanych całkowity plan działań, które z powodu utworzenia nowego uniwersytetu w Pradze, powinny być zarządzone.“

Przez przyjęcie tego wniosku, musiałoby naturalnie odwlec się zamierzone otwarcie dwóch fakultetów czeskiego uniwersytetu dnia 1 października 1881 r., odrzucenie wniosku wykluczało znów tyle pożądaną jednogłosność w przyjęciu całego prawa.

Zbytecznem byłoby dodawać, że gorące odwołanie się drugiego mówcy, hr. Richarda Clam-Martinica, do mniemanego pojednawczego usposobienia niemieckich deputowanych z Czech, zostało bez żadnego skutku; wszystkie dalsze mowy przedstawicieli partyi konstytucyjnéj, dostarczyły tylko dowodów, że pojednawczych intencyj z téj strony faktycznie nie ma, że członkowie stronnictwa konstytucyjnego dawali w komisyi oświaty zapewnienia, do których widocznie nie byli upoważnieni i że właściwie, przeważa w tém wszystkiém wyraźny zamiar, o ile możności do ostatniéj chwili zwlekać z utworzeniem nowego czeskiego uniwersytetu.

O wszystkich przedstawionych przez stronnictwo konstytucyjne w ciągu dwudniowych rozpraw projektach zmian, nie mam zamiaru wspominać, bo wszystkie zdążały do jednego celu, do oznajmienia, że partya konstytucyjna nie może głosować za prawem; przytaczam tylko dosłownie wniosek dep. Granitscha, jako mający odrębne znaczenie. Brzmi on jak następuje:

„§ 5. Rząd wyda rozporządzenie dające wszelką gwarancyą, że nikt, ze studyujących na uniwersytecie z czeskim językiem wykładowym, nie będzie mógł wstąpić do jakiej bądź gałęzi służby pu-

blicznéj, nie wykazawszy zupełnéj znajomości języka niemieckiego jak również wprawy we władaniu tym językiem."

Wszyscy ci, którzy uważali za zupełnie zbyteczne uznanie na drodze prawodawczéj języka niemieckiego za język państwowy, dostrzegli tu jawny zamiar wcisnąć ten przepis do prawa, w którém jest zupełnie niepotrzebnym, a nadto widzieli jawną intencyą stronnictwa konstytucyjnego, motywowania jednym argumentem więcéj faktu niegłosowania za całém prawem. I tak w dniu 31 maja 1881 r. o godzinie 2 po południu w Izbie deputowanych stracono już ze wszystkich stron nadzieję, ugruntowaną dotąd na uroczystych zapewnieniach, że zawotowanie tego prawa będzie aktem pojednawczym względem narodu czeskiego.

Posiedzenie zostało przerwane, komisya oświecenia zgromadziła się w celu naradzenia się nad wnioskiem Granitscha i przedstawienia Izbie uchwały. Po godzinnéj naradzie, sprawozdawca prof. Kurčala, w imieniu większości komisyi oświecenia postawił następujący wniosek:

„Zważywszy, że najwyższém postanowieniem z d. 11 kwietnia 1881 r. zalecone zostało rządowi wydanie takich rozporządzeń, któreby dawały rękojmię, że nikt ze studyujących na uniwersytecie z czeskim językiem wykładowym nie będzie mógł wstąpić do jakiejbądź gałęzi służby publicznéj, nie wykazawszy zupełnéj znajomości języka niemieckiego jak również zdolności władania tym językiem; i w nadziei, że rząd c. k. wypełni to najwyższe zlecenie, jak mu to obowiązek nakazuje, wysoka Izba przechodzi co do wniosków dep. d-ra Granitscha do porządku dziennego."

Wniosek powyższy przyjęto bez rozpraw.

Pojedyńcze paragrafy projektu do prawa i obie rezolucye były również przyjęte, a sprawozdawca prof. Kurčala zaproponował zaraz trzecie odczytanie, które uchwalone zostało żądaną większością dwóch trzecich, poczém nastąpiło sławne owo ostateczne głosowanie.

Na ławach lewicy (stronnictwa konstytucyjnego) pokazało się wiele luk, bo ten i ów wyszedł; prawica była w komplecie.

Za prawem w trzeciem czytaniu głosuje cała zwarta prawica (Czesi, Polacy i partya Hohenwartha), Rusini i czterech członków klubu postępowego wbrew wyraźnemu tego klubu postanowieniu. Partya konstytucyjna głosuje przeciw, a z nią i członkowie komisyi oświecenia, którzy w imieniu całego swego stronnictwa dawali najuroczystsze przyrzeczenia.

Następnego dnia 1 czerwca Izba deputowanych została odroczona na czas nieograniczony.

Stronnictwo konstucyjne dopięło tym sposobem swego właściwego celu: projekta do prawa tyczącego utworzenia uniwersytetu czeskiego w Pradze, zostały niezałatwione, a zatém i samo otwarcie uniwersytetu musiało być odłożoném. Podejrzliwi ludzie z naszego obozu chcieli w tém widzieć potajemne porozumienie gabinetu Taaffego z partyą konstytucyjną; ja, nie mogę podzielać tego poglądu.

My Czesi, doszliśmy wśród tych okoliczności do głębokiego przekonania, że na pojednawcze usposobienie partyi konstytucyjnéj liczyć nie możemy; w tém przekonaniu mieliśmy wkrótce jeszcze bardziéj się utwierdzić i to w taki sposób, że nie można już było wątpić o nieprzejednanym téj partyi nastroju.

Przystępuję do tak zwanych „prazkich excessów“ z końca czerwca 1881 r., zostają bowiem w tak ścisłym związku ze sprawą uniwersytetu czeskiego, że można prawie stanowczo twierdzić, iż kwestya uniwersytetu czeskiego jest właściwą przyczyną excesów w Pradze w dniach 28 i 30 czerwca 1881 r.

Łatwo pojąć, że kwestya utworzenia uniwersytetu czeskiego, puszczona w obieg w 1880 r. a na wiosnę 1881 r. blizka rozstrzygnięcia, najwięcéj obudziła niepokoju w kołach niemieckich profesorów prazkiego uniwersytetu. Trzy względy odgrywały tu ważną rolę: 1-o nieprzyjemne dla wszystkich uszczuplenie honoraryów za kolegia; 2-o interesa stronnicze chciwéj panowania partyi konstytucyjnéj i po 3-cie interes ogólno-niemieckiéj agitacyi, uważanéj za misyą narodową między dość licznymi na uniwersytecie prazkim profesorami niemieckimi z cesarstwa niemieckiego (13 na samym fakultecie filozoficznym). Przez cały ten czas profesorowie niemieccy, obok redagowania memoryału do rządu, pracowali gorliwie nad obudzeniem między niemieckiemi studentami niechęci i oporu przeciwko utworzeniu uniwersytetu czeskiego. 13-go lutego 1881 r. na koncercie niemieckiéj studenckiéj korporacyi Teufonia, prof. Willkom wzywa niemieckich studentów do obrony mieniem i krwią niemieckiego charakteru uniwersytetu w Pradze i piętnuje dążenia Czechów słowami: *narodowe zuchwalstwo.* 27 czerwca 1881 r. na koncercie korporacyi Austrya, o któréj jeszcze później będzie mowa, a zatém w wigilią fatalnego 28 czerwca, kiedy nareszcie osiągnięto to, co chciano osiągnąć, dr. Neuwirth chwali niemieckich studentów za to, że nie krępowali się niczém w wyrażeniu swego przekonania, że charakter czcigodnéj *alma mater* jest i musi pozostać niemieckim, *jeżeli ma służyć za przybytek wiedzy i obyczajów studentów.*

Jaki miał być związek między nauką a studenckiemi obyczajami—tego nie wiem; ale co wtedy znaczyły w Pradze te studenckie obyczaje, świadczy najlepiéj następujący artykuł prazkiéj gazety „Politik“ z d. 22 czerwca 1881 r.

„*Skandale uliczne.*“ Od kilku dni powtarzają się w naszém mieście skandale, których początek przypisać należy stanowczo prowokacyom niemieckich studentów, tak zwanych kolorowych studentów, albo „Burszów.“ Bez wszelkiego powodu i z niewątpliwą intencyą ci skandaliści niepokoją i znieważają spokojnych przechodniów, z czego wynikają zbiegowiska i hałaśliwe sceny. Jest widoczny systemat w tych excesach, panowie bursze pracują z polecenia i mamy tu oczywiście do czynienia z częścią téj pozaparlamentarnéj akcyi, która była zapowiedzianą w przeszłym roku, kiedy centralistyczni posłowie wyjechali z Wiednia, a następnie manifestowała się słynnémi sejmikami, których obecnie nie zapowiadano publicznie, ażeby módz działać tém gwałtowniéj, bo nie byłoby znowu bardzo chlubném dla stronnictwa, powierzyć działanie polityczne rozbawionym studentom i jeszcze przyznawać się do tego pośrednictwa. Panowie bursze nic téż innego nie robią, tylko to co w przeszłym roku robili p. p. deputowani, przenoszą warcholstwo na ulicę, spokojnym przechodniom wytrącają parasole z ręki, znieważają innych słowem i czynem, słowem niczego nie zaniedbują w celu wywołania skandalu ulicznego. Zamiar zbyt jest widocznym, ażeby go zaraz nie dostrzedz, chodzi o zdyskredytowanie Pragi przez powtarzające się ekscesa, o osławienie naszéj stolicy jako ogniska demonstracyj i o zapełnienie dzienników skargami, na ucisk i niepokojenie Niemców.

W obec tego możemy tylko doradzać publiczności, ażeby na żadne prowokacye nie zważała, aby na nie odpowiadała milczeniem pogardy, na którą zasługują, a ukrócenie nadużyć pozostawiła władzom, których zadaniem jest czuwać nad spokojnością i bezpieczeństwem publiczném.

Jako ilustracyą powyższego, przytaczam tu jeden tylko fakt, stwierdzony przez wiarogodnego świadka (deputowanego czeskiego d-ra Podlipny). Dziesięciu czy dwunastu widocznie pijanych burszów przechodzą około północy z hałasem, bijąc kijami w pozamykane drzwi sklepowe przez *Wassergasse* i plac Ś-go Wacława na Graben. Tam stają w szeregu przed pałacem hr. Nostitza i krzyczą na całe gardło: Patrol, patrol! Kilku przechodniów przypatruje się temu widokowi, w końcu nadchodzi i patrol policyjny, a pp. bursze domagają się od niego obrony przeciw „prześladującéj“ ich publiczności.

Tym sposobem rozdrażnienie przeciwko niemieckim studentom, *nie przeciwko Niemcom wogóle*, doszło między czeską ludnością Pragi do wysokiego stopnia, ponieważ zresztą wiedziano powszechnie, że ci panowie korzystają z każdéj sposobności, aby okazać swoję pogardę dla słowiańskiéj narodowości. Jeden z „burszów“ publicznie wyprowadził na przechadzkę swego psa z przyczepionemi do ogona

trój kolorowemi słowiańskiemi barwami, na wstążce na któréj były wypisane słowa „czeski pies.“

Wskutku niezmordowanych usiłowań niemieckich profesorów, studenci uniwersytetu prazkiego rozdzielili się na dwa przeciw sobie występujące, jaskrawo wyodrębnione narodowe obozy, a czescy studenci wiedzieli bardzo dobrze, że niemieccy ich koledzy byli równie przeciwni utworzeniu czeskiego uniwersytetu jak niemieccy profesorowie.

27-go Czerwca niemiecka korporacya studencka „Austrya“ obchodzić miała 20-sto letnią rocznicę swego założenia. Dyrektor policyi prazkiéj, rozważywszy słusznie panujące stosunki i dobrze świadomy tego, że w Pradze powszechnie obwiniano o to policyą że przy wszystkich excessach niemieckich studentów zawsze bierze ich stronę, nie chciał pozwolić na uroczysty pochód niemieckich studentów, c. k. namiesnictwo dało nań swoje przyzwolenie. Pochód odbył się 27 Czerwca wieczorem z tém większą okazałością. Studenci niemieccy jechali w 30 blizko otwartych fiakrach w galowych strojach przez zupełnie niepotrzebne zakręty (z „Ferdinandstrasse“ przez „Obstgasse“, „Graben“ znów na „Obstgasse“ i „Ferdinandstrasse“, przez Nadbrzeże „Karlgasse“ „Hussgasse“ do konwiktu) do miejsca zgromadzenia, gdzie zebrał się tłum w części zaciekawionego w części rozdrażnionego ludu, który musiał być usuwany przez policyą, co naturalnie kosztowało wiele czasu i zachodu.

Komers odbył się bez przeszkody, ale usposobienie niemieckich studentów, roznamiętniło się jeszcze bardziéj obecnością niemieckich profesorów.

Na czwartek, 28 Czerwca, zaprojektowano wycieczkę korporacyi Austrya statkiem parowym do oddalonéj od miasta na godzinę drogi, miejscowości spacerowéj *Kuchelbad*, któréj nazwa z powodu wydarzonych tam w tym dniu wypadków nabrać miała smutnego rozgłosu. Niemieccy studenci w liczbie 50 wyjechali o 10-téj zrana do Kuchelbad. Przy odjeździe ich nic się nie wydarzyło. Na statku chcieli wywiesić niemiecką flagę, ale jéj zapomnieli.

Z naszéj strony stała się rzecz godna pożałowania że „Narodni listy“ umieściły tego samego dnia ogłoszenie zwracające uwagę zarówno treścią jak miejscem w dzienniku: „Dziś popołudniu rendezvous w Kuchelbad, kto może niech przyjeżdża do 4-téj, parowce szrubowe kursować będą całe popołudnie.“

Tego samego 28 Czerwca mężowie zaufania deputowanych sejmu i Rady państwa, do których i ja téż należę, zgromadzeni byli u dr. Riegera, radzili nad sytuacyą i nad tém co możnaby zrobić aby przeszkodzić starciu, które widocznie chcieli wywołać nasi przeciw-

nicy aby je przeciw nam wyzyskać; uznali, że o wpół do dwunastéj w południe niepodobna powstrzymać następstw, rozpowszechnionego od rana po całém mieście inseratu „Narodnich Listów" i postanowili nareszcie wysłać deputacyą do namiestnika i do dyrektora policyi, z prożbą aby władze usiłowały o ile możności zapobiedz starciu, które z naszéj strony bynajmniéj nie było pożądaném.

Tymczasem w Kuchelbad studenci niemieccy spożywali bez przeszkody, obstalowany obiad. Kiedy około 2 po południu ukazali się tam czescy studenci a z niemi czeska publiczność, kilku studentów niemieckich pojechało fjakrem do Pragi, do Namiestnictwa i prosili o zbrojną pomoc. Około 6 stawił się w Kuchelbad, wysłany w tym celu komisarz okręgu Smichowskiego, Hruby z 6 żandarmami do których, dopiéro około 8-éj z oddalonego Kōnigssaal przybyło jeszcze 12 żandarmów.

Przez cały ten czas nie stało się nic niepokojącego. Niemieccy studenci siedzieli pod zakrytą werendą gdzie im przygrywała muzyka; całą pozostałą przestrzeń w ogrodzie, zapełniała publiczność czeska w ilości około tysiąca ludzi, pomiędzy którymi niewiele więcéj czeskich studentów aniżeli niemieckich pod werendą; około 8-éj przyłączyła się do tłumu niewątpliwie żądna awantury młodzież z całéj okolicy. Przed werendą stało w szeregu 18 żandarmów.

Do 7-éj wieczorem nie przyszło właściwie do niczego nadzwyczajnego. Po siódméj wstali czescy studenci i reszta publiczności ze swoich miejsc i zaczęli śpiewać z odkrytemi głowami hymn austryacki.

Ponieważ niemieccy studenci pod werendą nie zwracali uwagi na tę manifestacyą, kilku czeskich studentów prosiło obecnego już z 6 żandarmami komisarza Hruby, ażeby wezwał niemieckich studentów do śpiewania wspólnie z czeskimi hymnu austryackiego. Komisarz nie mógł naturalnie nic innego zrobić jak uchylić się od tego żądania. Mimo to studenci czescy wraz z zresztą publiczności czeskiéj powtórzyli hymn znów bez udziału niemieckich studentów. Pod werendą musiały tymczasem odbyć się jakieś narady, których rezultatem były nareszcie dźwięki hymnu austryackiego. Czescy studenci podnieśli się natychmiast ze swoich miejsc, a z nimi i reszta publiczności i w potężnym chórze zabrzmiał hymn narodowy austryacki, pod werendą po niemiecku, w ogrodzie po czesku. Nie jeden czeski student śpiewał go wtedy z sercem przepełnioném krzepiącém przeświadczeniem, że się także przyłożył do demonstracyi politycznéj wielkiego znaczenia.

Komisarz Hruby, mając już przy sobie swoich 18 żandarmów, uznał chwilę za stosowną do zapobieżenia dalszym zawikłaniom; bo

już dawał się czuć wpływ zawadyackich żywiołów, z ostatnich szeregów czeskiéj publiczności, szklanki i butelki leciały na werendę. Czescy studenci oddalili się po dokonanéj z powodzeniem demonstracyi. Około 8-éj wieczorem komisarz wezwał niemieckich studentów, ażeby jeszcze przy dziennêm świetle oddalili się pod jego opieką, ponieważ przy zapadającéj ciemności, niebędzie w stanie dać im téj opieki. Niemieccy studenci odpowiedzieli, że statek obstalowali na 9-tą i będą czekać na przybycie parowca. Komisarz podjął się telegrafować do Pragi po nadzwyczajny pociąg, który za kilkanaście minut mógłby być na miejscu. Nie przyjęto téj propozycyi. O 9-téj kiedy przyszła wiadomość, że statek przypłynął, studenci wyruszyli w drogę. Hruby sformował swoją kolumnę. Ale studenci niemieccy chcieli wziąść stołki, aby się bronić przeciw temu co mogło się stać w ciemności. Gospodarz oparł się temu żądaniu, a tym sposobem wymarsz spóźnił się i kolumna rozbiła się.

Połowa studentów niemieckich doszła z żandarmami do parowca. Na odchodzących rzucono kamieniami, które kilka osób trafiły, a między innemi komisarza w nogę. Tego czynu ulicznego brutalstwa nikt nie zechce usprawiedliwiać. Jedyne ważniejsze zranienie Niemca Pieka w głowę, było jak się zdaje spowodowane raczéj nieostrożnym skokiem i upadkiem aniżeli kamieniem.

Druga połowa niemieckich studentów rozproszyła się w dzikiéj ucieczce na obrośnięte lasem stoki gór za restauracyą, biegła nie ku miastu, lecz w stronę przeciwną, przepędziła noc w różnych miejscowościach, i nazajutrz dopiéro powróciła do Pragi.

Faktem jest że studenci czescy, właściwie nie mieli udziału w excessach w Kuchelbad i że nie było tam żadnéj bijatyki ani sporu między czeskimi i niemieckimi studentami.

Przybywających statkiem do Pragi niemieckich studentów przyjęły przy debarkaderze tłumy wzburzonego ludu, z krzykiem za niemi podążyły, a na powóz w którém jechali ranni rzucano jakoby kamieniami.

Chcąc skończyć odrazu z opisaniem „prazkich excesów“ dodaję to co wydarzyło się 30 czerwca wieczorem.

Na ulicach Pragi zgromadziły się tego wieczora w znacznéj liczbie żywioły, które przy wszystkich rozruchach w wielkich miastach główną odgrywają rolę. Te żywioły chciały też mieć udział w studenckiéj awanturze. Wzburzone tłumy hałasowały bez celu i myśli po różnych ulicach, a każde aresztowanie przysparzało tylko spektatorów. Po dziewiątéj godzinie straż w całym komplecie wyruszyła ażeby raz koniec położyć niedorzecznym burdom, patrole z wystawionemi bagnetami interweniowały tu i owdzie. Tłumy cią-

gnęły przed niemi i krzycząc demonstrowały przed niemiecką czytelnią i niemieckiém kasynem. Niema wątpliwości że to był gmin czeski bo innego w Pradze niema, a i w tym czeskim gminie jest także poczucie narodowe. W końcu tłum taki obległ teatr niemiecki, w którym tego wieczora nie grano i wybił kilka szyb. Ale i tu straż wdała się z całą energią, a po 10-téj widać już było na ulicach tylko przechodzące patrole. Aresztowano blizko 20 osób—i żadne inne nieszczęście nie zdarzyło się.

„Do tego redukują się obiektywnie przedstawione excessa w Pradze.“

W całéj téj sprawie niema nic nadzwyczajnego. Sprzeczki, a nawet bardzo krwawe bójki studentów uniwersyteckich z miejskimi filistrami lub z wiejskimi mieszkańcami z okolic, są rzeczą dość zwyczajną w środkowéj Europie a nawet w Anglii. W Pradze, niemiecka burszerya miała do spełnienia pewne zadanie co nadaje prazkim excessom odrębne znaczenie. *Praga jest miastem niemieckim*,— takie było hasło stronnictwa konstytucyjnego aż do spisu ludności w r. 1880. Gdy jednak mimo wymyślony przez tę partyę podział ludności według „mowy potocznéj“ znalazło się w Pradze 140.000 mieszkańców z czeską mową potoczną, a tylko 30.000 z niemiecką, trzeba się było uciec do innego środka, ażeby utrzymać się przy niemieckim charakterze Pragi. Więc od r. 1880 „*Praga jest niemieckiém miastem uniwersyteckiem* stało się znów hasłem partyi, a bursze niemieccy postawili sobie za zadanie nałożyć na czeskich filistrów, jarzmo swoich „studenckich obyczajów“ jak to się dzieje w Erlangen lub w Marburgu.

Faktem jest że polityczni przywódcy Niemców, podburzali do tego niemieckich studentów przy każdéj sposobności i że szczególniéj w tym czasie kiedy starcia między niemieckimi burszami a czeską publicznością zaczęły być chronicznemi, nic nie czynili dla pohamowania studentów. Faktem jest również że polityczni przewódcy czeskiego narodu, czeskie władze miejskie i czescy profesorowie uniwersytetu czynili wszystko dla zapobieżenia starciu. Możemy więc spokojnie zostawić sąd każdemu nieuprzedzonemu czytelnikowi o tém na kim właściwie cięży wina „prazkich excessów.“

Nie będę się nad tém rozwodzić w jaki sposób „prazkie excessa“ wyeksploatowane zostały przez stronnictwo konstytucyjne. Jawne i brutalskie łżenie narodu czeskiego w wierno-konstytucyjnych niemieckich dziennikach, dosięgło w pierwszych dniach Lipca r. 1881 niebywałéj gwałtowności. Zdawało się ze chciano moralnie zabić lud czeski pod powodzią obelżywych wymysłów. Wszelkiéj prowokacyi ze strony niemieckiéj zaprzeczano konsekwentnie i wszy-

stko co się w Pradze stało, przypisywane było tylko „głębokiéj nienawiści do cywilizacyi“, „gminności usposobień,“ „demonowi zwierzęcości“ i „twardości czeskich czaszek.“ Twierdzono, że w Pradze urządzone było systematyczne podburzanie przeciw Niemcom i jak w Paryżu w r. 1792 ozwał się przy huku armat okrzyk *La patrie est en danger*, tak w Pradze szerzono między ludnością terrorystyczny popłoch wołaniem *germanizm w niebezpieczeństwie*, a niemieckie zgromadzenia polityczne przygotowywały do alarmowego strzelania ciężkie naboje różnych rezolucyj.

Zgromadzenie konstytucyjne Niemców w Czechach uchwaliło 2 lipca następującą rezolucyą:

„Obelgi i czynne znieważanie Niemców w publicznych miejscach, powtarzające się ciągle w ciągu ostatnich dni, a przedewszystkiém prześladowanie i czyny brutalnego, krwawego gwałtu spełnione na niemieckich studentach przez fanatyków narodowych, narażają na szwank wolność obywatelską, i osobiste bezpieczeństwo mieszkańców stolicy tego kraju należących do niemieckiéj narodowości. W tym stanie rzeczy, stawiamy żądanie, ażeby Niemcom zapewniona była ta skuteczna opieka prawa, którą każde uorganizowane państwo pamiętające o wytkniętych sobie wyższych celach obowiązane jest dać swoim obywatelom. Takie żądanie jest tém bardziéj usprawiedliwione i naglące, że ze strony Niemców nie było nawet cienia przyczyny do tych gwałtownych napaści i że prawdziwéj do nich pobudki szukać należy wyłącznie w otwartéj do Niemców nienawiści. Wszelkie oskarżenie o ciążącą jakoby na nas winę wyzwania, odtrącamy z oburzeniem, powołując się na wiadome powszechnie fakta, jako tendencyjne fałsze i obłudną retorykę,—chyba że wyzwanie w tém by się miało zawierać, że jesteśmy Niemcami, po niemiecku mówimy i Niemcami się nazywamy. Pod tym względem oświadczamy stanowczo że żaden jakibądź przymus nie zdoła nas zachwiać w naszych narodowych i politycznych zasadach, których tém silniéj się trzymamy że ostatnie wypadki, wymownie nas oświeciły, czego lud czeski spodziewać się może, dla swoich narodowych i obywatelskich praw i interesów, od panowania czeskiego prawa. Wytrwamy zgodnie w walce za niemieckie prawo, za niemiecką cześć, wierni sobie i naszym plemiennym braciom!“

Profesor uniwersytetu Kick, w mowie motywującéj tę rezolucyą nacechował „zachowanie się niemieckich studentów (jako) pełne taktu, nieporównane i szlachetne.“

4-go Lipca w Niemieckiém kasynie zabrało się 79 deputowanych z Czech do sejmu i rady państwa, i uchwaliło“ manifest do ludu niemieckiego w Czechach“ który wydrukowany był w dziennikach

niemieckich, w dniu 5 lipca skonfiskowany przez władze. Było to, o ile wiem, wezwanie, do narodowéj walki, wołanie o pomoc dla uciśnionych współplemiennych, wystosowane do wielkiego niemieckiego narodu nie w spokojnym języku statystów, ale w namiętnym, rozdraźnionym i drażniącym stylu.

Odpowiedź na te niemieckie manifestacye, wyszła już 30 czerwca od saméj „Bohemii" organu niemieckiéj partyi konstytucyjnéj w następującéj notatce:

„Słynny mikroskopista Wilh. Schubert z Drezna pisze do jednego, tutejszego naturalisty. Chętnie byłbym moje muzeum wystawił w Pradze. Miałem zamiar udać się teraz do Pragi i do Wiednia. Ale wszyscy znajomi nie radzą mi jechać do Pragi jako Niemcowi, i z tego powodu inną wybiorę sobie drogę." „Jakkolwiek tutejsze wypadki mogą być godne pożałowania, to przecież obawa znajomego p. Schuberta jest przesadzoną może on spokojnie ze swojém muzeum przyjechać do Pragi." Tak się odezwała „Bohemia" w dwa dni po sprawie Kuchelbadu.

Bezpośrednią odpowiedź na rezolucyą niemieckiego zgromadzenia konstytucyjnego dał 5 Lipca „Cesky klub" w przeciwrezolucyi przezemnie zredagowanéj, umotywowanéj i jednogłośnie przyjętéj, którą w znacznéj części poniżéj przytaczam.

„Ze względu że podobne twierdzenia (zawarte w rezolucyi niemieckiéj) mogą i muszą być tak tłómaczone jak gdyby czesko-słowiańska ludność stolicy Pragi a nawet czesko-słowiańska ludność całego kraju przejęta była *otwartą nienawiścią do Niemców* i z uwagi na fakt, że szczególniéj w ostatnich czasach, nie zdarzały się żadne starcia ani spory między niemiecką a czesko-słowiańską ludnością Pragi „Cesky klub" oświadcza, że takie twierdzenie nie odpowiada prawdzie i że całe opłakane rozdraźnienie ostatnich czasów, nie odnosiło się bynajmniéj do Niemców wogóle, ani nawet do niemieckich studentów, ale wytworzyło się wyłącznie z powodu niemieckich burszów, którzy już od dawnego czasu nocnemi awanturami, zaczepianiem spokojnych przechodniów i wyzywającém obejściem wystawiali na ciężką próbę cierpliwość czeskiéj ludności.

„Zważywszy daléj, że rezolucye podobne do uchwalonéj w dniu 2 lipca r. 1881, przez „zgromadzenie konstytucyjne Niemców w Czechach" nie mogą mieć innego celu jak rozdraźnienie niemieckiéj ludności przeciwko czesko-słowiańskiéj, „Cesky klub" oświadcza: że potępia to tendencyjne podburzanie narodowości i mimo wszelkich politycznych walk nieprzestanie dążyć do przyjaznego stosunku z niemiecką ludnością kraju.

„Zważywszy wreszcie że wszelkie podobne rezolucye, jak się to ukazuje z mów wypowiadanych 2 lipca r. 1881, skierowane są w rezultacie przeciw gabinetowi Taafego „Cesky klub“ oświadcza: że pojednawczy program hr. Taafe, którego nie chce zrozumiéć partya konstytucyjna i zbywa go szyderstwem i ironią, jest programatem prawdziwéj austryackiéj polityki, bo w dziejach nie jest znane takie państwo, któreby wzniosło się do potęgi lub nawet istniéć mogło niezgodą między swémi ludami.“

Mamże przytaczać inne jeszcze niemieckie rezolucye z tego czasu sądzę że nie,—bo w nich niema nic nowego.

Partyą konstytucyjną odprawiono w Wiedniu z kwitkiem a i w Berlinie nie znalazła posłuchu. Hr. Taafe uchwycił dobrą sposobność ażeby najgorliwszego stronnika partyi konstytucyjnéj, barona Webera, usunąć ze stanowiska namiestnika w Pradze i te ważne obowiązki powierzyć feldmarszałkowi Krausowi (rodem z Pardubic), który cieszy się zupełném zaufaniem Jego cesarskiéj mości i swoją ścisłą bezstronnością zasługuje też na zaufanie obu narodowości mieszkających w Czechach. Odręcznym listem cesarza z 5 lipca r. 1881, mianowany został Namiestnikiem w Pradze Prezes najwyższego sądu wojennego, F. M. L. kawaler Alfred von Kraus, a do „Czasu“ zatelegrafowano z Wiednia z dobrze poinformowanego źródła: „Opozycya może przywdziać żałobę. Wypadki w Pradze, zamiast obalić gabinet Taafego, wyszły mu tylko na pożytek. Szturm wiernokonstytucyjnych nie udał się oczywiście i umocnił tylko pozycyą tych przeciw którym był wymierzony. Możemy jeszcze dodać że urządzona przez lewicę agitacya *ułatwiła nominacyą pożądanego dla rządu namiestnika Czech.*“

Namiestnik Czech nie staje już na przeszkodzie porozumieniu się i pojednaniu dwóch narodowości mieszkających w téj prowincyi, partya konstytucyjna w swojéj nowéj „agitacyi oburzenia“ zapędziła się daléj, aniżeli mogli za nią pójść rozważniejsi pomiędzy naszymi niemieckimi ziomkami; teraz spalił się nasz teatr narodowy, a ludzkie uczucie litości zbliżyło do nas naszych niemieckich ziomków więcéj aniżeli to wypadało z planów i życzeń koteryi konstytucyjnéj—mamy więc najlepsze nadzieje.

Dziś właśnie kiedy kończę ten list, czytam w „Politiku“ artykuł z „korespondencyi austryackiéj“ wychodzącéj w Würzburgu pod natchnieniem hr. Taafego artykuł brzmi:

„Jeżeli opozycya stronnictwa konstytucyjnego, niema innéj podstawy do swéj namiętnéj walki, jak mniemane prześladowanie Niemców, *ową śmieszną bajkę*—w takim razie, nieszczególnie stoją jéj inte-

resa. Niemiecko-liberalna partya zrobiła *fiasco* na ekonomiczném polu. Liść po liściu opada z jéj drzewa, wkrótce zaprezentuje się światu w całéj nagości i nie będzie mogła zaprzeczyć, że nigdy jéj o nic innego nie chodziło tylko o władzę, o panowanie o samolubne cele. Nie wątpimy o tém, jak już wyżéj się powiedziało, że powiedzie się dzieło pojednania, jeżeli tylko względem wszystkich austryackich ludów przeprowadzane będzie systematycznie i bez zboczenia z drogi prawa i sprawiedliwości.“

Na to odpowiadam z całego serca: *Amen*!

Dr. Gabler.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Otto Sjögren. Johann Reinhold Patkul. (Osobne odbicie ze sztokholmskiéj „Historiskt Bibliotek“ 1880. (p. 353—456).

Rozprawa Sjögrena o znanym awanturniku J. R. Patkulu, opiera się częściowo na niedrukowanych źródłowych materyałach, znalezionych w szwedzkiém archiwum państwowém, a jakkolwiek przedmiot nie zupełnie wyczerpany, co przy dzisiejszym stanie badania nie należy do rzeczy łatwych, jednakże rezultaty, do których autor doszedł, wpłyną niezawodnie na stanowczą zmianę sądu o téj postaci. Wielu nowszych historyków, nawet szwedzkich, zostając mniéj lub więcéj pod wpływem pism obrończych, ogłoszonych przez samego Patkula lub jego przyjaciół—chciało go przedstawić jako męczennika prawa, jako szermierza rzekomych inflanckich dążeń do niepodległości. Autor wykazuje, że takiéj partyi w Inflantach wcale nie było, lubo rzecz oczywista, że przeprowadzenie redukcyi tak samo w Inflantach, jak nawet w Szwecyi wywołało zacięty opór ze strony właścicieli ziemskich. Ale właśnie jak w Szwecyi, tak i w Inflantach mogła się Korona oprzéć na sympatyach przeważnéj części zarówno mieszczaństwa, jak szlachty, która téż szukała najczęściéj karyery w szwedzkiéj służbie państwowéj. Chociaż wielu z niechęcią znosiło surowe rządy Karola XI, to jednak i ci z małemi wyjątkami dalekimi byli od myśli oderwania się. Zatarg pomiędzy Koroną a rycerstwem powstał po części z różnego tłómaczenia przywilejów, po części z usiłowań pewnego odłamu szlachty, dążących do tego, aby na miejsce porządnéj, sprężystéj władzy, złożonéj z urzędników, przywrócić stare, anarchiczne rządy junkrów, n. p. przez ustanowienie wydziału krajowego, któryby z władzani publicznemi wprost współzawodniczył. Było to naturalném następstwem danych

stosunków, że podobne dążności bezwzględnie tłumiono; działo się to jednak tylko na podstawie istniejącego i przez wszystkich uznanego prawa. Nawet obrońca Patkula, sławny niemiecki jurysta, Thomasius, musiał przyznać, że w procesie jego o zdradę stanu prawo szwedzkie było kompetentne, a uczynione przezeń na korzyść oskarżonego konkluzye, polegają jedynie na nieznajmości albo mylnéj interpretacyi tego prawa, jak to autor stwierdza w sposób przekonywający, na podstawie obszernych, dotąd przechowanych aktów procesu.—Na domiar złego jeszcze jako żołnierz (był kapitanem) stał się Patkul winnym ciężkich przestępstw dyscyplinarnych, a rząd szwedzki był w tym razie tém mniéj do pobłażania skłonnym, że obwiniony z podwładnymi sobie żołnierzami i chłopami (nawet kobiétami), jak widać z przechowanych zażaleń, postępował niemiłosiernie i okrutnie.

Wyrok zatém ze stanowiska prawnego był zupełnie sprawiedliwym, a fakt, że został spełniony literalnie, nie należy poczytywać za objaw prywatnéj zemsty Karola XII, rzecz jasna, że późniejsze zachowanie się winowajcy nie mogło króla usposobić do złagodzenia surowéj kary. Można wydać pochlebny sąd o zdolnościach Patkula jako dyplomaty w polskiéj i rosyjskiéj służbie, ale nie należy mu przypisywać wyższych celów, jak innym współczesnym awanturnikom, którzy zabłyśli na dyplomatycznéj arenie. Nie powiodło mu się wywołać anti-szwedzkiego ruchu w Inflantach, a jego polityczne zabiegi były raczéj osobistéj, niż inflancko-narodowéj natury. Zresztą niejeden szczegół publicznego zawodu Patkula nie został do téj pory dostatecznie wyjaśniony, a rozprawa Sjögrena wytknęła sobie tylko skromne zadanie dostarczenia kilku przyczynków do jego historyi, za co téż należy się autorowi szczere uznanie.

Lwów, 28 września 1881 r. *Dr. Harald Hiärne.*

Sprawozdanie powyższe wyszło z pod pióra uczonego Szweda, który je napisał na prośbę moję specyalnie dla *Ateneum*, bezpośrednio przed wyjazdem do Moskwy. Profesor Hiärne jest może jedynym szwedzkim historykiem, umiejącym po polsku (wiemy natomiast o szwedzkich filologach, znających nasz język) i korzystającym z łatwością z polskich źródeł, nawet ze starych rękopisów; wartoby aby i nasi badacze XVII i XVIII w. zapoznali się z mową narodu, z którym w przeszłości łączy nas tyle, niestety po największéj części przykrych i bolesnych wspomnień, a u którego obecnie moglibyśmy znaleść nieocenione skarby dziejowych materyałów, zwłaszcza gdybyśmy władali jego mową. Należy żałować, że nieznajomość języka utrudnia nam czerpanie z tak ważnego źródła historycznego, a zarazem

wypada korzystać skwapliwie z łaskawego pośrednictwa d-ra Hiärne, który się podjął uprzejmie dawać w pismach naszych zwięzłe sprawozdania z najnowszych dzieł historycznych swego kraju, szczególniéj takich, których treść mniéj lub więcéj odnosi się do dziejów Rzeczypospolitéj.

Szanowny uczony spełniając dane przyrzeczenie, napisał słów kilka o rozprawie Ottona Sjögrena; my z naszéj strony pozwalamy sobie uzupełnić jego referat, zwracając uwagę czytelników na nieobojętne dla naszéj historyi dodatki źródłowe, ogłoszone przez szwedzkiego historyka, a mianowicie na niemieckie listy Patkula. Jest ich w ogólności trzy: jeden do Piotra W., dwa do jego kanclerza— wszystkie pisane w r. 1705, niedługo przedtém, zanim słynny awanturnik dostał się do więzienia. Pisma te zostały przejęte przez Szwedów, nie ma ich zatém w archiwum drezdeńskiém, jak widać z zajmującéj rozprawy K. Jarochowskiego p. n. *Katastrofa Patkula*, drukowanéj w *Ateneum*, do któréj odsyłamy każdego, ktoby chciał poznać sam przebieg i związek wypadków.

List do Piotra, datowany 8 sierpnia 1705 r. (nowego stylu) z oddalonéj o trzy mile od Drezna Miśnii, przepełniony jest oskarżeniami, zwróconemi przeciw Augustowi II, z powodu jego ówczesnych starań o zawarcie z Karolem XII osobnego pokoju na niekorzyść Rosyi. Mówi w nim Patkul: że już pod dniem 25 maja donosił ostrożnie o niebezpiecznych knowaniach króla polskiego, o których go uwiadomił król pruski, i prosił Piotra o pozwolenie, aby mógł udać się do jego rezydencyi i ustnie wszystko wyjawić, bo trudno to uczynić listownie. Żądane pozwolenie otrzymał 21 czerwca z tym jednak dodatkiem, aby albo sam przyjechał, albo téż, ponieważ rzecz nie cierpi zwłoki, wyprawił na bezpiecznéj drodze szczegółowy piśmienny raport, który téż przesyła obecnie przez kapitana Ferbera, załączając dla dowodu sporządzoną przez samego ministra pruskiego Ilgena, kopią pisma, wyekspedyowanego z kancelaryi saskiéj do Karola XII w dniu 29 października 1704 r. Prosi przytém o najściślejszą tajemnicę, bo czuje, jak mówi, że mógłby życiem przypłacić swą śmiałość. Zaręcza, że pragnąłby co rychléj opuścić Saksonią, gdzie musi drogo wszystko opłacać, podczas gdy w Polsce nie płaciłby ani szeląga (!), lecz mając tylko sześć tysięcy ludzi, a będąc otoczony saskiemi wojskami, nie podobna by mu było przedrzéć się tak daleko, podczas gdy bez trudności mógłby ujść na terytoryum cesarskie, gdyby się Piotr zdecydował oddać tę garść żołnierza na tymczasowe usługi cesarza niemieckiego. Celem wspomnianego powyżéj aktu kancelaryi saskiéj, złożonego z 10 punktów, jest zawarcie pod gwarancyą Francyi zaczepno-odpornego przymierza pomiędzy królem

szwedzkim a Augustem II. Wyznaje w nim król polski, że mógł bronić Karolowi XII przeprawy przez Wisłę, mógł dalej przyczynić się do zdobycia obleganego przez Patkula Poznania, ale nie uczynił tego; oszczędzając Szwedów, w których już widział przyszłych sprzymierzeńców. 6. „Co się tyczy nowowybranego (Stanisława Leszczyńskiego) zechce król szwedzki zaopatrzyć go, czém mu się spodoba, na co Król polski będzie patrzył przez szpary i nie będzie się temu sprzeciwiał, coby Jmć. Król szwedzki chciał uczynić dla niego w Kurlandyi lub na Litwie...“

7. „Król polski mając słuszne powody do opuszczenia Cara, ponieważ mu tenże nie dotrzymał słowa w wielu ważnych sprawach, po zawarciu tajnego traktatu między obu królami, sam nie przekraczając Wisły, zezwoli na to, aby Król szwedzki szedł na Moskali.“

8. „Gdyby zaś Król Szwedzki chciał się zatrzymać z tamtéj strony Wisły, czy to na Litwie, czy w państwie moskiewskiém, czy w brandeburskich Prusach, Król polski, skoro traktat zostanie zawarty, nie będzie mu w tém przeszkadzał; nadto Król polski powstrzyma dziesięć tysięcy Moskali, Kozaków, saskie i polskie wojska z téj strony Wisły pod pozorem utrzymania Polski w karbach posłuszeństwa; może także odwołać z Moskwy wszystkich oficerów, bez których armia Carska nicby zdziałać nie mogła.“

Najcharakterystyczniejszym może jest ostatni punkt nie przedłożony, jakoby wprost przez króla, lecz tylko przez ministra, jak się zdaje, Fleminga. „Piszący te słowa proponuje od siebie, aby dla sprawienia przyjemności nowo obranemu (Leszczyńskiemu), dać mu brandeburskie Prusy, wyniesione do godności królestwa, zwłaszcza, że nie byłoby rzeczą trudną opanować tę prowincyą, a nie zraziłoby to wcale konfederatów, którzyby z jednéj strony chętnie patrzéli na poniżenie elektora brandeburskiego, z drugiéj zaś strony nie byłoby im miło, aby się tam usadowili północni książęta...“

Ustęp powyższy dostatecznie, jak mniemam, tłómaczy skwapliwość, z jaką w Berlinie odkrywano Patkulowi machinacye Augusta II.

Listy do kanclerza rosyjskiego noszą datę 8 sierpnia i 16 września. Nie mogąc mówić szczegółowo o obydwóch tych pismach, choć bardzo zkądinąd ciekawych, zwracamy tylko uwagę na wyjątek z drugiego, jako dodający jeden jeszcze rys do charakterystyki przeniewierczego Sasa. Patkul otrzymawszy list z doniesieniem o usiłowaniach Augusta II, mających na celu uzyskanie od Szwecyi osobnego traktatu, postarał się o doręczenie go królowi. August wezwał z tego powodu Patkula do siebie, wyparł się uroczyście wszystkiego, a nawet zasypał go tak gorącemi i szczeremi na pozór zaręczeniami

i przysięgami, że sam przebiegły i podejrzliwy Inflantczyk, wedle własnego zeznania zmięszał się i nie wiedział, co o tém wszystkiém sądzić... *Klemens Kantecki.*

Pieśni śpiewaka z nad Dniepru. Lwów. Nakład autora: 1881 (str. 194).

Autor tego zbiorku poezyj, nieznany mi z nazwiska, należy widocznie do pokolenia, którego chwile młodości dawno już minęły: widać to zarówno z własnych jego zeznań jak z upodobań i nastroju pieśni. Z lubością przypomina sobie czasy, kiedy to goniąc za „świetnemi marami" dążył nad brzegi Wilii, ażeby czerpać światło w sławnéj wszechnicy i przeciwstawia im chwile obecne, „gdy oko łzą się pławi, gdy się serce z bólu krwawi," gdy po zniknięciu wielu a wielu nadziei „ku mogile" patrzy już tylko. Wincentego Pola nazywa „kolegą" swoim, a zachwycony i porwany pięknością Mohorta odzywa się do swego niegdyś druha a potém „mistrza lackiéj pieśni", przypomina drogi „wspólnym cierniem" wysłane i prosi:

Więc daj wspólne koić rany,
Choć twa, wieszczu, sława wielka;
Nie broń dusznéj téj zamiany,
Choć ty morze, ja—kropelka!

Rodem jest śpiewak nasz z Podola; przy odczytywaniu Mohorta stanęły mu w pamięci te chwile, „gdy w szczęśliwéj dni jutrzence, pod rodzinną marzył strzechą i daleki obraz senny, jak sokoli wzrok nie sięga, stanął w myśli *gród kamienny* i *Smotrycza* modra wstęga." Wiersz do Pola pisany za życia jeszcze śpiewaka Mohorta, a już liczy nasz autor „czwarty krzyżyk prawie" od owego czasu, kiedy każdy z nich w swoję poszedł drogę. Data więc wiersza do Pola przypadłaby na rok mniéj-więcéj 1870; a jeżeli autor będąc w uniwersytecie Wileńskim, miał lat około 20; możemy wnosić, że obecnie, wydając swój zbiorek poezyi liczy „śpiewak z nad Dniepru" lat 70.

Upodobania i nastrój pieśni zgadzają się z temi kombinacyami chronologicznemi. Porwany gwałtownym a gorącym prądem romantyzmu naszego, w jego fazie po roku 1831, starał się utrzymać na wyżynach, ku którym wielki hymn romantyczny unosił.

Wysokie pojęcie o posłannictwie poetów, jako zesłańców z nieba, proroków, których znaczenie porównywa autor do olbrzymiéj budowy wszechświata, którzy pojąwszy „słowo" narodu, jego wodzami duchowemi się stają (str. 70, 71), wpływa niewątpliwie na podtrzymanie podniosłego nastroju umysłu, usuwa na bok wszelkie dro-

bne zaprzątnienia, bóle i rozkosze indywidualne, utrzymuje w pieśniarzu święty ogień zapału, chroni od zwątpienia i rozpaczy, każe ukochać cały naród jedną wielką miłością i budzić go pieśnią, żeby nie zgnuśniał;—ale równocześnie wkłada na poetę obowiązek ogarniania okiem bardzo szerokich widnokręgów, dawania narodowi rad istotnie zbawiennych, wskazywania mu drogi wiodącéj do celu najpewniéj. Takiemu zadaniu nie sprostali, jak wiemy, nawet gieniusze, a cóż dopiéro mówić o tych co zaledwie jaki-taki talent posiadają... Ci sercem tylko serca podbijać mogą; a do górnego lotu trochę przymuszać się potrzebują, bo im ani rozum wielki ani fantazya wspaniała nie dopisują. Ogólne poglądy powtarzać oczywiście muszą za mistrzami. Tak téż jest i u „śpiewaka z nad Dniepru.“ Zrozumiały w zasadzie, lecz niebezpieczny w konsekwencyach panegiryzm dla wszystkiego, co polskie, jest w nim za równo silnie rozwinięty, jak i u wielkich wieszczów narodu. Przeciwstawienie zimnego, obojętnego, samolubnego świata promienistemu archaniołowi, co „śród modlitwy i pracy, z mieczem na dół spuszczonym“ czeka spokojnie „losów swoich od Boga“ jest u niego obrazem naczelnym, przyświecającym całemu szeregowi innych, w których bohaterstwo i cnota Polski wspaniałym blaskiem jaśnieją. Swój naród stawia naturalnie śpiewak „na czele ziemskich narodów.“

A Wypowiedziawszy to, co od mistrzów posłyszał i przejął, zamierzył wyśpiewać „Chwałę Polski.“ Pomimo szczerego uwielbienia dla Mickiewicza, przystępniejszym dla jego umysłu i łatwiejszym do naśladowania był jego niegdyś „kolega“ Pol. Na sposób téż Pola, na wzór „Pieśni o ziemi“ tworzy swoje zwrotki poświęcone kolejno wspomnieniom bohaterów, mocarzów pióra, pędzla i dłuta, oraz sławnych niewiast polskich. Ażeby jednak stanąć obok Pola potrzeba było mieć charakterystyczną, oryginalną dykcyą wypowiadającą samoistnie zaobserwowane rysy. Ani samoistności w uwagach, ani szczególnych zalet w ich przedstawieniu „śpiewak z nad Dniepru“ nie posiada, o czém każdy ustęp jego poematu z łatwością przekonać może nawet uprzedzonych. Oto np. wszystko co mówi o panowaniu dwu pierwszych Zygmuntów:

Skąd Zygmunci dwaj powstali,
Co wiek złoty Polsce dali?
Pierwszy słusznie mądrym zwan;
Drugi orła wraz z pogonią
Pojednawczą złączył dłonią
Sercem wielki, zacny pan,

Co dotrzymał żonie wiary
I dla miłéj swéj Barbary,
Panów sejmu odparł grom;
Co zachował ślub niezłomny
I dał przykład w czas potomny,
Jak uświęcić godnie dom.

Nieprawdaż, że te wiersze przypominają raczéj tak zwane *versus memoriales*, w które dawniéj ujmowano prawidła gramatyki,

arytmetyki itp. ażeby ułatwić spamiętanie ich, aniżeli rzeczywiście piękny utwór poezyi? Może jednak autor, nie posiadając talentu kreślenia charakterów politycznych, szczęśliwszy jest i bardziéj pomysłowy w sferze sobie odpowiedniejszéj, w dziedzinie wieszczów? Zapewne, rysy są tu szczegółowsze, nie tak banalne jak w kreśleniu wodzów, ale i im do wyrazistości poetyczéj jeszcze daleko. „Śpiewak z nad Dniepru" tak np. charakteryzuje ogólnie Mickiewicza:

Aż nad inne śmielszy ptaki,
Wzbił się orzeł w owe szlaki,
Gdzie *nie doszedł* żaden ptak;
I narodu kojąc jęki
Złotą harfą sypał dźwięki,
Zwał się milion—cierpiał *tak*

Autor dziadów, w te, gdy tworzył,
Téj miłości iskrę włożył,
Co sam Stwórca w niego *wlał*;
Potém orlich skrzydeł zwrotem,
Spokojniejszym płynąc lotem
Homerowską pieśń nam dał. (str. 44)

Zacne tylko, szczere uczucie ratuje ten utwór, który ze względu na artyzm nad miarę pospolitości się nie wznosi.

Mickiewiczowi poświęca autor wiersz osobny; jest on dosyć długi, ale cechami swemi wcale się nie różni od zwrotek w „Chwale Polski." Słusznie autor utrzymuje, że imię tego wieszcza nie zaginie, póki serca rodaków miłością kraju bić będą, ale słowom swoim nie umiał nadać siły, są one wprawdzie stwierdzeniem tego, co wszyscy ukształceni czują i myślą, ale nie zawierają nic, coby je w pamięć tego ogółu ukształconych silniéj wrazić mogło. Takiż charakter mają wiersze na cześć Pola, Szopena i Henryka Wieniawskiego. Zbiór tych wierszy poprzedza wstęp, mający być wyrazem smutku, jakim mogiły wielkich ludzi śpiewaka przejmują. Autor sądzi, że w obecném położeniu kraju nic nie pozostaje innego „jedno płakać" nad nim i „jak Jeremiasz nucić psalmy łzawe, leżąc na gruzach i w niezmiernym bólu." Dla siebie nie żąda ani lauru ani grobowca sławy, zadowolni się tém, gdy „czuły wędrowiec" dumając nad losami kraju „szczerą łzę uroni." Ta skromność pragnień śpiewaka, zwłaszcza w zestawieniu z owém wielkiem posłannictwem, jakie wieszczom narodu przyznaje, świadczy dobrze o śpiewaku i serca dla niego zyskać powinna.

Połowę książki zajmują przekłady. Mamy tu „Modlitwę" bezimiennego, „Krucyfiks" Lamartina, „Cyganów" i „Czarny Szal" Puszkina, „Paryzynę" i kilka małych wyjątków z Byrona, dwa wreszcie wiersze Schillera: „Skarga dziewczyny" i „Rezygnacya". Autor nie odznacza się talentem wersyfikatorskim, jak to można widzieć z przytoczonych wyżéj wyjątków; najczęściéj posługuje się rymami utworzonemi z jednakowych form gramatycznych; a choć buduje wiersze dość poprawnie i ma pewną łatwość w ich tworzeniu; nie posiada

wszakże ani jędrności ani dobitności dykcyi. Te cechy jego uzdolnienia wpłynęły ujemnie na wartość tłómaczeń. które nie mogą być poczytane za wzorowe. Nie ma w nich ani wierności co do wewnętrznéj, ani kunsztowności co do zewnętrznéj strony. Dla przekonania się o tém, porównajmy pierwszą strofkę „Rezygnacyi“ Schillera. W oryginale czytamy:

Auch Ich war in Arkadien geboren
Auch mir hat die Natur
An meiner Wiege Freude zugeschworen,
Auch ich war in Arkadien geboren,
Doch Tränen gab der kurze Lenz mir nur.

W przekładzie zaś:

I mnie w Arkadyi zabłysnął poranek
I mnie natura u kolebki jeszcze,
Nadziei, szczęścia zaprzysięgła *wianek*
I mnie w Arkadyi zabłysnął poranek
A gdzież są szczęścia przepowiednie wieszcze?

Gadatliwość, rozwodnienie, nieokreśloność, pytanie w miejsce stanowczego twierdzenia nie przyczyniają się bezwątpienia do wywołania silnego efektu.

Kazimierz Brodziński. Studyum przez Waleryę Marrené. Kraków, 1881, str. 71 (odbitka z „Muzeum“).

Pani Marrené, znana dobrze powieściopisarka, dała się także poznać z kilku studyów literackich o ,,zrozpaczonych“ w literaturze, o powieściach mających za przedmiot kwestyą żydowską, w „Tygodniku Illustrowanym“ o „Julianie Ursynie Niemcewiczu (w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego“ z r. 1880). Sposób traktowania przez nią przedmiotu znany téż jest zajmującym się sprawami krytycznemi: autorce nie idzie bynajmniéj o wyczerpujące przedstawienie rzeczy, ani o monograficzną dokładność, ani o zużytkowanie nieznanego lub świeżo ogłoszonego materyału, ale głównie i przedewszystkiém o popularne a ponętne określenie czy-to obrazu jakiejś osobistości, czy też stanu jakiejś kwestyi. Nie lekceważy ona wprawdzie doniosłości mało znanych materyałów, owszem poszukuje ich, ale czyni to w sposób przygodny raczéj niż pewnym planem określony. W pracach jéj literackich nie znajdziemy wszechstronnego zgłębienia rozpatrywanych przez nią kwestyi lub osób, ale znaleść możemy niejedno rozjaśnienie, niejednę cenną wskazówkę, niejeden szczegół interesujący.

W studyum nad Brodzińskim, p. Marrené korzystała z informacyi księdza Adama Jakubowskiego, niegdyś ucznia a następnie

przyjaciela naszego Kazimierza z Królówki; ta okoliczność przyczyniła się do wypełnienia obrazu działalności Brodzińskiego jako poety i profesora kilku drobnemi wprawdzie, ale nie mniéj interesującemi i charakterystycznémi rysami. Dowiadujemy się tu np. o pierwszych młodzieńczych pracach Kazimierza, mieszczących się w zbiorze wierszy brata jego Andrzeja, daléj o wielkiéj wrażliwości śpiewaka Wiesława na krytykę, zaniechał bowiem pisania wierszy o rymie męzkim, skoro się pojawiła ich parodya w wierszu Okraszewskiego, daléj o rozdawaniu nowo wstępującym studentom mowy Brodzińskiego, o powołaniu młodzieży akademickiéj itp.

Obok tych wiadomości, popartych świadectwem spółczesnego, należy zaznaczyć jako ważną, dodatnią stronę pracy p. Marrenowéj bardzo trafną ocenę charakteru, twórczości i działalności Brodzińskiego. Nieśmiałość i łagodność w usposobieniu, zdrowy rozsądek w tworzeniu, wytrwałość w obranym kierunku działania, miłość serdeczna kraju bez zaślepienia na wady: oto cechy, które nam jasno i prawdziwie dają poznać duszę śpiewaka „Wiesława“. Z téj trafności w przedstawieniu osoby wypłynęła słuszna w ogólności charakterystyka utworów Brodzińskiego, z którą wtedy tylko zgodzić się niepodobna, gdy autorka wbrew sobie saméj, nie bacząc co powiedziała pierwéj, nie pilnuje konsekwentnego przeprowadzenia wyników, wysnuwających się z cech umysłu i charakteru Brodzińskiego.

Gdyby się autorka była dokładnie wpatrzyła w naturę tego zdrowego rozsądku, który tak słusznie za znamię umysłowości Brodzińskiego podaje, nie potrzebowałaby narzekać na nieracyonalność (str. 20) na „zupełną ślepotę“, na dziwactwa, na fałszywe doktryny (str. 21) wypowiedziane przez autora rozprawy „o dążeniu literatury polskiéj“, gdyż przekonałaby się, że zdania w niéj wyrażone są prostym wynikiem stanowiska zdrowego rozsądku. Z tego stanowiska muszą się wydać śmiesznemi i niedorzecznemi „ogromne literackie fabryki“, a „wszystkie księgi (rozumie się czysto erudycyjne), komentarze, spekulacye filozoficzne, spory uczone“ wyglądają jak „stare zbroje rycerskie, które dziś po zamkach oglądamy.“ Takie i tym podobne zdania nie są bynajmniéj dowodem „zupełnéj ślepoty na znaczenie umysłowego ruchu, na jego konieczność i dobroczynne działanie“, nie są téż wcale dowodem, „jak fałszywa doktryna obałamucić może nawet trzeźwy umysł i do jakich doprowadzić go rezultatów“; a nie są takim dowodem dlatego, że w tych zdaniach Brodziński wyraża jedynie swój wstręt do próżnych popisów z erudycyą, do pedantycznych, niesmacznych komentarzy nad głupstwami ludzkiemi a nie do „umysłowego ruchu“, który wysoko cenił i własną

działalnością popierał. A że tak rzecz tę Brodziński rozumiał, najłatwiéj się przekonać z téj okoliczności, że w tym samym roku i na tych samych kartach „Pamiętnika Warszawskiego,“ na których pomieścił swe „Myśli o dążeniu polskiéj literatury“, dowodził, wobec płytkich belletrystów, w pierwszym liście o polskiéj literaturze, że nauka, prawdziwa nauka potrzebna, niezbędna jest literatowi i poecie. Brodziński cenił naturalnie przedewszystkiém *rezultaty* nauki, nie zaś środki do tych rezultatów prowadzące, a ze względu na stosunkowo nizki stan oświaty w kraju, popierał to, co bezpośredni pożytek dla téj oświaty przynieść mogło. „Ścisłe nauki—pisał B. mniéj szkody poniosą, gdy sie rozłączą z wdziękami stylu, bo prawda sama z siebie zawsze jest piękną, wyjąwszy przecież, że uczeni dłużéj pisać będą dla samych uczonych, gdy ich celem być winno coraz nauki ułatwiać i upowszechniać;—ale tak zwane nauki piękne, im powszechniejsze, im bliżéj człowieka, bo serca jego dotyczące, tém są szkodliwsze, jeżeli im pewnych zasad, pewnego celu, nauki i filozofia wskazywać nie będą. Porządek w dziełach rozumu, wysokie czucie moralności w tworach imaginacyi, oto są przymioty serca i duszy, które ich spólne twory do doskonałości zbliżają.“

Równie jednostronnym a nieusprawiedliwionym jest zarzut „wielkiego zagmatwania pojęć,“ do którego jakoby Brodziński miął się przyczynić, poczytując „pożytek“ za główny cel utworów literackich. Zasada użyteczności będąca przewodnią myślą wszystkich naszych uczonych i literatów aż do czasów wpływu filozofii i estetyki niemieckiéj, była istotnie wyznawana i przez Brodzińskiego, który czasami tylko wspominał o uprawie „sztuki dla niéj saméj.“ I to jest również naturalnym wynikiem stanowiska zdrowego rozsądku i żadnego zagmatwania pojęć nie dowodzi. Dziwić się trzeba, że p. Marrené, która tak dobitnie usprawiedliwiała Niemcewicza z jego dążności utylitarnych w literaturze, nie zastosowała téj saméj miary do oceny poglądów Brodzińskiego, który od Niemcewicza różnił się, pod tym względem, jedynie przekonaniem, że dążności utylitarnéj można nadać o wiele większy stopień artyzmu, łącząc harmonijnie cel dobry z formą piękną. Nie znaczyło to bynajmniéj usprawiedliwianie w poezyi tendencyi jaskrawéj, bo przeciw temu Brodziński zastrzegał się stanowczo w kursie estetyki; ale znaczyło tylko tyle, że poezya nie może i nie powinna być igraszką, zabawką jakąś, lecz winna się stać jednym z czynników udoskonalenia, postępu narodowego. Zasada *użyteczności* tak rozumiana jest równoznaczną z zasadą *celowości* we wszystkich dziełach człowieka a zatém i w dziełach literackich. Taka zasada nie uprawnia bynajmniéj naciągań psychologicznych, ludzi papierowych, stosunków dowolnie wykrzywio-

nych dla przeprowadzenia pewnéj z góry powziętéj tendencyi. Zasada taka wymaga jedynie, ażeby np. utwór poetyczny nie był jedynie szeregiem pięknych wierszy o lichéj treści, ale żeby obok karmi dla fantazyi dawał karm i dla umysłu. Wszakżeż nawet najgłośniejsi zwolennicy zasady „sztuka dla sztuki" nie wahają się twierdzić, że sztuka jest jednym z najdzielniejszych środków udoskonalenia, uszlachetnienia ludzkości i tym sposobem przyznają, że sztuka ma cel poza sobą. Tworzenia bezcelowego w zakresie ludzkości poprostu pojąć niepodobna.

Inne wady studyum p. Marrenowéj wynikają ze sposobu jéj pisania. Daje się ona unosić frazesom, paradoksom, chwilowym, przelotnym wrażeniom, niejednokrotnie unoszącym myśl jéj w inną stronę, aniżeli pierwotnie autorka sobie zamierzyła. Stąd powstają rażące sprzeczności; autorka zapomina niekiedy co poprzednio napisała, i rys nakreślony dawniéj przemazuje, sama o tém nie wiedząc. Parę przykładów da miarę tego rodzaju niekonsekwencyi. Mówiąc o kursie literatury wykładanym przez Brodzińskiego w uniwersytecie, p. Marrené powiada: „Brakło mu jednak odwagi być samym sobą do końca, brakło mu więcéj jeszcze może śmiałéj konsekwencyi myśli" (str. 19). A potém streszczając listy o literaturze, powiada: „Był on rzeczywiście *zawsze* i *wszędzie* sam sobą, nie miał nic konwencyonalnego i konwencyonalizmu pod żadnym względem znieść nie mógł" (str. 36). A gdzieindziéj jeszcze: „Walcząc przeciwko manii cudzoziemczyzny... zostawał przecież pod wpływem literackich doktryn wyznawanych wówczas powszechnie" (str. 12), albo: „Teorye jego estetyczne musiały... odpowiadać owczesnemu poziomowi ogólnéj intelligencyi, który nakształt fatum ciąży nad każdą indywidualnością" (str. 23). Z innéj znowu kategoryi poglądów, zestawmy twierdzenia o wpływie Brodzińskiego na spółczesnych. Na str. 24 czytamy: „Brodziński nie należał do kategoryi umysłów śmiałych. Był-to raczéj pionier przyszłości, pracowicie torujący jéj drogę, przodował wprawdzie swojemu wiekowi, ale zbytecznie naprzód nie wybiegał, przeciwnie był z nim związany wszystkiemi tętnami. *Stąd téż pochodził wpływ*, jaki wywierał, a jaki nie może być udziałem *zbyt wysuniętych*, a więc odosobnionych pisarzów." Potém zaś, mówiąc o mniemaném zapomnieniu, jakiemu uległ według autorki Brodziński, powiada: „Niektóre powody tego zobojętnienia leżą niezaprzeczenie w samējże osobistości B-go, i charakterystyce (!) jego utworów. Brakło mu śmiałych i wybitnych rysów, a co najważniejsza niepodobna go podszeregować pod żaden ze sztandarów, które wówczas panowały w piśmiennictwie." Raz tedy brak śmiałych rysów za-

pewnia wpływ Brodzińskiego, a drugi raz tenże sam brak powoduje zobojętnienie dla niego.

Błędów faktycznych nie ma wiele w rozprawie p. Marrenowéj; na dwa z nich muszę jednak zwrócić uwagę. Gdyby autorka znała była dokładnie chronologią pism Brodzińskiego nie byłaby wprzód mówiła o Wiesławie (z r. 1820), ale o Oldynie (z r. 1819), a to posłużyłoby jéj do wykazania stopniowego rozwoju Brodzińskiego w samym sposobie przedstawienia życia wiejskiego. P. Marrené podaje dokładnie numer Dziennika Wileńskiego, w którym zamieszczona była rozprawka Śniadeckiego o pismach klasycznych i romantycznych. Wobec téj dokładności bibliograficznéj dziwnie brzmi zdanie następujące o treści rozprawki: *Nie wymienia on wyraźnie Brodzińskiego*, przecież znać, że pisze pod wrażeniem jego sławnéj rozprawy, że wszystkie pociski szyderstwa i oburzenia, któremi miota, ku niemu są wymierzone“ (str. 32). Autorka widocznie zapomniała, że początek artykułu Śniadeckiego brzmi tak: „W roku bieżącym w pięciu numerach Pamiętnika Warszawskiego... znakomity w języku naszym pisarz *Kazimierz Brodziński* uczenie i przyjemnie opisał własności pism klasycznych i romantycznych“ (Dzien. Wil. 1819, I, str. 2, 3).

Domysły podawane za fakta znajdują się także w studyum p. Marrenowéj. Autorka mianowicie przedstawia jako fakt, że Brodz. w rozprawie o entuzyazmie i egzaltacyi, występuje głównie przeciw wyrazom „Ody do młodości“: Łam czego rozum nie złamie. Tymczasem, kto czytał rozprawę Brodzińskiego, ten nie mógł dostrzedz specyalnéj wycieczki przeciwko Odzie do młodości; ale przeciwko ówczesnemu usposobieniu młodzieży głównie warszawskiéj, która w czasopismach kierunku romantycznego egzaltacyą i egzaltowanych wysławiała. Że to usposobienie wywołane było w znacznéj części przez pisma Mickiewicza, między innemi przez Odę do młodości i Konrada Wallenroda, to uważać można za rzecz pewną; ale nie można, zdaje mi się, dowieść, żeby B. miał na myśli ów wiersz z Ody i żeby „głównie“ przeciw niemu pisał obszerną rozprawę. Niedowiedzioném również jest twierdzenie, jakoby artykulik Brodzińskiego „o Idylli pod względem moralnym“ podał Mickiewiczowi myśl do napisania „Pana Tadeusza“ (str. 55). P. Marrené uważa to za fakt niepotrzebujący dowodzenia, a tymczasem rzeczą jest bardzo wątpliwą, czy artykulik ów Mickiewicz kiedykolwiek czytał. Rzecz bowiem o Idylli wyszła w „Pamiętniku Warszawskim“ w r. 1823 wówczas gdy Mickiewicz był w więzieniu—i nigdy potém przedrukowaną nie została. Autorka powołuje się wprawdzie na list Mickiewicza do Odyńca, w którym jakoby poeta przyznawał się, iż myśl pa-

na Tadeusza zaczerpnął w Brodzińskim i że w epilogu o tém wspomina, ale że dodatek ten przez pomyłkę nie został pomieszczony w edycyi ówczesnéj, co zamierza w następnych sprostować. P. Marrené dodaje, że sprostowanie to nigdy nie nastąpiło. Czyż istotnie autorka nie zna tego wiersza dodanego do „Pana Tadeusza" w pośmiertnych wydaniach, czyż nie przypomina sobie tego ślicznego ustępu, w którym poeta wypowiada jako najgorętsze życzenia swoje, żeby „też wzięły wieśniaczki do ręki te księgi proste jako ich piosenki" i dodaje:

> Tak za dni moich, przy wiejskiéj zabawie,
> Czytano nieraz pod lipą na trawie,
> Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie...

W słowach tych jest niewątpliwie uznanie dla „sielanki krakowskiéj" Kazimierza z Królówki, jest może i poczucie pewnego dalekiego pokrewieństwa ze swoją „historyą szlachecką", ale przecież nie ma ani cienia dowodu o wpływie rozprawy „Idylla pod względem moralnym."

Z natury zadania swego studyum p. Marrenowéj nie jest wyczerpujące; za dowód niepełności można przytoczyć opuszczenie dwu ważnych chwil w życiu Brodzińskiego: autorka nie przedstawiła nam jego działalności wolnomularskiéj a nawet o niéj nie wspomniała, a powtóre pominęła milczeniem prace Brodzińskiego po roku 1830 („Mowa o narodowości Polaków", „Posłanie do braci wygnańców"). Pominięcie tych ostatnich prac, oprócz faktycznego znaczenia, wpłynęło także w sposób ujemny na przedstawienie stosunku Mickiewicza do Brodzińskiego (str. 40, 41), a mianowicie na ocenę poglądów Mickiewicza na działalność B-go, wypowiedzianych w kolegium francuskiém.

I układowi studyum ważne porobić można zarzuty. Nie jest ono wprawdzie tak chaotyczne jak rozprawka o Niemcewiczu, w któréj jedynym kierownikiem autorki było dowolne kojarzenie się wyobrażeń; zalet atoli systematyczności przyznać mu niepodobna. Najważniejszym w kompozycyi błędem jest to, że autorka w najzupełniejszéj z traktowaniem historyczném stanęła sprzeczności, i tym sposobem nie mogła przedstawić *rozwoju* umysłowości Brodzińskiego. Możnaby wprawdzie twierdzić, że autorce chodziło nie oto, jak się Brodziński rozwijał, ale jakim był przeciętnie, w ogólności, że zatém chciała nakreślić wizerunek literacki, ale takiemu twierdzeniu sprzeciwia się sposób obrobienia studyum, w któróm mamy pokolei szczegóły młodości, działalność profesorską, działalność publicystyczną i wreszcie twórczość poetycką. Otóż w tym właśnie uszeregowa-

niu tkwi błąd zasadniczy, bo jak można mówić o wykładach uniwersyteckich od r. 1822 do 1831, zanim się nie rozpatrzyło w dawniejszych utworach Brodzińskiego, zanim się nie rozebrało jego rozprawy o klasyczności i romantyczności, jego Listów o literaturze, jego Myśli o dążeniu polskiéj literatury; kiedy w tych właśnie artykułach tkwią zasadnicze myśli, wypowiadane i rozwijane następnie w prelekcyach uniwersyteckich? Tak postępować jest to burzyć naturalny porządek rzeczy. Pomimo jednak zaznaczonych tu usterek praca p. Marrenowéj ma zalety popularnego przedstawienia działalności i zasług pisarza, który dzisiaj mniéj jest czytany, niżby na to zasługiwał, a w skutek tego stawszy się poczytną, może przynieść istotny pożytek, może zachęcić i młodzież i starszych do częstszego rozpatrywania się w „Dziełach“ Brodzińskiego.

P. Chmielowski.

Początkowa nauka geometryi w zadaniach przez S. Dicksteina, Warszawa, 1881, 16—o, str. VII + 59.

W ostatnich latach pojawiło się u nas kilka zbiorków zadań do ułatwienia nauczania początków arytmetyki. Czy to przy ich pomocy, czy nawet i bez takowych, małym dzieciom zwykle dają różne coraz trudniejsze zadanka arytmetyczne. Innemi słowy, rodzice i w ogóle wychowawcy starają się o to, aby dzieci zaznajomiły się wcześnie z liczbami, ich własnościami i działaniami nad niemi. Mało jednak dbają o pojęcia geometryczne. Nierzadko się też zdarza, że rozpoczynający systematyczną naukę geometryi elementarnéj w klasie (jak teraz) czwartéj, z najprostszemi z niéj pojęciami nie są oswojeni, chociaż zwykle już lat cztery lub pięć „uczą się.“ Dla nich *koło* jest częścią wozu, *linia* przyrządem do kreślenia, a wzmianka pierwsza o *kącie* niekiedy niemiłe w nich budzi przypomnienie... Dlatego p. D. rzeczywistą oddał usługę ogłaszając ten zbiorek zadań. Dziecko, które je przerobi, z pewném zainteresowaniem słuchać późniéj będzie systematycznego udowadniania tego, co już jest mu znaném; łatwiéj tém samém wejdzie w tę sferę pojęć, które skutkiem braku przygotowania, zwykle przez rozpoczynających naukę ścisłą nie są należycie przyswajane. Książeczka ta jest więc całkiem na dobie. Prędzéj lub późniéj doczeka się dalszych wydań. Tym więc chętniéj wypowiemy tu uwagi, jakie przy pobieżném jej przejrzeniu nam się nasunęły. — Tak pod Nr. 13 spotykamy: „odległość prostolinijna, albo wprost odległość.“ Po co komplikować pojęcie abstrakcyjne odległości przez dodatek: prostolinijna, a to tym

więcéj, że już wciąż daléj spotyka się tylko wyrażenie: odległość, a o odległości krzywolinijnéj uczeń dowie się dopiéro przy nauce o kuli (nie z téj książeczki); to zaś ostatnie pojęcie będzie wtedy wyraźnie ograniczone warunkiem rachowania jéj na powierzchni kuli, tak, iż pojęcie ogólne o odległości (bez zastrzeżeń) będzie ściśle zgodném z tém właśnie, jakie sobie wyrobił, bez specyalizowania jéj, jako prostolinijnéj. — Podobnież w Nr. 11 spotykamy: „odcinek prostolinijny,“ a daléj (Nr. 15—28) tylko „odcinek.“ Lecz co do tego nasuwa się inna ważna uwaga. W tych miejscach wyraz: odcinek (powinno być: odcinek linii prostéj, jeśli już koniecznie mamy tu wprowadzić wyraz: odcinek) użytym jest, aby uniknąć wyrażenia: linia prosta, kiedy mamy na myśli prostą ograniczoną, gdy tymczasem w Nr. 38, 105 (zdanie drugie), choć o prostych ograniczonych jest mowa, wyraz odcinek nie został zastosowany. Naszém nadto zdaniem odcinek sam przez się, tak, jak go p. D. (Nr. 11, 12) wprowadza, w geometryi nie istnieje. Może być mowa o jednym z dwu lub więcéj odcinków téj saméj np. prostéj (jak w Nr. 159, 160), ale nie o odcinku, niezależnie od drugiego odcinka istniejącym oddzielnie.— Nr. 70 „proste, tworzące kąty przyległe równe, nazywają się prosto padłemi.“ Mówi się zawsze: prostopadłe do czego. Te linie nie są prostopadłe do trzeciéj. Powinno więc być: „proste... równe, są do siebie nawzajem prostopadłe.“ — Nr. 1 „Oto masz przed oczyma sześcian.“ Po uwadze o ścianach sześcianu i bokach kwadratu (Nr. 7), a następnie o kątach kwadratu i równości kątów prostych (Nr. 72), należało od ucznia zażądać zaraz dokładnego opisu sześcianu, ażeby pojęcie znanego mu już sześcianu zdeterminować, skoro to stało się możebném.—Jeżeli „linia, któréj żadna część nie jest prostą, nazywa się krzywą“ (Nr. 120), to jak się nazywać będzie—uczeń zapyta— linia złożona z dwu części, prostéj i łuku koła? a na wyobrażenie kształtu téj linii naprowadzić może dziecko hak do zawieszania drążków. — Drugie zdanie Nr. 110 jest tak zredagowane, że uczeń może płaszczyznę przekątną sześcianu nazwać ścianą.—Czy mowa o „360-tych częściach“ w Nr. 58, jak również żądanie w Nr. 64 odpowiedzi na pytanie „jaką częścią okręgu koła jest sekunda,“ nie jest zawczesne i czy wprowadzenie stopni koła (Nr. 58) nie dałoby się uskutecznić jaśniéj, przystępniéj? — Zamiast wyrażenia linia „jest niepłaską“ (Nr. 118) wolelibyśmy: linia nie jest płaska, a samo się przez się rozumie, iż zamiast: „drugie ramiona (kątów) zlać się nie mogą“ (Nr. 49) chętniéj byśmy widzieli zwykłe używane: przystawać do siebie nie mogą. Zwrócimy jeszcze uwagę, że gdy dwie rzeczy są nierówne, dość jest powiedzieć: jedna z nich jest większa; należy zaś uczniów oduczać od robienia dodatku: „a druga jest mniejsza“ (Nr.

49, 51), będącego pleonazmem. — Ogólnie zaś jeszcze dodamy, iż książeczka ta, o ile się nam wydaje, większą usługę odda, gdy będzie w ręku uczącego, a nie ucznia, jak to było (str. VI) zamiarem autora. Życzyć-by nadto należało, żeby wprowadzono większą liczbę zadań, w rodzaju zadania Nr. 277, w którém jest mowa o powierzchni stołu. Im więcéj podobnych zadań, mających na celu zastosowania wiadomości nabytych do mierzenia przedmiotów otaczających ucznia, tym lepiéj. Korzystném byłoby jeszcze wprowadzenie oddzielenia jakimkolwiek znakiem, kreską, paragrafem, jednéj grupy pokrewnych kwestyj, traktowanych w idących po sobie numerach, od następnéj, odnoszącéj się do odmiennych pojęć. — Drobiazgowe uwagi powyższe są wskazówką, iż tę książeczkę, ułożoną według metody H. Spencer'a, uważamy za cenny nabytek dla starannych wychowawców. Zadania bowiem i kwestye w niéj podane są wybrane ostrożnie i trafnie, oraz w ogóle mówiąc, przy ich systematyzowaniu autor uwzględnił stopniowe rozwijanie się dziecka. Nacisk w przedmowie na unikanie pośpiechu przy jéj przerabianiu bardzo słuszny. — Zamykaliśmy tę książeczkę z myślą, iż rozpowszechnianie się podobnych pomocy naukowych jest w pewnym stopniu miarą postępu i troskliwości w tak ważném nauczaniu początkowém dzieci.

M. Baraniecki.

= **Bibliografii polskiéj XIX stulecia** p. *Karola Estreichera* wyszedł zeszyt drugi tomu szóstego i zawiera dopełnienie do tomów poprzednich w zakresie liter *H* do *O* (włącznie). W dołączonéj na czele przedmowie wyjaśnia autor, dlaczego nie chce postąpić wedle życzenia wypowiedzianego w *Ateneum* z r. b. (I, 583), żeby się w dopełnieniach ograniczył do pewnéj daty i żeby dołączył spis chronologiczny. P. Estreicher nie widzi wśród ogółu takiego zamiłowania w bibliografii, któreby dozwalało przypuścić, iż po ukończeniu dzieła zjawi się kiedyś uzupełniacz jego pracy, w terminach stałych i określonych; dlatego (dodaje) im obszerniejszém będzie, im rozciągléj idącém obecnie dzieło bibliograficzne, tém większa z niego korzyść; im bliższych czasów dosięga; tém większe obudzi zajęcie. Nam się zdaje, że w poglądzie autora na trudność pojawienia się „uzupełniacza" jest dużo pessymizmu, a w chęci obudzenia zajęcia przez zagarnięcie do Bibliografii jaknajświeższych tytułów—dużo optymizmu. Wszakże już teraz od lat 4 wychodzi stale „Przegląd bibliograficzny" staraniem p. Wł. Wisłockiego; czemużby nie przypuścić, że tenże pracownik zechce ułożyć po latach

pięciu czy dziesięciu ogólny katalog bibliograficzny? Co się zaś tyczy świeżości tytułów, to te nie przynęcą oczywiście nabywców z pośród szerokiego ogółu, któremu tytuły a nawet nazwiska bywają obojętne, a badacz literatury, krytyk, znajdzie się w ciągłym kłopocie, nie będąc pewnym, do jakiéj daty sięga bibliografia; prócz tego, psuje się przez to samo dzieło, które będzie miało zawsze cechę niedokończenia; boć już zeszyt I tomu VI obecnie potrzebowałby nowych dopełnień, a za rok całość dopełnień już będzie niekompletną. Czyż więc nie byłoby praktyczniéj, dla badaczów dogodniéj, gdyby tym dopełnieniom pewną metę naznaczono?... Od ułożenia spisu chronologicznego dzieł z wieku naszego wymawia się autor czekającą nań pracą około stuleci ubiegłych „pracą znacznie mozolniejszą i znacznie większego rozmiaru.“ „Trzech wielkich robót niepodobna dokonywać naraz; byłyby wszystkie ułomne.“ Dodaje wszakże, iż chętnie spis taki wydrukowałby, gdyby kto podjął się go ułożyć z pracy p. Estreichera: „rzecz nietrudna — powiada — dwuletniéj mechanicznéj roboty wymagająca, a w rezultacie nader użyteczna.“ Zdawało-by się, że rzecz byłaby jeszcze łatwiejsza, niż ją autor wystawia, gdyby téż same kartki, z których drukuje się „Bibliografia,“ ułożono w porządku chronologicznym zamiast abecadłowym; ale ażeby to przypuszczenie uzasadnić, potrzebaby znać warunki, w jakich „Bibliografia“ się drukuje. Nie tracimy bądź-co-bądź nadziei, że ten spis chronologiczny, którego ważność i użyteczność p. Estreicher uznaje, zostanie ułożony i wydrukowany. — Drugą część przedmowy poświęca autor ostréj replice na zarzuty galicyjskiego „Słowa,“ które w „Bibliografii polskiéj XIX stulecia“ dojrzało dążność pomijania literatur pobratymczych. — Nad samą bibliografią nie możemy tu robić uwag, ani wykazywać drobnych usterek, jakieśmy dostrzegli; winniśmy jedynie złożyć należny hołd uznania autorowi za pracowitość i wytrwałość w podjętém przedsięwzięciu ciągnącém się już lat 12; a zarazem zachęcić czytelników do poparcia dzieła tego prenumeratą.

═ Ile razy utwór jakiś piśmiennictwa polskiego ukazywał się w przekładzie na język obcy, zawsze prawie czasopisma nasze zwracały na to uwagę czytelników, wynosiły zasługę tłómacza i nie żałowały mu słów zachęty do dalszéj na tém polu pracy. Łączyła z tém może nadzieja, iż takie sympatyczne witanie przekładów pobudzi innych chętnych do pióra ludzi do wystąpienia w roli tłómaczów. Że ta nadzieja była uzasadnioną, przekonywa książeczka świeżo przez d-ra Aleksandra Stekerta, we Francyi wydana. Pan Stekert, warszawiak zamieszkały w Tuluzie, zapragnął zapoznać

francuzów z badaniami historycznemi Aleksandra Przeździeckiego, i w tym celu z książki wydanéj przed 28 laty pod napisem „Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach“ wybrał ustęp zarówno dla mieszkańców Powiśla jak i brzegów Garonny ciekawy i przełożył na język francuski. **Riche ou Richilde (donna Rica) princesse polonaise, reine (impératrice) d'Espagne, comtesse de Provence et de Toulouse** *par Alexandre Dr. Stekert* (*de Varsovie*). *Paris*, *Toulouse*, *1881*—taki jest tytuł książeczki, o któréj mówimy zawierającéj stron 21. Nie znalazłszy w nim żadnéj wzmianki o Przeździeckim, mógłby kto przypisać to opuszczenie wpływowi powietrza gaskońskiego; jednakże mniemanie takie nie zupełnie byłoby słuszném. Wprawdzie p. Stekert całkowite karty tekstu polskiego dość wiernie tłómaczy, ale dodał przecież na samym końcu pół szosta wiersza, a na początku tablicę genealogiczną, która się nie wszędzie z tekstem zgadza. Prócz tego nasz gaskoński ziomek opuszcza jeden przypisek, natomiast uzupełnia inny wzmianką o *piękności* Berengueli prowanckiéj, kiedy Przeździecki okazał dziwną obojętność na wdzięki zmarłéj przez 700 laty niewiasty. Kilkanaście błędów w przytaczanych tekstach jest również własnością niezaprzeczoną p. Stekerta, gdyż ich u Przeździeckiego nie znajdujemy. Nakoniec i w samém opowiadaniu zdarzeń tłómacz odstępuje od oryginału. W książce polskiéj powiedziano, że Konrad III „przyśpieszył wysłanie Kardynała Grzegorza do Polski“ co znaczy, że cesarz swém naleganiem skłonił papieża do prędszego wysłania legata;—tymczasem u p. Stekerta czytamy, że „Conrad s'empressa d'expédier en Pologne le cardinal“—wyrażenie, z którego by wypadało, że legat był wysłańcem nie papieża lecz cesarza; jakoż kilku wierszami niżéj „legat“ tekstu polskiego nazwany w tłómaczeniu „l'envoyé del'empereur,“ skutkiem czego i klątwę rzucić wypadało tłómaczowi jakoby „w imieniu“ cesarza. Tę drobną niedokładność wynagradza p. Stekert w inném miejscu jasnością przekładu nie pozostawiającą nic do życzenia. Nie możemy sobie odmówić przyjemności okazania czytelnikom téj znakomitéj próbki stylowéj. „Boleslas laissa même des otages... parmi lesquels se trouvait Casimir, leur plus jeune frère... cinquième fils de Boleslas III, *leur père*.“ W obec takiéj dokładności wyrażenia, art. 340 kodeksu Napoleona, zabraniający poszukiwać ojcostwa, nie może już przestraszać synów Bolesława Krzywoustego. Według listu Fryderyka Rudobrodego, jak go tłómaczy Przeździecki, Niemcy z takim pośpiechem przeprawiają się przez Odrę, że niektórzy z nich toną; u p. Stekerta, Polacy spiesznie uciekają, i lubo niepotrzebowali przebywać téj rzeki, dziwnym jednak sposobem, topią się w jéj nurtach.—Lubiącym rozwiązywać łamigłówki prawdziwie się przysłużył

p. Stekert czyniąc wspomnianego Fryderyka na str. 10 tekstu synem Henryka V, a na tablicy genealogicznéj synem Konrada III.—Z tych wszystkich powodów chwalimy bardzo p. Stekerta, iż podał swoje tłómaczenie pracy Przeździeckiego za robotę oryginalną; dla konsekwencyi jednak wypadało, albo opuścić w przypisku na str. 6 wyrazy „le comte A. Przeździecki, auquel nous empruntons ces renseignements,“ albo téż powiedzieć: auquel nous empruntons tout le texte et toutes les notes, sauf quelques modifications. Ze stanowiska wszakże prawnego wychodząc (a p. Stekert jest właśnie prawnikiem) nie możemy zgodzić się na uznanie téj czynności za pożyczkę, która należy do kontraktów dwustronnych. Jest to raczéj tak zwana przez prawników francuskich *saisine*. Pan Stekert wyczytał zapewne w *kutiumach* starą dykcyą: *le mort saisit le vif* i zastosował ją w tym razie praktycznie, zapomniał jednak, że ani związki krwi ani powinowactwo umysłowe nie wiążą go wcale z nieboszczykiem Przeździeckim.

═ **Nauka fizyki w uniwersytecie,** mowa miana przy rozpoczęciu roku akademickiego w uniwersytecie lwowskim 1-go października r. b. przez prof. d-ra Oskara *Fabiana* (Odbitka z „Kosmosu,“ Lwów, 8-vo, str. 15). Wykład trzymany w nastroju popularnym ze względu na publiczność, uczestniczącą w podobnych aktach uroczystych. Mimo to prelegent zaznaczył wyraźnie główniejsze momenty w historycznym rozwoju fizyki, trafnie pochwycił zasadnicze ich rysy, dostatecznie je oświetlając, silniéj jednak zaakcentował niektóre z najnowszych teoryj, jak np. kwestyą tak zwanego stanu ultra-gazowego, teoryą elektryczności Edlunda. Rzecz cała napisana potoczyście i barwnie. Dodamy tu, iż mówca zaznaczył, że w r. b. dopiéro fizyka matematyczna uzyskała zupełne równouprawnienie z innemi przedmiotami w uniwersytecie lwowskim, przez utworzenie profesury zwyczajnéj tego przedmiotu (któréj uniwersytet Jagieloński jeszcze nie posiada). *M. A. B.*

═ **O tak zwanym czwartym stanie skupienia** napisał dr. Oskar *Fabian*, prof. un. lw. (Odbitka z t. VII „Rozpraw i sprawozdań“ wydz. mat.-przyrodniczego akad. um., Kraków. 1881, 8-vo, str. 37). Autor szczegółowo się zastanawia nad głośnemi od lat dziesiątka doświadczeniami Crookes'a i jego teoryą stanu promienistego materyi, jak również drobiazgowo rozbiera doświadczenia oraz teoryą Puluj'a i jéj wyniki, zawarte w ogłoszonéj w r. z. pracy tego uczonego: „Strahlende Elektrodenmaterie,“ któréj rezultatem było odrzucenie zapatrywań Crookes'a. P. Fabian w zasadzie podzielając główne tezy Puluj'a, poddaje jednak jego wywody w kilku kwestyach znacznéj modyfikacyi, co gruntownie uzasadnia. Jako przyczynę zja-

wisk, które wywoływały przypuszczenie czwartego stanu skupienia, autor stawia albo ruch cząsteczek metalowych, oderwanych od bieguna ujemnego, albo téż ruch cząsteczek gazu stykających się bezpośrednio z elektrodą ujemną. Na korzyść jednak téj ostatniéj teoryi przemawia szereg poważnych faktów, przytoczonych z doświadczeń własnych autora. Rozprawa ta obejmuje krytyczne i wyczerpujące przedstawienie naukowych teoryj poruszonéj kwestyi, oraz gruntowne uzasadnienie poglądów autora. *M. A. B.*

= **Zasada momentów przygotowanych**, przyczynek do analitycznéj mechaniki, napisał dr. Oskar *Fabian* prof. uniw. lw. (Odbitka z t. VIII „Rozpraw i sprawozdań" wydz. mat.-przyrod. akad. um., Kraków, 1881, 8-vo, str. 14). Po krótkim historycznym rysie zaznaczania i udowodniania téj fundamentalnéj zasady mechaniki, autor podaje własny jéj wywód odnoszący się odrazu do przypadku ogólnego t. j do układu ilukolwiek punktów, połączonych w jakikolwiek sposób z sobą i poddanych jakimkolwiek siłom. Wywód ten zaleca się prostotą i jasnością i może być z korzyścią wprowadzony do podręczników mechaniki analitycznéj. *M. A. B.*

= Pracujący nad historyą kultury, wierzeń, lub jakby wyraził się pesymista, obłędu czy téż łudzenia się rodzaju ludzkiego, w ostatnich latach trzech otrzymali ciekawy nabytek. Jest-to dzieło p. n. **Histoire de la divination dans l'antiquité**. Wydał je znany już publiczności francuskiéj autor dzieła: *Les Pontifes de l'ancienne Rome* (1871) i szeregu artykułów w *Dictionnaire des antiquités grecques et romaines* Daremberga i Saglio, *A. Bouché-Leclercq*, profesor fakultetu literackiego w Paryżu. Wydane są dotychczas trzy tomy, każdy o kilkuset stronicach w 8-ce większéj; czwarty zapowiedziany od roku. Tytuł atoli poniekąd zawodzi. Każdy obeznany z odkryciami w Asyryi i Egipcie, z pomnikowemi pracami Lenormant'a (*La magie chez les Chaldeéns* 1874, *La Divination et la Science des présages chez les Chaldéens*, 1875). Maspero, Chabas'a, Rougé'go z wydanemi papirusami magicznemi, lub księgą zmarłych,—sądząc po tytule dzieła Bouché-Leclercq'a przypuścić mógłby, że nakoniec objął ktoś w jednéj pracy całą starożytność, że powiązał z sobą rozmaite przejawy tych samych potrzeb i uczuć i przedstawił je w jednéj całości. Autor jednakże pominął i Chaldeę i Egipt, owe klasyczne ziemie wszelkich guseł, wieszczeń, zaklinań, owę kolebkę czarodziejstwa, gdzie wszystko się składało, by je doprowadzić do możebnéj doskonałości, ubrać w formę sztuki, zabarwić tajemniczością właściwą starożytności pochodzenia, wyczerpać wszystkie zasoby łatwowierności i obawy, doprowadzić do absurdum. Rozpoczynając dzieje wróżbiarstwa od czasów greckich, ograniczając się na Grecyi i Italii, autor do-

browolnie pozbawił się możności dotarcia do źródła tego, o czém traktuje; poprzestając jedynie na pisarzach greckich i rzymskich nie wyjaśnić, co oni otrzymywali i przekazywali, lecz zestawić tylko mógł. Zresztą—jest to jedyny zarzut, jaki można zrobić téj pracy. Przedmiot jest traktowany z erudycyą niemiecką, przedstawiony systematycznie, z właściwą francuzom jasnością. Godna podziwu znajomość literatury starożytnéj i źródeł, pozwoliła autorowi zebrać wszystko, co tylko gdzie bądź powiedziano o tym przedmiocie, należyte te przygotowanie naukowe, materyał ten samodzielnie obrobić, obszerne zaś ramy, zakreślone dziełu, wszystko to pomieścić dostatnio. Wydane trzy tomy objęły dopiéro Grecyą (*Divination Hellénique*). Część *pierwsza* zawiera metody wróżenia (tom 1-szy cały), część druga (tom 2-gi i 3-ci) traktuje o osobach wieszczących bądź pojedyńczo (prorocy, sybille) bądź kolegialnie (wyrocznie). Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że wiara w czarodziejstwa wynikała ze stanu wiedzy i charakteru pojęć religijnych, że wróżbici i wróżki wchodziły w skład ciała kapłańskiego; jeżeli przypomnimy sobie, do jakiego znaczenia w dziejach ludów starożytnych dochodziły wyrocznie, że od nich nie raz zależały najważniejsze działania państwowe i czyny jednostek, będziemy wielce wdzięczni autorowi „Historyi wróżenia“ za podjęty trud i za sposób, w jaki go wykonał. Dzieło to bowiem odsłania czytelnikowi jednę z bardziéj tajemniczych i zagadkowych stron w dziejach społeczeństw; dla przyszłego zaś historyka Religii przedstawia zebrany i uporządkowany materyał, z którego mu nie raz skorzystać wypadnie.

= *Paweł Pierret*, konserwator Muzeum egipskiego w Luwrze, wydał wielce ciekawą i, jak obecnie, w braku dzieła traktującego o religii egipskiéj w jéj całości, bardzo pożądaną pracę p. n. **Le Panthéon Egyptien**. Kilka wyjątków z rozdziału wstępnego wyjaśni nam zasadniczy pogląd autora na religią egipską: „Teksty nam wykazują, że Egipcyanie wierzyli w boga jednego, jedynego, nieskończonego, wiecznego.“ Jeżeli na to zapewnienie zapytamy, co właściwie, przy tak ścisłym monoteizmie, oznaczają tysiączne postacie fantastycznych istot spotykane na rzeźbach egipskich, jaką rolę odgrywa Apis lub Mnewis w świątyni za życia, a po śmierci we wspaniałych grobowcach, na to autor nam odpowie: „W postaciach tych dziwacznych szukać należy znaków hieroglificznych, ideogramów i symbolów... Rozliczne postacie panteonu egipskiego przedstawiają rozmaite role i rozmaite własności boga abstrakcyjnego. Zachowuje on w każdéj z tych postaci, bez względu na ich ilość, swoję identyczność i całość swych własności...“ Następnie czytamy: „Najwspanialszym przejawem boga na ziemi jest słońce, które „ciałem“ jego nazywają... Słoń-

ce przedstawia symbol żyjący wiecznego odnawiania się bóstwa; umiera bowiem ono co wieczór, by odrodzić się co rana. Ten dramat słoneczny, jak można to nazwać, zamyka w sobie całą mitologią egipską. Składa go kilka aktów: wschód, przebieg dziennéj drogi nad widnokręgiem, zachód, przejście w nocy krain śmierci, odrodzenie się nazajutrz. W każdym akcie dramatu bóg zmienia imię nie tracąc jednakże ze swéj istoty i wszechmocy..." Całe dzieło następnie jest rozwinięciem tych poglądów. I tak. W rozdziale 1-szym zaznajamia nas autor z pierwotnymi bogami, a raczéj symbolami jednego boga; będą to: *Apis* (w Memfis), *Mnewis* (w Heliopolis), *Ptah*, *Nun*, *Num* i t. d. W rozdziale 2-gim poznajemy własności słońca, które wytworzyły osobny szereg bogów i bogiń symbolizujących te własności. W czterech rozdziałach następnych, cztery akta dramatu słonecznego. Występuje w nich słońce a pod postacią słońca bóg jedyny a jeden, pod rozmaitemi nazwami (*Mehur*, *Nut*, *Kem*, *Ra*, *Set*, *Set-Horus*; *Tum*, *Seb*, *Ozyrys*, *Anubis*, *Horus*; *Harpakrat*, *Imhotep*, *Nofre-Tum*). Drzeworyty zrobione z posągów i rzeźb uplastyczniają postacie bogów. Czytając dzieło Pierret'a przenieść się musimy myślą do kolegium kapłanów egipskich, stanąć wśród łaknącéj wiedzy czy téż chleba rzeszy młodych Egipcyan. Podlegamy bowiem złudzeniu, że słyszymy wykład teologa, dla którego religia stała się dogmatem, a rozwój jéj—formułą; który straciwszy z oczu historyą, pojęcia kilkudziesięciu wieków, zwinął w sylogizm suchy, prace kilkuset pokoleń skrystalizował w czcze twierdzenie. Dla takiego teologa wszystko jasne, gdyż własną logiką uporządkował chaotyczny materyał. Dla niego najdziwaczniejsze nawet fakta i zjawiska wyrażają pewną myśl, dadzą się podciągnąć pod pewny systemat, gdyż upatrzył w nich własną wiarę lub interes. Teksty nawet brzmią w tém dziele jako znane „powiedziano bowiem," bez uwzględnienia kiedy, przez kogo, przy jakich okolicznościach. Wysłuchawszy tego wykładu, zapytujemy jednakże: więc egipcyanie przedstawiali naród jednolity, podział na *nomy* nie dowodzi wcale innego ustroju państwowego, kult zaś specyalny różnych bogów po miastach wypłynął z dobrowolnéj umowy, w celu zwiększenia czci jednego boga, którego te bóstwa przedstawiać miały tylko własności? Więc egipcyanie przez cały ciąg kilku lub nawet kilkunastu tysiącoleci w rozwoju umysłowym nic nie postąpili, sztuka egipska nic na udoskonaleniu środków technicznych nie zyskała? Jeśli już na początku daty dziejowéj odbył się w Egipcie ów Synod religijny, który gwoli fantazyi ludowéj tworząc rozlicznych bogów, jako przedstawicieli własności jednego i jedynego, tak systematycznie i pięknie ich uporządkował, jakiemi środkami utrzymywano jedność wiary, jak

zapobiegano innowacyom? Rozwiązania tych pytań nie w Historyi Religii jeszcze, lecz w oddzielnych a specyalnych rozprawach szukać należy.

= **Note glotto logiche intorno alle lingue slave e questioni di morfologia e fonologia ario-europea.** Memoria di *I. Baudouin de Courtenay* (Firenze, 1881, str. 29). Jest-to odbitka z „Aktów IV kongresu międzynarodowego Oryentalistów“ a zawiera dwie rozprawki naszego językoznawcy, odczytane czy téż przedstawione tylko na tym czwartym kongresie. Pierwsza z nich mówi „o harmonii samogłosek w narzeczach rezyańskich;“ mamy tu streszczenie obszernych wywodów autora, złożonych w pracy po rosyjsku napisanéj p. n. *Opyt fonetiki rezjanskich govorov*, dopełnione wzmianką wywołaną przez recenzyą téj pracy, napisaną przez profesora Hasdeu w Bukareszcie. Pan Baudouin zestawiał harmonią samogłosek w narzeczach rezyańskich z podobną harmonią w językach turańskich i przypuszczał wpływ tychże na mowę Rezyan (mieszkających we Włoszech w prowincyi Udine, dystrykcie Moggio). P. Hasdeu zaś zwrócił uwagę na harmonią samogłosek w języku celtyckim i uważał za rzecz prawdopodobną, iż język Rezyan uległ wpływowi języka celtyckiego, przyczém twierdził, że Rezyanie są-to Celtowie zesłowiańszczeni. P. Baudouin w rozprawce swojéj włoskiéj wyznaje, że przypuszczenie p. Hasdeu niemniéj ma pozorów słuszności, jak jego własne dawniejsze o wpływie turańskim. W drugiéj rozprawce podaje p. Baudouin kilka spostrzeżeń dotyczących klasyfikacyi języków południowo-słowiańskich. Twierdzi tu na wstępie, że klasyfikacya języków słowiańskich w ogóle, i języków południowo-słowiańskich w szczególności nie jest dotychczas ustalona w sposób prawdziwie naukowy; następnie twierdzenie to uzasadnia. Przystępując do swego specyalnego zadania, rozróżnia wśród narzeczy południowo-słowiańskich przedewszystkiém dwie klasy: 1) bulgarską i 2) serbsko-kroacko-słoweńską a rozróżnienie to opiera na podstawie fonetycznéj. Potém klasę drugą dzieli na Serbo-Kroatów i Słoweńców. Wśród Serbo-Kroatów rozróżnia *Sztokawców* i *Czakawców*, a jakkolwiek wskazuje niedokładność naukową nazw tych, w braku atoli lepszych, na nich poprzestaje „cum grano salis.“ Wśród Słoweńców wyróżnia dwa główne pokolenia (*stirpi*): zachodnio-północne i wschodnio-południowe. Nadmieniwszy daléj o pod-narzeczach, będących wynikiem albo naturalnego procesu różniczkowania, albo wtargnięcia różnych plemion w różnych czasach, albo wreszcie wpływów obcych, podaje w końcu trzy spostrzeżenia dotyczące klasyfikacyi języków wogóle z punktu widzenia genetycznego.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kasa pomocy naukowéj.—Ekonomista i filantropia, projekta i robota na seryo.—Projekt tow. pomocy dla sług.—Wystawa ogrodnicza.—Zamierzony spis jednodniowy ludności miasta Warszawy.—Wydawnictwa: „kalendarz Litewski“ „Doniesienia Warszawskie.“—Ślepa mapa słowiańszczyzny. Ultimatum p. Aksakowa.

Nie raz i nie dwa mówiono w czasopiśmiennictwie naszém o niewesołych losach naszéj nauki. Istotnie, pomyślmy tylko o nienormalności warunków, wśród których umiejętność w kraju naszym rozwijała się i rozwija. Brakło nam téj ciągłości, téj nieprzerwalności w istnieniu najwyższych zakładów naukowych, która jest niezbędną dla utrwalenia w narodzie zamiłowania do badań naukowych, brak instytucyj, którychby zadaniem było wywoływanie, zachęcanie i nagradzanie prac umiejętnych, które z powodu niemożności zastosowania ich bezpośredniego do potrzeb życia, nie znajdują poparcia wśród wielkiego ogółu a zatém i opłacać się nie mogą. Mówiąc o saméj Warszawie, wszakżeż długie, bardzo długie ciągnęły się lata, a uniwersytetu w niéj nie było; po krótkiéj zaś chwili istnienia instytucyi, która w języku krajowym naukę wykładała, nastąpił i dotąd trwa okres, w którym język ten nawet jako przedmiot studyów został w niéj pominięty: wszakżeż od roku 1831 nie ma Warszawa żadnego towarzystwa naukowego, któreby *ogół nauk* za cel uprawy i doskonalenia postawić sobie mogło...

Skutkiem tak fatalnego składu okoliczności, nie mogło się wytworzyć wśród narodu dostateczne przygotowanie do przyjęcia nauki, ani tém samém dostateczne w niéj zamiłowanie, ażeby jednostki, które czas i trudy swoje poświęciły jéj uprawianiu, mogły swobodnie i bez trwogi o jutro nad doskonaleniem jéj pracować. Stąd nie bywało to rzeczą wyjątkową, że uczony nie tylko w biedzie pędził życie, ale w nędzy umierał, albo że potrzeba było odwoływać się do

uczucia *litości*, ażeby temu lub owemu weteranowi nauki ostatnie lata groszem publicznéj jałmużny uczynić znośnémi. Społeczeństwo instynktowo czujące potrzebę oświecenia, mówi swym synom: uczcie się! i dopóki są w gimnazyum lub w uniwersytecie daje dla nich już-to stałe, już-to doraźne wsparcia w formie stypendyum lub zapomogi na wpis, na książki. Ale jak tylko młodzieniec skończy uniwersytet, społeczeństwo go opuszcza, w tém przekonaniu, że nabrawszy wykształcenia, powinien i może sam sobie dopomódz, sam na własne utrzymanie zapracować. Gdyby szło o utrzymanie tylko, to niechby sobie radził młodzieniec, tak jak radziło i radzić sobie będzie wielu. Idzie tu jednak jeszcze o rozwój nauki w narodzie. Otóż są tacy, którzyby nauce poświęcić się pragnęli, a tymczasem brak środków zmusza do zaniedbania téj niwy naukowéj, na któréj w uniwersytecie pracować zaczęli a która im chleba nie zapewnia. Szukają zatém zajęcia, nieodpowiedniego często ani ich usposobieniu ani uzdolnieniu, mającego wszakże tę niepospolitą zaletę, że się opłaca. Tym sposobem istnienie, byt jednostki, zostaje jako-tako zabezpieczony, ale nauka traci niejednokrotnie talent, który mógłby przynieść pożytek i chlubę społeczeństwu.

Mógłby kto zarzucić, że społeczeństwo popiera i opłaca to, co mu jest potrzebne; cóż je tedy może interesować taka nauka, bez któréj ono się obchodzi? Społeczeństwo—powie on—rozwijając się, dojdzie powoli do poczucia konieczności nauki wyższéj, niż jéj potrzebuje dzisiaj, a wtedy potrafi ocenić i utrzymać ludzi, nauce téj oddanych. Twierdzenie takie jednak dowodziłoby krótkowidztwa umysłowego; znaczy ono bowiem toż samo co zdanie: nie ma konieczności dbać o wykształcenie dzieci, powoli one same potrzebę tego wykształcenia zrozumieją i nabywać go będą. Nie zapominajmy tylko nigdy, że inteligencya jest tém w organizmie narodowym, czém mózg w organizmie jednostkowym; od normalnego rozwinięcia jednéj i drugiego zależy rozumne kierownictwo czynnościami wszelkiemi. Jeżeli tę prawdę będziemy mieli w pamięci, to nie zechcemy twierdzić, że ta lub owa nauka nam niepotrzebna, lecz przeciwnie nie żałując grosza, całemi siłami popierać będziemy wszelkie prawdziwie naukowe przedsięwzięcia.

Takiemi zapewne myślami kierowało się grono osób, które wkrótce po śmierci rektora Szkoły Głównéj, dra Józefa Mianowskiego obmyśliło projekt śpieszenia z pomocą ludziom nauce się oddającym. Projekt ten przeszedł już przez wszystkie instancye, otrzymał zatwierdzenie i zamienił się właśnie w czyn, w instytucyą, noszącą nazwę: „Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowém.“ Do rozporządzania funduszami téj kasy wybrany został komitet z 12

członków złożony. Wobec olbrzymich a różnorodnych potrzeb kraju naszego, Komitet ma nader trudne zadanie pogodzenia sprzecznych z sobą poglądów, na kierunek, jaki działalność kasy przybrać winna. Namby się zdawało, że zarówno zasadniczą myślą ustawy jak i myślą pierwotnych twórców projektu uczczenia pamięci rektora Szkoły Głównéj jest popieranie prac ściśle naukowych, z uwzględnieniem, naturalnie, najważniejszych i najpilniejszych potrzeb naszych. W początkach zwłaszcza, przy małych funduszach, rozstrzelenie działalności w różnorodne kierunki byłoby rzeczą niewłaściwą, w miarę zwiększenia się funduszów, i sfera działalności rozszerać się może. Nie wątpimy, że społeczeństwo nasze, a mianowicie ludzie rozumiejący nieodbitą potrzebę gruntownéj nauki w narodzie, pośpieszą z pomocą pieniężną i z poparciem moralném, już-to zapisując się na członków kasy, już téż ofiarując datki znaczniejsze. Dawały się czasami słyszéć głosy, że są ludzie zamożni, gotowi dać dziesiątki tysięcy dla jakiegoś pięknego celu. Teraz ludzie tacy mają pole do okazania w czynie swych uczuć obywatelskich, bo istnieje instytucya, która daje pewną gwarancyą należytego, rozumnego, zbawiennego zużytkowania ofiar.

Uważaliśmy za potrzebne poprzedzić temi słowy odezwę, którą komitet „kasy pomocy“ nam nadesłał, a którą serdecznéj rozwadze czytelników najgoręcéj polecamy.

Komitet kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, imienia doktora medycyny Józefa Mianowskiego—ma zaszczyt podać do wiadomości publicznéj, że założona na zasadzie Ustawy zatwierdzonéj przez ministra Spraw Wewnętrznych dnia 30 Czerwca r. 1881. Kasa pomocy imienia Mianowskiego, z dniem 1-go Października r. b. rozpoczęła czynności swoje.

Stosownie do Ustawy, kasa ma na celu: udzielanie zapomóg pieniężnych jednorazowych lub peryodycznych, oraz pożyczek osobom pracującym na polu naukowém lub téż osobom, które już poprzednio w téj dziedzinie dały się poznać ze swoich prac naukowych. Zadaniem kasy może być również udzielanie takim osobom środków lub téż pożyczek na cele naukowe.

Fundusze kasy stanowią: a) wkłady założycieli, b) jednorazowe i coroczne wnioski członków kasy, c) dobrowolne ofiary na zasilenie kasy.

Członkowie kasy dzielą się na honorowych i rzeczywistych. Za honorowych członków uważają się ci, którzy ofiarują jednorazowo dla kasy przynajmniéj sto rubli. Do rzeczywistych zaś członków zaliczają się osoby, wnoszące corocznie do kasy przynajmniéj pięć rubli.

Sprawami kasy zarządza komitet wybrany z założycieli, w skład którego weszli: Tytus Chałubiński (Prezes), Stanisław Kronenberg (wice-prezes), Piotr Chmielowski, Karol Deike, Konrad Dobrski, Mścisław Godlewski, Władysław Holewiński, Jakób Natanson, Henryk Sienkiewicz, Franciszek Śliwiński, Henryk Struve, Filip Sulimierski.

Kasa posiada już obecnie pewien fundusz rozporządzalny, złożony w myśl Ustawy przez członków założycieli. Fundusz ten, użyty będzie na cele wyżéj wskazane w miarę zgłaszania się osób pragnących korzystać z pomocy instytucyi. Podania w téj mierze wnosić należy na imię prezesa komitetu kasy (Tytus Chałubiński, Mokotowska 8) lub jéj członka sekretarza (Marszałkowska 50—Konrad Dobrski).

Dla zwiększenia rozporządzalnego funduszu, komitet ma zaszczyt upraszać o zasilanie go ofiarami na ten cel wnoszonemi, bądź w formie składek mających się opłacać przez członków honorowych i rzeczywistych, bądź w formie jednorazowych zasiłków, nadmieniając, że tak jedne jak drugie przyjmują się tymczasowo w biurze wice-prezesa Stanisława Kronenberga (Mazowiecka 18), w godzinach od 10 do 2 codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt. Tam również zapisywać się można na członków kasy i zasięgać wszelkich co do niéj informacyj.

Osoby mieszkające na prowincyi, raczą się zgłaszać listownie do kasyera instytucyi a zarazem członka jéj komitetu Karola Deikego (ulica Hr. Berga N. 3).

W Sierpniu i Wrześniu „Ekonomista“ w kilku artykułach wstępnych powstawał na „monopole filantropijne“, które u nas w Warszawie przywłaszczyli sobie jakoby „niepowołani specyaliści od filantropii.“ Nie dotykając poruszonych w tych artykułach kwestyi osobistych, do których mięszać się nie mamy najmniejszéj ochoty, nie możemy pominąć kwestyi ogólnéj, początkowania w urządzaniu i przewodniczeniu instytucyom filantropijnym.

Autor wzmiankowanych artykułów myli się, zdaniem naszém, i staje się zbyt już specyalnym *ekonomistą*, przyznając prawo do czynów większego miłosierdzia jedynie ludziom bogatym, którym fundusze ich pozwalają na to. Chociaż bowiem pieniądz jest niezbędnym warunkiem materyalnym dla okazania biednemu pomocy skutecznéj, ale prawdziwa ludzkość i wysoko rozwinięte uczucie miłości chrześciańskiéj, są warunkiem duchowym czynów miłosierdzia, nie mniéj

ważnym, a bodaj pierwsze przed pieniędzmi zajmującym miejsce. Ponieważ posiadanie pieniędzy i silne poczucie miłości nie zawsze, a nawet dość rzadko jak nas uczy ewangelia, łączą się z sobą, ponieważ zacytować można mnóstwo przykładów instytucyi bardzo dobroczynnych, powołanych do życia przez ludzi, którzy nigdy bogatymi nie byli, nie można więc potępiać tych co podejmują inicyatywę w rzeczach filantropii, chociaż fundusze ich własne nie pozwoliłyby im doprowadzić téj sprawy do pomyślnego skutku.

Jednakże samo układanie projektów i pisanie ustaw, nie może być uważane narówni z powołaniem do życia instytucyi, i chociaż nie myślimy podejrzéwać szanownych autorów rozmaitych ustaw dla projektowanych stowarzyszeń, aby sobie przypisywali wielkie na polu filantropii zasługi, zdaje nam się, że w téj sferze działania, społeczeństwo nasze zbyt łatwo oddaje się iluzyom, i chorobliwie trochę bawi się myślami, nie powiem próżnemi, gdyż myśl poczciwa próżną być nie powinna, i zawsze, gdzieś, jakiś chociażby drobny skutek przynieść może,—ale myślami niedość przetrawionemi, które nie dochodząc do próby w praktyce życiowéj, nie napotykając przeszkód realnych do przezwyciężania, nie mogą téż pozbyć się cechy dyletanckiéj.

Nie potrzebujemy tutaj rozwodzić się nad warunkami wśród których żyjemy; każdemu z nas wiadomo jak trudno nam dojść do działania połączonemi siłami. Jak brak wszelkich szerszych widoków życia publicznego, wprawia siły nasze w stan odrętwienia, w którym to stanie marzenia najczęściéj grają rolę myśli, a gorączka uważaną bywa za rozwijanie się siły. Ale przy tych warunkach powinnibyśmy właśnie więcéj próbować działania osobistego i nie zadawalniać się układaniem projektów na szerszą skalę, o których najczęściéj powiedziéć można, że pozostaną tylko projektami.

W większéj części takich, powstających wśród naszego społeczeństwa projektów, widać dużo dobrych chęci, ale mało zmysłu praktycznego. Gdzie indziéj, wśród ludzi do życia publicznego wciągniętych, sprawy zwykle innym idą torem; tam nierównie więcéj niż u nas projektują i zawiązują stowarzyszeń filantropijnych, ale téż tam najrzadziéj bodaj zdarza się aby spisywano ustawy pierwiéj nim się przystąpi do czynności, praktyka zwykle idzie naprzód, ona drogę toruje. Inicyatywa osobista, robota prawdziwa, daje rzeczy początek; a skoro ta się rozwinie i skomplikuje do tego stopnia, iż jedna lub kilka osób już jéj wystarczyć nie mogą, wtedy przywołuje się do pomocy koło liczniejsze, znajdują się chętni, i niezbędna przy wspólném działaniu większéj ilości ludzi ustawa, sama najłatwiéj się układa z doświadczenia już w życiu nabytego.

Ustawa w takim razie nie potrzebuje być poddawaną opinii literatów w pismach publicznych, bo literaci, z niéj dopiéro dowiadują się o tém co się już robi od dawna, co już owoce skuteczne przyniosło. Literaci i redakcye pism, rozpoznając pożytek jaki to przynosi, nadają rzeczy większy rozgłos, znajdują się ludzie przychodzący w pomoc z funduszami, bo widzą że sprawa idzie, i rządy tam podobnym ustawom nie odmawiają zatwierdzenia, udzielają im powagę swéj urzędowéj opieki.

Na téj tylko drodze mogą powstawać instytucye żywotne i trwałe, nasze zaś projekta marnieją najczęściéj, rodzą się jakby nieżywe bo nie niosą w sobie warunków życia, brak im prawie zawsze téj duszy żywiącéj: silnéj woli człowieka, który cel pewien ukochał, poświęcił mu swe siły i zdolności, a dopiéro doszedłszy do jakichś rezultatów wzywa pomocy współobywateli.

Pomocy, nie do ułożenia projektu ustawy, któréj redakcya przy rozwiniętéj czynności jest rzeczą jedną z najłatwiejszych; pomocy, nie do rozwinięcia myśli niejasnéj, chęci jakiejś nieokreślonéj przyniesienia ulgi cierpiącéj ludzkości, ale pomocy do dźwignięcia ciężaru wszystkim widomego, zawadzającego na drodze ułatwienia stosunków ludzkich, ciężaru któremu siły jednego, pomimo szczerych usiłowań, podołać nie mogą. W takich warunkach współobywatele chętniéj śpieszyliby z poparciem i nieśliby żądaną pomoc temu, który wie co robi, a innych nauczyć może jak robić należy,— w takich tylko warunkach zwykle jednoczą się siły i powstają stowarzyszenia, które dokonywają rzeczy wielkich, bo pracują pod hasłem dla każdego jasném i zrozumiałém, bo prostą drogą idą do celu wyraźnie wytkniętego.

W ciągu lata przesłano do redakcyi naszéj projekt ustawy Towarzystwa pomocy dla sług, ułożony w kółku ludzi dobréj woli zgromadzonych za inicyatywą pani Emilii Dębskiéj.

Projekt ustawy dla towarzystwa, które żadnych funduszów nie posiada, musiał koniecznie zamknąć się w bardzo ciasnych granicach. Obiecuje on sługom: bezpłatną pomoc lekarską, grzebanie tych, które umierając żadnego funduszu nie pozostawią, a dla tych które z powodu starości lub kalectwa już pracować nie będą mogły, przyrzeka *starać się* o zapewnienie przytułku; projektuje też urządzenie kantoru stręczeń, kasy przezorności i pomocy, rozdawnictwo nagród za dobre sprawowanie się, oraz urządzenie gospód dla zabawy i użytecznych tamże pogadanek; za co wszystko sługa ma się poddać opiece a co za tém idzie i kontroli towarzystwa.

Nam się zdaje że obiecane dogodności nie są tak wielkie, ażeby skłoniły sługi do szukania opieki towarzystwa. Poddać siebie

i czynności swoje kontroli osób obcych, będzie zawsze i dla każdego rzeczą uciążliwą; tém przykrzejszą, na pozór przynajmniéj, musi być kontrola stowarzyszenia, działającego przez organa wybrane, zatém otoczone jakąś urzędową atmosferą; a chociaż cele tow. są najdobroczynniejsze, jednakże zamykają się one w ogólnych wyrażeniach: „zapewnienie sługom pomocy materyalnéj i moralnéj, tudzież rozwijanie w nich poczucia obowiązku i samopomocy.“

Sam projekt powstał z powodu ciągle trwającego narzekania na zły stosunek pomiędzy sługami i pracodawcami, zatém sądzić należy że tow. usiłowania swe kierować będzie ku zachęcaniu sług do moralnego postępowania i sumiennego spełniania obowiązku. Ale w projekcie całym nie ma wzmianki o jakimkolwiek zobowiązaniu ze strony tych którzy sługi najmują.

Owóż, stosunek pana czy pani domu do sług jest nader skomplikowany, i tak delikatnéj natury, że przy zajściach wszelkiego rodzaju, wina téj lub owéj strony, nie może być bez bardzo dokładnego zbadania okoliczności stanowczo określoną; a do podobnego badania wątpimy ażeby zarząd lub komitet towarzystwa miał czas i sposobność. Nowy kantor stręczeń przez tow. urządzony byłby może pożytecznym, ale dając panom pewniejszą niby gwarancyą dobrego sprawowania się służących, powinienby tym ostatnim dawać jakąś gwarancyą dobrego z nimi obchodzenia się. Zapewne że pomoc lekarska i obietnica pogrzebu mogą coś znaczyć; w każdym razie jednak nie tak dużo, ażeby ludzie zdrowi, którzy rzadko bardzo mogą być tak przezorni iżby o możliwéj chorobie pamiętali, dawali za to komuś prawo sądu o swoich postępkach; o śmierci zaś i pogrzebie zwykle medytują ludzie starzy, a wątpić należy, czy obietnicą miłosiernego pogrzebu, możnaby dwudziestoletnią *młodszą* zachęcić do sumiennego spełniania obowiązku.

Z obmyślanych środków, najbardziéj mogłoby wpłynąć na pociągnienie sług do szukania opieki towarzystwa, zapewnienie im przytułku na starość, i to nie tyle przytułku, ile jakichkolwiek emerytalnych wypłat, po pewnéj ilości lat pracy pod opieką tow., bo do domu przytułku ludzie niechętnie idą, chybaby przeszli pierwéj przez wszystkie stopnie nędzy; ale w téj materyi, tow. nie mające funduszów, może tylko obiecywać *staranie* o urządzenie przytułku.

Środkiem prawdziwie skutecznym, wzbudzającym zaufanie w sługach, byłoby zobowiązanie się członków tow. do dobrego i ludzkiego obchodzenia się z własnemi sługami, do uczenia ich pewnych robót, uznawania w nich swoich domowników, a nie przypadkowo tylko i chwilowo związanych z sobą na kwartał lub dwa przybłędów, zapewnienie im jakiéjkolwiek materyalnéj korzyści, szczególniéj za

dłuższą uczciwą i pożądną służbę, bez tego rodzaju warunków trudno się spodziewać ażeby chętni opiekunowie znaleźli kim się opiekować. Boć przecie kasy groszowe i kasa oszczędności istnieje już dzisiaj, a drobniuchny wedle projektu fundusz pomocy, do którego części uzyskuje się prawo pięcioletnią wytrwałością, zapewne mało kogo zwabi.

W ostatnich dniach Września r. b. odbyła się w Warszawie wystawa ogrodnicza. O ile jéj otwarciu niesprzyjała pogoda, o tyle w dniach następnych, podczas całego jéj trwania stan powietrza się zmienił na lepsze, a jasne i słoneczne, chociaż chłodne dnie, dały możność ludności naszego miasta tłumnego zwiedzania wystawy, z czego téż amatorzy, których rozwój ogrodnictwa w kraju szczerze interesuje, skwapliwie korzystali. Wystawa powiodła się najzupełniéj, dając nowy jeszcze dowód usilnych starań komitetu Muzeum rolnictwa i przemysłu w popieraniu i zachęcaniu wszelkich objawów rozbudzającéj się coraz bardziéj działalności naszego społeczeństwa w rozlicznych kierunkach pracy organicznéj. Obszerna w zwykłych warunkach sala doliny Szwajcarskiéj, przemieniła się od razu we wspaniały ogród zdobny w kląby drzew egzotycznych, na co się złożyły cieplarnie Łazienek, Wilanowa i Natolina, Ursynowa, ogrodu Frascati jako téż firm ogrodniczych w Warszawie to jest: braci Bardetów, braci Hoser'ów, p. Ulrych'a i innych, nie wspominając już o reszcie miejscowych i zamiejscowych wystawców, którzy doborem kwiatów, na jakie ich w porze jesiennéj stać mogło, rzucili na tło zieleni przeróżne barwy hodowanych przez siebie pieszczoszków Flory. Lecz wyraziwszy słuszne uznanie dla sztuki, która pod naszém chmurném i chłodném niebem z powodzeniem pielęgnuje rośliny właściwe strefom podzwrotnikowym, nie możemy téż dłużéj się zatrzymywać nad wystawą kwiatów, dla któréj już sama spóźniona pora roku wskazała jako nieuchronną konieczność, drugorzędne zaledwie znaczenie. Opuszczając więc państwo Flory, śpieszymy tam gdzie króluje Pomona.

W bogatym tym dziale widzimy najrozmaitsze gatunki owoców pochodzące z ogrodów powyżéj wymienionych, celujące doborém pod względem wielkości, barw, zapachu i zapewne smaku: jabłka, gruszki, śliwki, morele, brzoskwinie, ananasy, winogrona. Nie brakło wystawców z pomiędzy właścicieli ogrodów na prowincyi, nawet ze stron dalekich, bo ze Żmudzi, Podola i Wołynia. Obecność na wystawie okazów pochodzących z ogrodów należących do właścicieli ziemskich przekonała nas, że ogrodnictwo i sadownictwo zaczyna

być u nas uprawiane ze szczególném zamiłowaniem. Dążność ta, ku podniesieniu tak powabnéj gałęzi gospodarstwa, wybitniéj się okazuje od roku 1874, to jest od czasu ostatniéj w Warszawie wystawy rolniczéj, na któréj i ogrodnictwo było reprezentowane. Mamy prawo tak twierdzić, ponieważ w objaśnieniach dołączanych do deklaracyj wystawców, często znajdujemy wymieniony ten rok jako czas od którego rozpoczyna się rozszerzenie dawnego, lub założenie nowego ogrodu na większą skalę, jako téż szkółek drzewek owocowych, i to nie tylko już dla własnéj wygody i przyjemności, ale z widocznym celem ciągnienia zysków ze sprzedaży owoców i szczepów drzew owocowych. Instytucyą która najdzielniejszą stanie się podporą i pomocą dla tych usiłowań, jest nasz ogród pomologiczny, którego systematycznie ułożona wystawa wielce była nauczającą.

Bogaty dobór jego okazów był podzielony na trzy działy: pierwszy mieścił w sobie okazy wszelkich owoców godnych hodowania jako przydatnych do wszystkich celów; drugi zawierał takie, których hodowanie jeszcze się opłaca; trzeci nareszcie składał się z takich gatunków, które zgoła na hodowanie nie zasługują. Dokładne więc obeznanie się z przedmiotem pod tym względem, stanowić może dla właścicieli ogrodów podstawę do dalszego postępowania w racyonalnym kierunku i uniknienia strat, na które się niechybnie narażą, hołdując dylletantyzmowi lub ślepemu naśladownictwu.

Słusznie zatém jedna z trzech najwyższych nagród, podziękowanie komitetu, przypadła w udziale ogrodowi pomologicznemu.

Nie możemy tu wyliczać nazwisk wystawców i bliżéj się zastanawiać nad okazami przez nich dostarczonémi. Lecz nie możemy pominąć milczeniem dwóch zwłaszcza wystawców, gdyż doniosłość ich pracy wyda niechybnie błogie w przyszłości skutki. Pierwszym z nich jest p. Leon Szyperski, nauczyciel szkoły ludowéj w Włocławku, drugim zaś ks. Roch Wójcicki, proboszcz z Belska (pow. Grójecki). Za przykładem i namową szan. proboszcza, okoliczni włościanie zakładają u siebie sady, do których szczepów dostarcza im szkółka przez ks. Wojcickiego założona i utrzymywana. Cywilizacyjny wpływ zacnych tych usiłowań godzien jest najwyższego uznania.

Dział warzyw, doborém swoich okazów rywalizował z wystawą owoców. Widzieliśmy prawdziwie olbrzymie buraki, marchew, brukiew, kapustę itd. Na tę wystawę złożyły się przeważnie, jak się łatwo domyśléć można, ogrody handlowe, położone w bezpośredniem sąsiedztwie Warszawy, ponieważ obfitość nawozu i zbyt zapewniony, umiejętnie prowadzoną hodowlę czynią nader korzystną.

W dziale tym szczególną zwracała uwagę kolekcya nasion różnych warzyw własnéj produkcyi braci Kaczyńskich, ogrodników w Warszawie (ul. Mokotowska 2). To nas powinno przekonać, że niepotrzebnie płacimy haracz, sprowadzając nasiona warzyw z zagranicy, kiedy równie dobrych, a bezwarunkowo pewniejszych, możemy dostać u siebie.

Komitet sędziów, uwzględniając starania i pracę wystawców okazał się hojnym, powiemy nawet zbyt hojnym, w udzielaniu nagród. Możnaby sądzić, iż położył sobie za zadanie nie pominąć nikogo, z bardzo małemi wyjątkami. Na 69 wystawców katalogiem objętych rozdanie 58, wyraźnie *pięćdziesięciu ośmiu* nagród rozmaitego stopnia, jako to podziękowań komitetu, dyplomów na medale złote i potwierdzeń dawniejszych, medali srebrnych wielkich i małych, medali brązowych i listów pochwalnych, stanowi liczbę zbyt wielką. Każda nagroda powinna być odznaczeniem wysoko przez wystawców cenioném, a gdy wszyscy są odznaczeni, wtedy nagroda traci swą wartość i tylko jéj stopniowanie przywraca w części właściwy jéj charakter. Mówimy w części, gdyż nie można dziwić się pewnemu niezadowolnieniu wystawców, gdy otrzymają jednakową nagrodę za przedmioty wprawdzie do różnych konkursów należące, ale które pod względem znaczenia i doniosłości w żaden sposób porównane z sobą być nie mogą. Nie dziwimy się bynajmniéj przyznaniu medalu złotego ogrodowi Frascati za sto czterdzieści drzewek obciążonych dojrzałym owocem ale wyhodowanych w doniczkach tak, że mogą służyć za zastawę stołu do wetów, chociaż i tu mimowoli nasuwa się nam na myśl rusińskie przysłowie: „nic dziwnego, że król ma piękną żonę;" ale stosunek pomiędzy małym medalem srebrnym udzielonym za podkłady pod bukiety, a listami pochwalnemi, które otrzymali p. L. Szyperski i ks. Wojcicki, wydaje się nam nienormalnym.

Obecnie przy magistracie miasta Warszawy prowadzą się czynnie roboty przygotowawcze do spisu jednodniowego ludności miejskiéj:

Ze wszystkich prac jakie administracya oświecona może przeprowadzić wśród społeczeństwa, jedną z najtrudniejszych, ale niezaprzeczenie pożyteczną, jest dokładne obliczenie ludności, nie tylko ilościowe ale i rozgatunkowanie jéj jakościowe wedle wieku, płci, stanu cywilnego, rodzaju zajęć, stanu majątkowego, wedle wyznań religijnych, stopnia oświaty i wedle wszystkich tych odmian i różnic, które w społeczeństwie ludzkim pewnym grupom nadają charakter odrębny.

Pominąwszy cele policyjne i finansowe, dla osiągnięcia których dokładna znajomość stanu rządzonéj ludności, zapewne jest arcy-

pożyteczną, ale bez któréj obchodzą się zwykle sfery urzędowe, zadowalniając się grupowaniem ludzi wedle cech zewnętrznych; dla administratora, jak go pojmuje nauka współczesna, a jakim go mieć chcą dzisiaj społeczeństwa wykształcone, dokładne cyfry statystyczne są niezbędną podstawą działalności. Statystyka jako nauka, opiera swe wnioski na rachunku prawdopodobieństwa i dla tego wnioski te, o tyle tylko mogą być prawidłowemi, o tyle mogą służyć za wskazówki do praktycznéj działalności o ile opierają się na materyale prawdziwym; tylko taki materyał może być podstawą rozumowania ścisłego i on tylko daje możność sądzenia o potrzebach społecznych. Doprowadzenie cyfr statystycznych do stopnia możliwie najbliższego prawdy w danéj chwili, jest zadaniem arcy trudném, jak wszelkie ujęcie w cyfry i grupy stale określone, tego co się ciągle zmienia, a zmienia się na ogromnych przestrzeniach i wśród wielkiéj ilości ludzi.

W szeregu dóbr narodowych, dobrém najcenniejszém, najkosztowniejszém, jest sam naród żywy, ludzie go składający. Już siła fizyczna człowieka, główne narzędzie pracy ekonomicznéj, jest produktem wytworzonym na machinie nader kosztownéj. Dla doprowadzenia téj machiny do stanu normalnego rozwoju, przy którymby czynność jéj w pełni wykazać się mogła, potrzeba lat 18 do 20 odżywiania, starań wszelkiego rodzaju, pielęgnowania zdrowia i prawidłowego rozwijania się organizmu. Stan pełnéj siły trwa u człowieka lat trzydzieści kilka do czterdziestu, bo około 55 go lub 60 roku życia już się on staje do roboty mniéj zdolnym, albo i zupełnie niezdatnym, a jednak stosunki jakie go w ciągu życia ze społeczeństwem związały, potrzeby moralne dorastających i dojrzałych pokoleń, wymagają wśród ludów cywilizowanych pielęgnowania starców, którzy nie tylko są drodzy sercu swych potomków, ale przechowują i oddają pokoleniom następnym doświadczenie i mądrość w długiéj praktyce życia nabyte, stają się żywym składem tradycyi, na gruncie któréj dopiéro postęp i doskonalenie się stosunków ludzkich opierać się może. W ciągu zaś epoki najbujniejszego rozwinięcia sił organizmu swego, człowiek ciągle musi je podtrzymywać ustawicznym odżywianiem się. Pokarm codziennie przyjmowany, działa podobnie jak paliwo w machinie parowéj, z tą jednak różnicą, że produkt tego paliwa, wytwarzająca się co chwila siła muskularna, nie może być przechowaną, ale aby być produkcyjną, musi się zużytkowywać w miarę wytwarzania się. Tak więc niedostatek albo zły gatunek pokarmu naraża człowieka na osłabienie, niedostatek pracy albo próżnowanie marnują siły bezpowrotnie.

Jeżeli siła fizyczna człowieka jest już tak ważnym czynnikiem, o ileż kosztowniejszą i cenniejszą jest siła umysłowa, potęga myśli człowieka wykształconego, uczonego, artysty, prawnika, lekarza, duchownego i wszystkich tych, którzy sami fizycznie nie pracując, nie tylko zarządzają siłami robotników, ale nadają kierunek ich myślom, potęgują uczucia całych narodów. Jakoż jeżeli dla hodowania dzieci i pielęgnowania starców wystarczają starania rodziny, tego pierwszego i pierwotnego związku społecznego, dla wykształcenia należytego umysłu ludzkiego zamało już sił saméj rodziny, tutaj nie tylko gminy ale i narody całe skupiają swe działanie, aby urządzić największą ilość wszelkiego rodzaju zakładów naukowych, ogromne sumy wartości składają się w muzeach, zbiorach, bibliotekach, najpoważniejsze umysły jednoczą swe usiłowania w seminaryach, uniwersytetach, akademiach, ażeby z całéj massy ludzi wyrobić pewną ilość kierowników umysłowych dla narodu, przywódców na drodze myślenia, pionierów w dziedzinie umiejętności.

Siła narodu, dzielność jego, o tyle będzie wyższą i potężniejszą o ile wśród niego żyć będzie więcéj ludzi dojrzałych, zdatnych do pracy umysłowéj i do roboty fizycznéj. Jeżeli w danym kraju, na stu ludzi przypada 60 dzieci i starców a 40 dojrzałych, potrafią oni zrobić wszystko prędzéj i lepiéj, aniżeli w innym kraju gdzie na sto wypadnie 70 dzieci i starców a 30 dojrzałych, bo tych ostatnich nie tylko mniéj staje do roboty, ale jeszcze ciąży na nich obowiązek utrzymywania o 10 więcéj istot słabych, na co pewna część ich usiłowań zużyć się musi. Tak samo, o ileż lepiéj i mądrzéj potrafi prowadzić swe sprawy naród, w którym, na stu ludzi dojrzałych będzie dziesięciu wykształconych, aniżeli taki w którym na stu ledwo jeden oświecony przypadnie. Ilość ludzi dojrzałych w narodzie o tyle będzie większa, o ile dzieci lepiéj się hodują, o ile pomiędzy nimi mniejsza śmiertelność; zmniejszenie śmiertelności zależy znowu od polepszenia warunków higienicznych; ilość dzieci czy ludzi umiejących czytać i pisać daje wyobrażenie jeżeli nie o stopniu rozwinięcia nauk w narodzie, to przynajmniéj o siłach, które do naukowéj pracy i wykształcenia mogą być zdolne.

Od administracyi nie wymaga się dotychczas, ażeby ludziom pokarmu lub roboty dostarczała, ale polepszenie warunków higienicznych, ale urządzanie zakładów naukowych wprost już ciążą na odpowiedzialności administracyi, która w pełnieniu tych swoich pierwszorzędnych obowiązków ustawicznie téż odwoływać się musi do spółdziałania samego społeczeństwa. Stąd już widać wyraźnie, jak dalece użytecznem być musi dla administracyi i dla społeczeństwa, wyjaśnienie dokładnego stanu w jakim się znajduje ludność da-

néj miejscowości, pod wszystkiemi wyżéj wzmiankowanemi względami. Rozpoznać ilość ludzi umiejących czytać i pisać, wiek ludności, stan zamożności, rodzaje zajęć, sposób życia, to znaczy dochodzić do świadomości tego czego ta ludność potrzebuje, co należy przedsięwziąć, ażeby jéj życie łatwiejszém uczynić, ażeby dać jéj możność pełniejszego rozwijania i lepszego zużytkowania sił własnych.

O wszystkich tych rzeczach pojęcie dać może spis jednodniowy ludności, który rozgatunkuje ją wedle dość delikatnych a jednak wyraźnych odcieni. Nad przeprowadzeniem takiego to spisu w Warszawie w Styczniu roku przyszłego, pracuje obecnie osobna komisya przy magistracie; powołano do niéj ludzi fachowych, wzywa téż ona do pomocy wszystkich chętnych wykształconych ludzi, którzyby się zajęli przeprowadzeniem rzeczy w szczegółach; miasto podzielono na 42 okręgi, do każdego z nich wyznaczeni już są przewodniczący, z pomiędzy mieszkańców miasta, ci już sami sobie do pomocy potrzebną ilość delegatów dobierać będą. Komitet zaś spisowy z góry przyznał spisowi czysto-naukowy charakter, w skutek czego nieprawidłowości w spełnianiu przepisów policyjnych lub finansowych, jakieby przy spisywaniu ludności wykryć się mogły, nie narażą nikogo na odpowiedzialność.

Po kilkunastoletniéj a mimowolnéj przerwie, Wilno przesłało nam „Kalendarz litewski na rok 1882,“ zaznaczając „rok pierwszy“ tego wydawnictwa, jako zapowiedź i obietnicę dalszego trwania w przyszłości. Ten miły dla serca naszego i na uwagę zasługujący fakt istnienie swe zawdzięcza energii, przedsiębierczości i wytrwałości znakomitéj powieściopisarki naszéj, p. Elizy Orzeszkowéj. Nie będziemy się rozszerzali nad znaczeniem samego faktu, który zrozumiałym być winien dla każdego, kto zna stosunki nasze, kto wie, jak wielki wpływ wywrzeć mogą książki popularne—a do najpopularniejszych należą niewątpliwie kalendarze.

Ale radzi jesteśmy bardzo, że nie tylko fakt sam zanotować nam wypadło, lecz że i treść tego faktu, wewnętrzna wartość kalendarza, na zupełne uznanie i pochwałę zasługuje. Trzy głównie panie złożyły się na napisanie téj części, która, następując po zwykłych tablicach kalendarzowych, ma służyć za naukę i rozrywkę dla czytelników. Panie te są: Eliza Orzeszkowa, Walerya Marrené i Zofia Kościałkowska.

Wydawczyni zrozumiała potrzebę zaznajomienia czytelników z dziejami literatury naszéj i zachęcenia do poznania najgłówniejszych jéj przedstawicieli. Ci z czytelników co o literaturze polskiej słyszéć nie mogli w szkole, niewątpliwie odczytają z zajęciem to, co pani Orzeszkowa napisała w Kalendarzu o oświacie polskiéj przed

wiekiem XVI, oraz o Reju i Kochanowskim, obiecując na przyszłość ciąg dalszy bardzo popularnego, przystępnego a rozumnie prowadzonego wykładu. Bo nie ogólniki estetyczne, nie szczegóły biograficzne, ale doskonale dobrane wyjątki z dzieł samych autorów poznają czytelnicy, a poznawszy je i dowiedziawszy się, że takie ładne rzeczy pisano już u nas przed trzema z górą wiekami, może zapragną z autorami zaznajomić się dokładniéj jeszcze, a w każdym razie wyniosą przekonanie o wielkiéj wartości pismiennictwa polskiego.

P. Marrené w udatnie skreślonym obrazku powieściowym („Nie znamy, co mamy, aż postradamy“) daje młodym panienkom bardzo rozsądną przestrogę, żeby skończywszy pensyą nie uważały się za doskonałość, żeby nie gardziły skromną strzechą ojcowską, ale przyuczały się do życia i pracowania pod nią, bo życie nie jest balem, lecz szeregiem trudów; daje im poznać, że błyskotki powierzchownego wykształceniasą złudą, którą na chwilę tylko siebie samych olśnić można, ktora jednak przy zetknicciu się z warunkami rzeczywistości rozwiać się musi. Autorka umiała surowość morału osłonić wdziękiem opowiadania i nie chciała karać swojéj młodziutkiej kapryśnicy zbyt dotkliwie, powraca więc jéj szczęście już-już zagrożone i dach rodzinny już postradany i powiastka kończy się rzewnie sceną rodzinną przebaczenia i pojednania i przez to właśnie może najwięcéj serc pozyska.

P. Kościałkowska zapoznała czytelników w krótkości z dzisiejszym stanem i dawniejszemi dziejami Wilna, przypomniała swietne jego, uniwersyteckie czasy. Następnie skreśliła dzieje poddaństwa, kładąc nacisk na to, że Polska nie była „piekłem dla chłopów,“ jakto niektórzy koniecznie wmówić w nas usiłują. Wreszcie opowiedziała kilka zajmujących szczegółów „o wynalazkach naukowych.“

Obok tych literackich wiadomości znajdują się naturalnie w Kalendarzu i przepisy gospodarskie „z teki Doświadczyńskiéj“ i wyjątki z przepisów pocztowych o korespondencyi prywatnéj i wiadomości o jarmarkach i informacye księgarskie, a nadto jeszcze artykuł p. Edmunda Jankowskiego, objaśniający „co to można w ogrodzie zrobić.“

Słowem Kalendarz ten, w którym wymienione są święta według starego i nowego stylu, możemy polecić uwadze czytelników; nie powinni się oni zrażać, jego sukienką niezbyt wykwintną, gdy treść wynagradza hojnie brak pięknego papieru.

Mówiąc o wydawnictwach, słówko powiedzieć wypada o nowéj gazetce, która przybyła Warszawie.

Wydawnictwo anonsowe p. n. „Doniesienia Warszawskie“ z dniem 1 października przemieniło się na rodzaj kuryerka; połowa

każdéj stronicy zajęta jest ogłoszeniami, a druga tekstem. Na tekst ten składają się wiadomości kościelne, urzędowe, nowinki z miasta i kraju, oraz z cesarstwa, daléj korespondencye krajowe, kiedy niekiedy wiadomości księgarskie i literackie, czasami jakiś artykulik dotyczący spraw społecznych („Kasy zastawnicze,“ „Straże ogniowe ochotnicze“ i t. p.); bywa wreszcie i t. zw. „odcinek“ czyli feljeton. Wydawcy i redaktorowie zarazem, pp. W. Grabowski i H. Perzyński pisemko swoje, najtańsze ze wszystkich, jak powiadają w ogłoszeniach, rozpoczęli „w imię boże,“ pragnąc, ażeby ono mogło „znaleść się w każdym domu, u każdego domowego ogniska;“ nie obiecywali w szczególności nic, zaznaczali tylko, że stają do pracy „z dobrą wiarą, z silną wolą służenia społeczeństwu, z którém łączy nas Bóg jeden, ziemia jedna i idea jedna.“

Takie są zapewnienia wydawców i redaktorów. Nie myślimy im przeczyć na podstawie dotychczas wydanych numerów, ale zrobimy kilka uwag, które się nam nasunęły przy ich przeglądaniu. Polityki dotychczas w „Doniesieniach“ nie ma; zapewne nie ma jéj i w programie; nie jest-to strona ujemna, uważamy ją owszem za dodatnią wobec dość żarliwéj uprawy tego działu przez dziennikarstwo nasze. Wiadomości miejscowe są niezbyt obfite; zastępują je częstokroć anegdoty, które chyba bardzo niewybrednemu towarzystwu podobać się mogą; autorowie ich widocznie nie mają na widoku „ogniska domowego,“ ale zebrania kawalerskie, to téż sobie wcale po kawalersku postępują; lubują się w opowiadaniu scen z „damami do wszystkiego,“ z obdartusami, pijakami, zaglądają dość często do szynkowni, powtarzają co tam widzą, naśladują żargon żydowski, jaki posłyszą i t. p. A i język i styl zastosowują do natury zdarzeń, które skwapliwie notują. Z czytelnikami rozmawiają bardzo a bardzo poufale; „mościdziej,“ „facet,“ „urznięty w kij,“ „niech cię indor świśnie“ i t. p. wyrażenia są w ustach reporterów na zawołanie. W powieści i feljetonie powieściowym używanie ich jest usprawiedliwione potrzebą malowania z natury, ale wątpimy, czy artykuły dziennikarskie zyskają co na posługiwaniu się brukowym sposobem mówienia. Te i tym podobne anegdoty, takim stylem opowiadane, wskazywać się zdają, że „Doniesienia Warszawskie“ chcą zaakcentować żywioł plotkarski w prasie naszéj. Do tegoż rodzaju zaliczyć można niesmaczny feljeton opisujący sceny z domu obłąkanych w Warszawie. Może on interesować chyba tych tylko, którzy podobnych rzeczy nigdy w obrobieniu artystycznéni nie poznali.

Ułatwienia w nauczaniu geografiii zdawna są przedmiotem rozmyślań i rozmaitych usiłowań ze strony pedagogów. Między innemi

środkami pomocniczemi nie małą grają rolę tak zwane mapy *ślepe*, na które uczeń sam wnosić winien w miejscach właściwych wszelkie nazwy, jakich się z podręcznika na pamięć wyucza. U nas, o ile wiemy, raz jeden tylko i to bardzo dawno próbowano wydawnictwa map ślepych. Obecnie p. W. K. doświadczony pedagog, wydał swoim nakładem taką mapę, przedstawiającą na wielkim arkuszu ziemie słowiańskie od ujść Elby na zachodzie aż do płaszczyzny zadnieprzańskiéj na wschodzie i od Baltyku aż po za Karpaty i morze Czarne. Siatka wodna, wykonana nadzwyczaj starannie i delikatnie, mile się oku przedstawia, a jéj barwa błękitna wpłynie na wyraźność mających się pomieszczać na niéj napisów. Pod tym względem mapa p. W. K. ma niezaprzeczoną wyższość nad wielką mapą w ośmiu sekcyach, którą dla użytku badaczów historyi wydano niedawno w Krakowie. Jako znacznie mniejszych od téj ostatniéj rozmiarów, może być pomocniczą do oryentowania się w tamtéj lub do jéj zmniejszania. Pan W. K. wykonał swą mapę na skalę 1:2.000.000. Kosztuje ona bez przesyłki kop. 50, z przesyłką kop. 80. Zgłaszać się o nią należy do księgarni Gebethnera i Wolfa.

Nie wszystkim zapewne czytelnikom naszym wiadomo, że w Moskwie wychodzi pismo pod napisem „Ruś," rozprawiające co tydzień na dwunastu kartach o polityce i bieżących zadaniach społecznych. Redaktorem onego jest p. Jan Aksakow, głowa szkoły sławianofilskiéj, niezmordowany polemista, pisarz, któremu wszyscy przyznają wielkie zdolności stylistyczne, bujną fantazyą i niezmierną skłonność do paradoksów. Literaccy przeciwnicy redaktora „Rusi" posądzają go o zachciankę zmonopolizowania wyłącznie dla siebie prawa przemawiania w imieniu „ludu" i szydzą z miłego złudzenia, jakoby był jedynym prawdziwym patryotą. Wszystkie jednak wysiłki publicystów, których on stale nazywa „pseudoliberałami," nie zdołały ani złudzenia tego rozwiać, ani owéj zachcianki wybić mu z głowy: polemika tedy wre ciągle w najlepsze i prędkiego jéj końca w obecnych okolicznościach przewidywać niepodobna. Osią około któréj spór się toczy jest nikczemność moralna „zgniłego Zachodu," mizerota wszelkich jego urządzeń, pogrążenie się tegoż Zachodu w materyalizmie po uszy, konieczność zatém otrząśnięcia się ze wszystkiego co wzięte z Zachodu zostało, co go przypomina, a tém samém, co trądem, który go toczy, zarazić-by mogło plemię zdrowe, mające bogate zadatki własnéj „samodzielnéj" kultury.

Teza ta, podejmowana ciągle i broniona z zadziwiającą wytrwałością przez p. Aksakowa, bardzo nadaje się do sporu: spierano się wszakże długo o to, co jest dawniejszém kura czy jaje? co pierwéj człowiek wynalazł—młot, czy kowadło? Tam gdzie jeden ros-

koszować się będzie aromatycznym zapachem, drugiego woń zgnilizny wstrętem przyjmować może, bo rodzaj wrażenia nie tylko od samego zjawiska, ale i od rodzaju nosa zależy. Ale wszelka jednostajność znudzić musi i najcierpliwszego czytelnika. Nie można przecie naśladować owéj baby wiejskiéj, która wedle powiastki ludowéj, gdy mąż mówił: „golone,“ odpowiadała: „strzyżone.“ Pan Aksakow wié o tém bardzo dobrze, stara się zatém urozmaicić swą piosenkę, a jako biegły kompozytor może być pewnym, że mu na ulubiony temat nie zabraknie nigdy waryacyj. Więc dzisiaj dla kłopotów społecznych wykrywa zbawcze lekarstwo w „powiecie,“ jutro będzie walczył z wiatrakami systemu reprezentacyjnego; dopiéro co wołał na ziomków swoich: „nazad! do domu!“ aliści nie może tu usiedzieć, biegnie (rozumie się—myślą tylko) za Dunaj, aby stawić księciu bulgarskiemu ultymatum i zupełnie na seryo wypisuje warunki, pod któremi pozwoli mu nadal panować. Z kolei dostaliśmy się i my na ten gorączkowo działający pytel. W N-rach 39 i 40 z roku bieżącego redaktor „Rusi,“ wystosował znowu ultymatum niby do nas, właściwie jednak do owych „pseudo-liberałów,“ nie dających mu spać spokojnie, i z powodu kilku artykułów gazeciarskich, które o polakach objektywniéj spróbowały się odezwać, zarzuca ich autorom co najmniéj „tępy umysł,“ a jeśli nie — to „przestępstwo i zdradę.“ Takim językiem przemawiając do swoich rodaków, redaktor „Rusi“ nie mógł i dla nas zmienić swéj frazeologii: wielbi tedy „świetne przymioty i zdolności“ naszego narodu, ale znajduje, że natura szczególnie nam poskąpiła „rozsądku, politycznego zmysłu i taktu,“ a w innén miejscu porównywa nas poetycznie i obrazowo do „rzezimieszka, który trzymając kogoś w przyjaznych jakoby objęciach, tymczasem wyciąga mu pulares z kieszeni.“ Tejże maniery trzyma się p. Aksaków czy to kreśląc swój pogląd na stare nasze dzieje, czy dotykając świeższych wypadków, czy wreszcie rezonując o tém jakie powinno być jutro. Tanio musi papier kosztować w Moskwie, skoro redaktor „Rusi“ poświęca 23 kolumny ścisłego druku na wmówienie w swych czytelników tego, że kaftan przymusowy używany w domach waryatów w ostateczności, jest alfą i omegą psychiatryi politycznéj. Na dwudziestu trzech kolumnach druku znaleźliśmy zaledwie jedną myśl humanitarną, a i ta dostała się tu jedynie dla przypięcia łatki nielubionym przez p. Aksakowa urzędnikom petersburskim i hrabiemu Kotzebue.

Błędów faktycznych, które w znacznéj liczbie zdołał przytém nagromadzić, nie bierzemy publicyście za złe, błądzi bowiem, jak mniemamy, w dobréj wierze. Dziennikarz który tak dużo pisze, który nadto zajęty jest i innemi obowiązkami, mało ma czasu do

czytania, nic dziwnego zatém, że tego i owego nie wié, tego i owego nie rozumié. Mniejby się bez wątpienia gorszył wyrażeniem „psia wiara,“ gdyby wiedział, że gmin nasz używa go często bezmyślnie między sobą, równie jak wyrażeń „psie mięso,“ „psia wełna,“ „psia kość“ i t. d. Cała ta anatomia ludowa—przyznajemy chętnie—równie jest szpetną jak termin genealogiczny „sukinsyn;“ ale dopatrywać w tém objawu nietolerancyi religijnéj jest równie śmieszném, jak mylném byłoby, gdyby kto „sukisyna“ chciał łączyć w związek genetyczny z podaniem ukraińskiem o ludzie „pesohołowciów.“ Podobnież nasz obelżywy wyraz „bydło“ jest zupełnie równoważny i równoznaczny z wyrazem „skotina,“ którego niepodobna aby p. Aksakow nie słyszał. Natrząsając się z frazesu „padam do nóg,“ p. Aksakow widocznie nie wie, że to odmienna tylko forma rosyjskiego „czełobitja.“

Toż samo powiedzieć wypada i o ultymatum. Tylko nieświadomość, istnie dziecięca, mogła podyktować je utalentowanemu redaktorowi „Rusi.“ Kwestye takie, jak ta, którą Bóg wie po co, poruszył, nie rozstrzygają się za pomocą deklaracyj, chociażby te podpisane zostały „przez wszystkich publicystów i wydatnych działaczów społecznych.“ Dzisiejsza nauka wykazała, że rozwiązanie podobnych węzłów zależy od całkiem innych a potężniejszych czynników. P. Aksakow wpadł na szczególny koncept owéj deklaracyi, bo jako dziennikarz ulega łatwemu do pojęcia złudzeniu: zdaje mu się, że jego drukowane słowa stają się faktami historycznémi, a to tylko, że użyjemy języka biblijnego, miedź brzęcząca i cymbał brzmiący, zwłaszcza, że ideał jego, polegający na powróceniu dnia wczorajszego, sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi, którego brak nam wytyka. Inna to całkiem rzecz fantazyować na temat „bylin“ o Ilii Muromcu i Aloszy Popowiczu, inne urządzenia w państwie przekształcać, a napisanie najlepszéj nawet książki o jarmarkach ukraińskich, nie kwalifikuje jeszcze na męża stanu; ministrowie przemawiają często z trybuny, bywają czasem świetnemi mówcami—to prawda, ale i to niewątpliwa, że nie retoryka kieruje losami narodów. Można okazywać swój patryotyzm bardzo gorącemi słowy, a obok tego być szkodliwie działającym obywatelem dla braku, tak potrzebnéj we wszystkiém, rozwagi. Życzymy p. Aksakowowi, aby przyszły historyk rozpatrując się w jego czynnościach, ważąc jego intencye i skutki z nich wynikłe, nie był zmuszony powtórzyć słów Hussa na stosie: *O sancta simplicitas!*

Otrzymaliśmy następną odezwę:

Grono ludzi, zajmujących się ułożeniem Książki Pamiątkowéj o b. Szkole Głównéj, ponawia dawniéj już ogłoszone wezwanie do wszystkich byłych studentów téj szkoły, ażeby zechcieli nadesłać następujące informacye:

1. Rok i miejsce urodzenia;
2. Szkoły, do których uczęszczali;
3. Rok wstąpienia do Szkoły Głównéj i czas pobytu w niéj;
4. Stanowisko obecne, a także prace drukiem ogłoszone.

Informacye te posłużą do ułożenia spisu studentów b. Szkoły Głównéj, który wejdzie w skład historyi losów téj instytucyi. O studentach zmarłych raczą informacye powyższe podać najbliżsi znajomi.

Byli studenci wydziału prawnego raczą nadsyłać wiadomości powyższe pod adresem Jana Maurycego Kamińskiego, Niecała nr. 8; wydziału lekarskiego—pod adresem Konrada Dobrskiego, Marszałkowska 50; wydziału matematyczno-fizycznego—pod adresem Eugieniusza Dziewulskiego, Podwale 2; wydziału filologiczno-historycznego—pod adresem Piotra Chmielowskiego, redakcya Ateneum, Włodzimierska 14.

Upraszamy wszystkie pisma polskie o powtórzenie téj odezwy.

— *Sprostowanie.* W październikowym zeszycie *Ateneum* w ocenie wypisów pp Seredyńskiego i Dzieduszyckiéj, na str 167 popełniono błąd, który w interesie prawdy poprawić należy. Zarzucono tam, że wiersza Gabryelli „Czemu mi smutno“ nie ma we wspomnianych wypisach; tymczasem on w nich się mieści. Sprawozdawca miał egzemplarz wypisów, w którym jeden arkusz był defektowy, co do tego arkusza więc musiał poprzestać na spisie treści, a w tym spisie nie wykazano owego wiersza. Dopiéro późniéj przekonał się sprawozdawca, że zamiast „Żalów Sarmaty“ Karpińskiego, umieszczonych w spisie, wydrukowano w samych wypisach wiersz Gabryeli. Przy téj sposobności prostujemy wiadomość podaną na str. 188: Zbiór rozpraw literackich p. Włodzimierza Spasowicza nosi napis: „*Studya* nie z natury“ i zawiera stronic 279. Daléj na str. 179 w wierszu 13-tym od dołu zamiast: „opisuje szeroko *swą* posiadłość“ czytać należy: „o. sz. *owę* posiadłość.“

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **Piotr Chmielowski.**